

DODATEK SPECJALNY NA LATO



UJAWNIAMY! LEWA KASA NEUMANNA

„ZNIEWOLONA" KULISY TELEWIZYJNEGO PRZEBOJU LATA



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 32 (350) 2019
12–18 sierpnia

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

ABP MAREK JĘDRASZEWSKI

CZY ZNISZCZĄ NIEZŁOMNEGO BISKUPA?

PO SŁOWACH PRAWDY O „TĘCZOWEJ ZARAZIE" RUSZYŁA BRUTALNA NAGONKA ŚRODOWISK LGBT

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

1919 2019

100 LAT
POLSKIEGO KOMITETU
OLIMPIJSKIEGO



Wiele dróg, jeden cel.

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy	Partnerzy Medialni
ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT POLISH AIRLINES	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO

eprasa.pl 6f3e763147

Po sprawie Marka Kuchcińskiego

Kolejna tygodniówka wzmożeniowo-nagonkowa za nami. Klasyczna operacja medialno-polityczna obozu III RP zmusiła formację rządzącą do wycofania na czas kampanii z pierwszego szeregu polityka, który jako marszałek Sejmu nie pękł w czasie puczu grudniowego w 2016 r., który dobrze pełnił swoją funkcję, był aktywnym dyplomatą i ciężko pracował na rzecz swojego okręgu. I który nie zrobił niczego strasznego.

Stwierdzam to, mając świadomość, iż w tej sprawie mamy do czynienia z pewnym przekroczeniem tego, co można uznać za bardzo wyśrubowaną normę skromności w życiu publicznym. Podkreślam – nie chodzi o normę prawną (bo nikt o złamaniu prawa nie mówi), ale tę, która wiąże się z pojęciami skromności i dobrego obyczaju.

Przekroczenie to, gdy odcedzi się propagandową nagonkę, możemy opisać w pięciu punktach:

1. Korzystanie z transportu luksusowym samolotem zbyt często i pod zbyt błahymi pretekstami. Loty tam, gdzie można było spokojnie dojechać lub dotrzeć samolotem rejsowym.
2. Niepotrzebne chwalenie się zdjęciami z samolotu, co wytworzyło wrażenia zakochania się w tej odrzutowej maszynce.
3. Lekkomyślne zapraszanie na pokład bliskich bądź udostępnianie samolotu (jeden znany przypadek), co zbudowało wrażenie „rodzinności" niektórych służbowych eskapad.
4. Zbyt pochopne włączanie kosztownej i oznaczającej komplikacje instrukcji HEAD, która oznacza konieczność wyjątkowego zabezpieczenia lotu.
5. Pokrętne wyjaśnienia udzielane prasie, które stworzyły wrażenie mówienia niepełnej prawdy/ mówienia obok prawdy/ kluczenia/ mijania się z prawdą/ zwodzenia.

Mimo wszystko cała afera i jej finał są dokładnie tym, co podkreślił Jarosław Kaczyński ogłaszający decyzję w tej sprawie – przyznaniem, że PiS mniej wolno, bo wysoko podnosi sztandar moralności i standardów w życiu publicznym. Lider PiS stwierdził: „Pan marszałek nie złamał prawa. Pan marszałek nie złamał też istniejących w tej dziedzinie obyczajów, i to chcę bardzo mocno podkreślić. [Jednak] skoro państwo najwyraźniej mają inne zdanie i przynajmniej bardzo poważna część opinii publicznej ma inne zdanie, to w związku z tym mogę powiedzieć, iż decyzja pana marszałka [o złożeniu dymisji] jest dowodem postawy, która jest związana z naszym hasłem: słuchać Polaków, służyć Polsce".

Idąca w ślad za tymi decyzjami zapowiedź restrykcyjnego uregulowania uprawnień do lotów rządowymi samolotami oraz wybór nowego marszałka Sejmu powinny za jakiś czas zamknąć tę konkretną sprawę. Choć w mojej opinii podnoszenie standardów powinno zostać posunięte dalej: należałoby uregulować także przywileje i uprawnienia prezydentów miast i burmistrzów. Dziś, jak słyszę od osób dobrze zorientowanych, to sfera dowolnego używania, podróży życia za publiczne pieniądze, zerowej kontroli.

Dla PiS najważniejszy wniosek jest jednak inny. Ta pierwsza salwa oficjalnie rozpoczętej już kampanii pokazała, jak nierówne będą tu warunki gry. Przecież w pewnym momencie rozgrzane media zaczęły jako sensację ogłaszać, że polityk X też gdzieś poleciał, a polityk Y śmiał wsiąść przy okazji do i tak lecącego do Warszawy samolotu. Przecież to czysty populizm. Populizm realizowany przez te same media, które nie zdążyły jeszcze poinformować Polaków o setkach miliardów złotych odzyskanych dla budżetu po 2015 r.

Niektórzy politycy PiS, jak sądzę, naprawdę zachwycili się własną sprawnością w wychodzeniu z takich pułapek przez kapitulację. To wielka pokusa, bo redukuje radykalnie stres związany ze świadomością wielkiej przewagi medialnej drugiej strony. Ale przestrzegam – długofalowo oznaczać ona będzie rozzuchwalenie przeciwników i destrukcję własnej ekipy, w tym mnożenie się i tak już częstych postaw konformistycznej uległości wobec obozu III RP. Za tym zaś pójdzie utrata zdolności obozu patriotycznego do poważniejszych ofensyw politycznych. To ryzyko warto też widzieć i rozważnie balansować pomiędzy koniecznymi lekcjami pokory a oddaniem zbyt wielkiego wpływu organizatorom nagonek.

Ale to długofalowe konsekwencje. Na razie mamy wybory za pasem i sztabowe decyzje. A tu wszystko oglądane jest przez szkło powiększające, wszystko wybucha dziesięć razy szybciej, pożary polityczne trzeba gasić błyskawicznie. I stąd taki finał sprawy Marka Kuchcińskiego.

Michał Karnowski



58/0319/F

eprasa.pl 6f3e763

SIECI spis treści



29 *Z Redbadem Klynstrą-Komarnickim rozmawia Aleksandra Jakubowska*



49--66 **Dodatek krajoznawczy** *Najpiękniejsze zamki w Polsce*



67 **W niewoli sukcesu** *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **OLA I JUREK (PRAWYBORY)**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BEZ WALKI POLSKI BY NIE BYŁO**
Jan Pietrzak

13 **ABP JĘDRASZEWSKI I IDEOLOGIA**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **OGRÓD NA DACHU FALOWCA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **ABP JĘDRASZEWSKI BIJE NA ALARM**
Grzegorz Górny

25 **BIAŁYSTOK I OKOLICE**
Aleksander Nalaskowski

29 **Z REDBADEM KLYNSTRĄ-KOMARNICKIM**
rozmawia Aleksandra Jakubowska

KRAJ

32 **PRZESTROGI DLA PiS**
Stanisław Janecki

35 **Z NORBERTEM MALISZEWSKIM**
rozmawia Michał Karnowski

39 **LEWA KASA PRZEWODNICZĄCEGO NEUMANNA**
Marcin Wikło

43 **ODKURZONE CZOŁGI**
Konrad Kołodziejski

46 **Z RADOSŁAWEM FOGLEM**
rozmawia Marcin Fijołek

SIECI KULTURY

67 **W NIEWOLI SUKCESU**
Jolanta Gajda-Zadworna

70 **KTO SIĘ BOI „KACZORA”**
Jaromir Kwiatkowski

71 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **FOX NEWS MIAŻDŻY CNN**
Łukasz Adamski

79 **JOHNSON I CO DALEJ?**
Jaromir Kwiatkowski

82 **R JAK ROCZNICA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO**
Hanna Karp

HISTORIA

84 **ŚWIETLANA POSTAĆ**
Lidia Dudkiewicz

ŚWIAT

88 **HONGKONG: POLITYCZNA KWADRATURA KOŁA**
Jan Rokita

91 **UGOTOWAĆ BIAŁYCH JAK ŻABĘ**
rozmowa Aleksandry Rybińskiej

GOSPODARKA

94 **POLSKA NA WSCHODZIE, CZYLI O CO IDZIE GRA**
Marek Budzisz

98 **PLAN ZDZISŁAWA**
Piotr Filipczyk

PODRÓŻE

111 **MOJE SZLAKI: LECH DYBLIK**
Jolanta Gajda-Zadworna

102 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **AKTOR, KTÓRY BYŁ KSIĘDZEM**
Maciej Pawlicki

106 **W OBRONIE NORMALNOŚCI**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **WYBORCZE SKOKI Z TRAMPOLINY**
Aleksander Nalaskowski

109 **EGOPACYFA**
Wiktor Świetlik

110 **ZARAZA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **CNOTA CIERPLIWOŚCI**
Ryszard Makowski

113 **MATKA BOSKA ZIELNA**
Leszek Długosz

114 **WAKACJE I „OBCASY”**
Katarzyna Zybertowicz

39/0719/F

eprasa.pl 6f3e763147

W wakacyjnej podróży jedzenie?

W Stop Cafe na ORLENIE



stop cafe

Dla każdego coś smacznego!

WYBIERZ DANIE Z OFERTY GASTRONOMICZNEJ ZA MIN. **29 ZŁ I ODBIERZ PROMOCYJNĄ ZDRAPKĘ.**



ORLEN

Szczegóły na loteria.orlen.pl

Oferta dostępna na wybranych stacjach ORLEN z ofertą restauracyjną

eprasa.pl 6f3e763147



Sygnalista nadaje

No i ustrzelili marszałka. W czwartym roku krwawej dyktatury, w czasie gdy opozycyjne media rzekomo umierają z braku tlenu, a strach przed utratą chleba powstrzymuje co słabsze ręce przed pisaniem smutnej prawdy, mogliśmy się cieszyć klasyczną trzydniówką (może tym razem nawet tygodniówką) wzmożenia moralnego według najlepszych wzorców z czasów rozkwitu „polityki miłości". W czasach gdy demokrację pochowano już z dziesięć razy, za pomocą histerii zmuszono do dymisji drugą osobę w państwie, należącą do wąskiego kręgu najbardziej zaufanych druhów prezesa PiS. Ale bez złudzeń: jutro znów zaczną jęczeć i płakać.

Kierownictwo PiS zagrało w sprawie ***Kuchcińskiego*** tak, jak lubi najbardziej: z klasycznej kontry. Z jednej strony broniło marszałka, z drugiej czekało na rozwój wydarzeń. Gdy uznało, że skala histerii zagraża jesiennemu zwycięstwu, uderzyło klasyczną triadą: dymisja, zapowiedź surowych regulacji, wypomnienie grzechów poprzednikom. Politycznie to wciąż zabójczo skuteczna technika, choć często bolesna. Zwłaszcza dla swoich.

Smaczku sprawie dodaje to, że sam ***Kaczyński***, nawet w najtrudniejszych opozycyjnych latach, nigdy nie atakował przeciwników w kwestii transportu VIP. W 2011 r., komentując doniesienia mediów, że Donald Tusk jako premier lata do domu w Trójmieście samolotem rządowym, mówił tak: „Jeżeli chodzi o latanie samolotem, cóż, premier ma takie prawo. To jest prawo premiera, każdy ma prawo być w swoim domu. Nie można przyjąć, że każdy, kto jest premierem, musi mieszkać w Warszawie. Ja bym z tego sprawy nie robił". Lekcja z tego ta sama co zawsze: na dobro Platforma zawsze odpowie nie dobrem, ale kopniakiem.

Dulkiewicz na prezydenta typuje w przyszłości także Tomasz Zimoch, dziennikarz sportowy, a dziś jedynka z listy Koalicji Obywatelskiej w Łodzi. Ale lista autorytetów jest długa: „Podoba mi się brawura Lecha Wałęsy, niezłomność Władysława Frasyniuka. Imponowała siła spokoju Tadeusza Mazowieckiego, ale też księża ją pokazują. Uwielbiam słuchać ojca Gużyńskiego. Rany boskie! Gdyby on mógł być parlamentarzystą! Podoba mi się też styl pracy Krzysztofa Brejzy, jego upór". Można tylko przywołać refleksję prof. Zybertowicza: skoro oni wszyscy tacy wspaniali, czemu cały ten obóz jest tak jałowy i tak niemądry? I czemu przegrał?

Teraz prezes PiS apeluje o elementarną symetrię: „Donald Tusk odbył w ciągu sześciu lat i dziesięciu miesięcy urzędowania jako premier 281 lotów do Gdańska. Ja w tej chwili oczekuję od państwa [dziennikarzy] zainteresowania tym. Odbył też szereg podróży do krajów egzotycznych, atrakcyjnych turystycznie, ale co do sensu politycznego tych wyjazdów można mieć pewne wątpliwości. No i jeździł tam z żoną" – mówił chwilę po tym, gdy ogłosił dymisję Kuchcińskiego. Ale to wołanie na puszczy. Zasadniczą część polskich mediów nie po to powołano, by były sędziami. One są strażnikami.

III RP w ogóle ma się tak dobrze, że przekracza kolejne granice, i chwilami można odnieść wrażenie, że przemysł pogardy znów się rozpędza. Np. po wizycie prezydenta w Szczecinku do starostwa napłynęło kilka rachunków za straty związane z organizacją wydarzenia. Pieniędzy zażądali: Komunikacja Miejska (za wstrzymanie kursowania tramwaju wodnego), również dzierżawca restauracji Zamek (twierdzi, że miał zamkniętą restaurację przez dwa dni wskutek działania SOP) oraz Samorządowa Agencja Promocji i Kultury

eprasa.pl 6f3e763147

(nagłośnienie, transport, prace porządkowe i przygotowanie miejsca poprzez uprzątnięcie stołów, krzeseł i ławek). Gdybyśmy mieli państwo nieteoretyczne, ci ludzie nie śmieliby tak szydzić z majestatu Rzeczypospolitej.

Oprócz nagonki na marszałka opozycja postawiła w kampanii na dwie sprawy: drożyznę i służbę zdrowia. Ten drugi wątek raczej jednak nie wypali. Jak wynika bowiem z badania pracowni Social Changes dla portalu wPolityce.pl, to PiS może na tym polu zdobywać punkty. Na pytanie: „Która z partii politycznych pana/i zdaniem ma najlepszy pomysł na rozwiązanie problemów służby zdrowia?", 38,9 proc. badanych odpowiada, że PiS, a ledwie 20,9 proc., że PO (osoby z wyrobionym zdaniem). To jednak fenomen: cztery lata rządów PiS jedynie pogłębiły brak wiarygodności najważniejszej partii opozycyjnej. Dobre tło robi różnicę.



Jerzy Owsiak efektownie zakończył Pol'and'Rock Festival. Sięgnął po język stosowny do potencjału kulturowego całego przedsięwzięcia, czyli po przekleństwa. „Czemu nie karzecie polityków, którzy za...dalają samolotami za moje k...a pieniądze? Dlaczego ich nie pociągniecie do odpowiedzialności? Nie ma na to zgody. Możecie mnie zabić na tej barykadzie. Możecie mi strzelić w łeb, ale nie cofnę się, bo Polska się stacza" – wrzeszczał, bijąc własne, mocno już wyśrubowane rekordy grubiaństwa. Panie Jerzy, to, że pańskie wrzaski i przekleństwa nie obalają rządu, nie oznacza jeszcze upadku. Wręcz przeciwnie, to oznacza normalność.



Jeszcze jeden cytat z człowieka, który ma ambicję do bycia głównym wychowawcą polskiej młodzieży: „Możecie mnie zarąbać, ale nie zamknięcie mi mordy! To wy trwonicie moje pieniądze. Zabieracie Westerplatte. K...a, po co?! Odp...dolcie się od Westerplatte! Wsadzicie mnie za to do pierdla? To znajdę tam kumpli i rozsadzimy to od środka". Może to zwykły psychol? Bo że frustrat, to pewne.



Jedno ze zdań rzuconych ze sceny było naprawdę ciekawe. Otóż szef WOŚP najpierw nawoływał do tworzenia społeczeństwa obywatelskiego, pójścia na wybory i „zmienienia rzeczywistości", bo „nie ma dla nas szacunku, świat się śmieje z nas", a potem zalecił: „Szukajmy przyjaciół obok nas, u Rosjan, Czechów, Słowaków, Węgrów, Niemców. A nie za oceanem. Ocean nas nie wyżywi, nie pomoże nam. Sorry, jeśli kogoś uraziłem. Ale się k...a wylewa z człowieka". Czyżby to wszystko było tak proste, że aż geopolitycznie wulgarne?

Owsiak czasem pojawia się w rankingach prezydenckich, ale to zwykła hucpa. Za to Aleksandra Dulkiewicz ma pewne realne szanse na opozycyjną nominację. Chwalą ją eksperci od wizerunku: „Ma rozległe zainteresowania, potrafi przedstawiać swoje racje prosto i logicznie, nie lubi konfrontacji, ale nie unika dyskusji. Używa naturalnego języka, nie idąc w ślady większości polityków, nie wdaje się w bezowocne spory ambicjonalne" (cytat za wirtualnemedia.pl). Jednym słowem: idealny zastępca.

Po bójkach, do których doszło w kontekście tzw. parady równości w Białymstoku, działacze LGBT głosili, że przeciwnicy tęczowej zarazy pobili wielu uczestników, którzy potem musieli korzystać z pomocy medycznej. Sprawą zajął się Marek Jakubiak, który wysłał pytania do białostockich szpitali. Odpowiedzi nie pozostawiają wątpliwości: „Nikt nie zgłosił się w trakcie marszu, a także po jego zakończeniu, z objawami wskazującymi na stosowanie przemocy" – czytamy w jednej z odpowiedzi. „Nie odnotowaliśmy zgłoszeń takich osób" – poinformował drugi szpital. A więc to, co zawsze: kłamstwa, manipulacje i metoda na Diduszko.

Ambasador Izraela w Polsce udzieliła obszernego wywiadu „Wysokim Obcasom" (dodatek do „GW"). Podzieliła się wspomnieniami o swojej rodzinie oraz refleksją na temat Polaków: „Poznałam tu wspaniałych współczesnych sprawiedliwych, jak ks. Wojciech Lemański, którzy poświęcają życie pielęgnowaniu pamięci o byłych żydowskich sąsiadach, a z drugiej strony dostrzegam okropne postawy antysemickie" – stwierdziła. Ciekawe, czy pani ambasador ma świadomość, jak dużą cegiełkę sama dołożyła do tego, co u nas złe?

Dla pani Azari ważny jest także los osób LGBT. Podkreśliła, że jej mąż Mei Azari jest jednym z pierwszych rabinów, którzy w Izraelu udzielali „ślubów" homoseksualistom. Ona sama w pełni go popiera. „Bardzo często słyszę i u was, i u nas, że osoby LGBT chcą przywilejów. Zupełnie tego nie rozumiem – jakich przywilejów? To ta sama historia co z kobietami i feminizmem – chcą tych samych możliwości co reszta" – mówi. Chyba jednak nie. Oni chcą władzy, pełnej władzy i niespecjalnie to ukrywają. To naprawdę jest tęczowa zaraza.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 6f3e763147

Ola i Jurek (prawybory)



KRZYSZTOF FEUSETTE

Halo, Juruś?

A kto, k..., ma być?

Siema, Jurek, Ola z tej strony.

Jaka, k..., Ola?

No, Aleksandra. Z Gdańska.

A to, ty? O, k..., sorry, nie poznałem cię, k...

Nie szkodzi. A co się stało?

Z czym, k...?

No, że jesteś taki zdenerwowany?

Ja nie jestem, k... zdenerwowany, tylko teraz mam taki styl. Żeby lepiej dotrzeć do młodzieży, ogarniasz? Zaprosiłem, k..., Adasia Bodnara do Kostrzyna, to wstaje gówniarz i o coś pyta, mówię mu: „Nie dyskutuj, k...”! To znaczy, „k...” nie powiedziałem, bo sobie bluzgi odkładałem na finał. Wiesz, takie k..., światełko do nieba. Widziałaś, k..., jaki show dałem?

No, ale Jureczku, ty zawsze byłeś taki uśmiechnięty, sympatyczny...

A, idź, bo ci z baśki przywalę. Wybory idą, Ola, albo my ich, k..., albo oni nas!

No, przecież wiem. A myślisz, że co ja robię. Ja już wszystkich poobrażałam. I pisowców, że przez nich młodzież w Gdańsku samobójstwa codziennie popełnia. I katolików tą procesją z waginą – no, niby potem się odcięłam, ale wiesz, jak jest. Pierwsze słowo święte, drugie...

Z głupa rżnięte. Wiem, o co chodzi. Przecież oni mnie chcą zarąbać! Ty wiesz, że ukradli mi słoik, w którym miałem puszkę na czarną godzinę? Oleńka, oni nam, mnie i tobie, odebrali, k..., Woodstock i Westerplatte!

A, co mi mówisz, przecież ja już chciałam niemiecki wycieczkowiec ściągać, żeby mi pomógł opanować to szaleństwo. Od początku prosiłam – ustalmy, jak i co będziemy świętować. Juruś, przecież ja już miałam tancerzy z Brazylii zamówionych, gołe baby z cekinami na japońskim smoku i drag queen z Sopotu, która nosem bąki puszcza, sorry, bańki. Do tego fajerwerki, paintball w piwnicach i parada niemieckich grupy rekonstrukcyjnych. Wolne miasto – rozumiesz?! Oni tam się będą zasadzali na wspominki, wieńce i cały ten patos, a u nas radość, pozytywne myślenie i tęczowe boa. Było kiedyś „Dirty Dancing”, to będzie „Dirty Danzig”, pokażemy Europie, że Polak potrafi się bawić. Jurek, przecież ja nawet pastora załatwiłam, żeby w nas umocnił wiarę w siebie, to się okazało, że Kaczyński go ekskomuniką objął, kumasz?

Ożeż, k... To już jest totalitarny totalitaryzm. Mi też zaczęli się dobierać do tyłka. Mogą mi mordę zamknąć, ale nie zamkną mi ryja. To znaczy mogą mi zamknąć usta, ale mają w mordę, nie, coś pomyliłem. K..., nie wytrzymam tego napięcia!

Spokojnie, Jureczku, to się wszystko zaraz zmieni. Już czuć ten powiew wolności. Widziałeś, co Wroński w „Wyborczej” napisał? Że Niemcy mieli więcej ofiar na Westerplatte niż Polacy. Bo tak było! Kto był z nami 1 września 1939 r.? Francuzi – nie, Anglicy – nie. A Niemcy byli. Już to się powoli przebija do świadomości społecznej. I dobrze, że Grzegorz dał na listy ludzi spoza polityki. Choćby Tomek Zimoch – jaka to jest osobowość, jaki charakter. Ty widziałeś, jak mądrze mówił w wywiadzie? Że ma trzech idoli politycznych: Wałęsę, Frasyniuka i mnie. O mnie to nawet powiedział, że prezydentem zostanę...

Chyba: „...dentką”?

Dętka prezydentka – fajne. Tylko tak się zastanawiam, czy jak już obejmę urząd, to ciągnąć tego Grzelaka za sobą, czy nie?

A kto to jest?

No, ten mój prawa ręka. Najpierw był u Pawła asystentem, potem zastępcą, a ja go zrobiłam pierwszym wiceprezydentem. Słyszałeś, jak mówił, że wojna się od złego słowa Polaka zaczęła? Żebyś ty wiedział, ile ja listów dostałam...

Z wyrazami poparcia?

Nie, z brzydkimi – żebym cymbała zwolniła. A gdzie ja znajdę lepszego, jak Rabiej już w Warszawie siedzi?

Racja. Też mam takich, co za mnie w internecie hejtują. Ale teraz sam będę nap...dalał. A potem wystawię to na Orkiestrę: Juras wali z baśki w internecie. W lustro – taniej wyjdzie. Żeby sobie, k..., człowiek nie mógł wejść na środek skrzyżowania na golasa i policjanta pobić? Żeby oni mi wyliczali, ile u mnie osób co roku na festiwalu umiera?!

Muszę kończyć, Jureczku, bo zaraz mam marynarzy z Kilonii, a śledzik jeszcze nie wyłożony. Tylko tak na koniec cię podpytam – ty masz może zamiar kandydować na Dudę, to znaczy, sorki, na prezydenta? Bo, wiesz, mam chwilkę, to dzwonię po ludziach, żeby wiedzieć, na czym siedzę. To znaczy stoję. To znaczy teraz siedzę, cha, cha... Ich liebe dich, Jurek.

Mnie wszyscy kochają. A po co ja miałbym iść na prezydenta? Przecież musiałbym całą charytatywność na żonę przepisać, a ona już nie ma gdzie tego trzymać. Mnie wystarczy, żeby celebryci, k..., serduszka nosili i żebym mógł sobie spokojnie dawać szkolenia w ośrodku postawionym za orkiestrowe pieniądze. Do końca świata i jeden dzień dłużej. Góra – dwa. Żeby kasa doszła.

8/0819/F

eprasa.pl 6f3e763147



Pamiętamy!

Przez 63 dni w siedzibie Centrali PGNiG SA w Warszawie, będzie rozwieszona flaga z symbolem Polski Walczącej.

W ten sposób Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo uczci pamięć o Powstańcach Warszawskich oraz poległych podczas powstania pracownikach gazowni miejskiej.

PGNiG

eprasa.pl 6f3e763147



Rosja

Syberia płonie

Po tym jak pożary lasów na Syberii objęły 3,6 mln ha i stały się widoczne z kosmosu, a dymy nadciągnęły aż nad Powołże, wiadomo było, że „coś z tym trzeba zrobić". Władimir Putin wydał polecenie mobilizacji lotnictwa wojskowego. Kiedy z propozycją pomocy zadzwonił do niego Donald Trump, ten grzecznie dziękując „za zainteresowanie", stwierdził, że amerykańskie wsparcie nie jest niezbędne, bo Rosja poradzi sobie sama.

Trudno się w tej sytuacji dziwić, że już po czterech dniach walki z pożarami rosyjska armia zalała media pozytywnymi informacjami. Zrzucono z wojskowych samolotów i helikopterów przeszło 6 tys. ton wody i w efekcie udało się, jak obwieszczają oficjalne komunikaty, ugasić pożary na obszarze 753 tys. ha. W to, że sytuacja jest już pod kontrolą, rosyjscy ekolodzy nie wierzą i kwestionują wojskowe raporty. Anton Wienesławskij z rosyjskiego Greenpeace obliczył nawet, że gdyby wierzyć oficjalnym danym, to oznaczałoby, że po zrzuceniu na jeden hektar płonącego lasu ośmiu litrów wody wojsku udało się ugasić szalejący tam pożar. Inni przytaczają dane z federalnej agencji zajmującej się ochroną lasów, z których wynika, że pożary udało się stłumić na zaledwie 20,7 tys. ha. Aktywiści z WWF Rosja z kolei powołują się na informacje z systemu monitoringu pożarów leśnych ISDM – Rosselchoz, z którego wynika wręcz, że obszar objęty pożarami lasów na Syberii nie tylko nie zmalał, lecz wzrósł w ciągu czterech dni wojskowej akcji gaśniczej o kolejne 405 tys. ha. Greenpeace dowodzi, że w tym roku spłonęło już 12 mln ha rosyjskich lasów.

Niezależnie jednak od statystyk nierozwikłane pozostaje pytanie, dlaczego płoną syberyjskie lasy i dlaczego ich gaszenie idzie tak opieszale. Jedną z przyczyn są zmiany klimatyczne. Aleksandr Abelin, zastępca sekretarza Rady Bezpieczeństwa, powiedział dziennikarzom na początku kwietnia, że wzrost temperatury powietrza w Rosji w ciągu ostatnich 40 lat był 2,5 razy większy niż średnio na świecie. Inną przyczyną są podpalenia. Zarówno w efekcie nieostrożności, jak i celowe, po to by zatrzeć ślady po nielegalnych wyrębach oraz aby nadpalone połacie lasu wystawić na przetarg. Podpalaczy rosyjskich lasów władze nie ścigają, w ub.r. w całym kraju skazano za to tylko sześć osób. W 2007 r. przeprowadzono w Rosji reformę. Odpowiednika naszych Lasów Państwowych zlikwidowano, a nadzór nad zasobem leśnym, w tym służby zajmujące się gaszeniem pożarów, przekazano regionom. W efekcie dziś na rosyjskiej prowincji nie ma ani sprzętu, ani ludzi, którzy mogliby walczyć z pożarami syberyjskiej tajgi.

Marek Budzisz

USA

Polityczna masakra

A więc to senator Elizabeth Warren jest winna ataku szaleńca w Dayton w stanie Ohio, który zastrzelił dziewięć osób, a blisko 30 ranił! To właśnie ta radykalnie lewicowa polityczka powinna odpowiedzieć za makabryczny czyn Connora Bettsa! Szokująca manipulacja? Jasne. Tyle że ja tylko biorę przykład z lewicowych komentatorów z CNN i polityków Partii Demokratycznej, którzy obarczają prezydenta Donalda Trumpa winą za popełnioną niemal w tym samym czasie masakrę w El Paso. Skoro walka administracji Trumpa z nielegalną imigracją miała pchnąć do masowego mordu białego rasistę, to – na zasadzie analogii – senator Warren musiała też zainspirować Bettsa. Logiczne, prawda?

Jak podał „The Washington Times", Betts przed masakrą, w której zginęła jego własna siostra, napisał na portalu społecznościowym, że jest lewakiem i satanistą. Użył nawet wyrażenia „pro-Satan". Zastrzelony przez policję morderca wcześniej ogłosił, że zamierza głosować na senator Warren, która konkuruje ze znacznie bardziej umiarkowanym Joe Bidenem o nominację demokratów w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. „Chcę socjalizmu i nie będę czekał na idiotów, by to zrozumieli" – napisał w internecie. W dniu śmierci senatora Johna McCaina umieścił na Twitterze wpis: „Je...ć McCaina".

Oczywiście nikt o zdrowych zmysłach nie będzie obwiniał senator Warren o tę zbrodnię. Nikt rozsądny nie będzie też zwalał winy na kongresmenkę Alexandrię Ocasio-Cortez i senatora Berniego Sandersa za nawoływanie do socjalizmu w USA. Jednak bardzo szybko po masakrze dokonanej przez rasistę w El Paso w sklepie pełnym Meksykanów z ust polityków lewicy od razu padły oskarżenia pod adresem Donalda Trumpa. Podczas gdy komentatorzy, celebryci i politycy lewicy w najróżniejszy sposób próbowali połączyć politykę Trumpa z masakrą w El Paso, nie usłyszałem z ust ważnych przedstawicieli prawicy ani jednej próby łączenia Bettsa z senator Warren.

To bardzo charakterystyczne, że histeria i ciosy poniżej pasa padały jedynie z lewej strony sceny politycznej. Tej samej, która porównuje Trumpa do Hitlera i Mussoliniego i straszy, że w Ameryce jest budowany faszyzm. Co będzie, kiedy kolejny Betts w to uwierzy i postanowi wyzwolić Amerykę ze znacznie większym rozmachem?

Łukasz Adamski

eprasa.pl 6f3e763147

Niemcy

Bezzębna potęga

Niemcy nie są zdolne do wypełniania zobowiązań sojuszniczych nałożonych przez NATO. Jak wynika z danych przytoczonych przez tamtejsze media, zapaść sił zbrojnych pogłębia się z każdym rokiem. Przykładowo jedynie 39 spośród 128 samolotów bojowych Eurofighter było w zeszłym roku zdolnych do lotu. Podobnie jest z starszymi maszynami Tornado. Tutaj jedynie 28 samolotów na 93 znajdujące się na uzbrojeniu Luftwaffe mogło wystartować w powietrze. Przyczyną są cięcia budżetowe, brakuje części zamiennych, a piloci spędzają więcej czasu na ziemi niż za sterami samolotów. Prawie połowa pilotów nie zdołała w zeszłym roku osiągnąć wymaganego przez NATO minimum 180 godzin rocznie w powietrzu. W rezultacie wyszkoleni piloci rezygnują ze służby. W pierwszej połowie 2018 r. sześciu odeszło z wojska (dla porównania w ciągu poprzednich pięciu lat zrezygnowało 11).

Niemcy są od dawna krytykowane przez Stany Zjednoczone za zbyt duże oszczędzanie na wojsku. Zamiast wymaganych przez NATO 2 proc. PKB ich wydatki na armię wynoszą jedynie 1,3 proc. Dlaczego Niemcy – bogate państwo – nie inwestują w siły zbrojne? Spośród wielu przyczyn ważną rolę odgrywa polityka. Zwiększaniu wydatków na armię zdecydowanie sprzeciwia się SPD – koalicjant rządzącej CDU. Politycy niemieccy zwykli tłumaczyć, że znacznie bardziej efektywną formą zapewnienia bezpieczeństwa Europie jest finansowanie imigracji, co ich zdaniem pozwala uniknąć wybuchu niekontrolowanych konfliktów wokół granic Unii Europejskiej.

Inną, nie mniej ważną przyczyną jest uwarunkowana najnowszą historią niechęć Niemców do zbrojeń, które są postrzegane jako potencjalny wstęp do militaryzacji i wzrostu nastrojów nacjonalistycznych. Zamiast tego Niemcy preferują potęgę gospodarczą i soft-power.

Nie odmawiając pewnej racji tym ostatnim argumentom (wszak z punktu widzenia Polski lepsze są Niemcy pokojowe niż wojownicze), pacyfistyczne nastroje w Niemczech także mają swoją cenę. Według sondażu Fundacji Bertelsmanna z 2016 r. aż 57 proc. Niemców sprzeciwiłoby się wysłaniu swoich wojsk na pomoc Polsce lub państwom bałtyckim w razie rosyjskiego ataku. Można się domyślać, że w ciągu ostatnich trzech lat ta liczba prawdopodobnie wzrosła. Tym też należy zapewne do pewnego stopnia tłumaczyć uległość Berlina wobec Moskwy.

Konrad Kołodziejski



Fot. Shutterstock x2, Jason Wells/Shutterstock.com



Hiszpania

Człowiek i małpa w jednym

Hiszpańscy naukowcy ogłosili, że stworzyli zarodek hybrydowy, modyfikując genetycznie embriony małpy i człowieka. Poinformował o tym kierujący projektem biolog Juan Carlos Izpisua Belmonte. Jego ekipie udało się połączyć małpi genom z ludzkimi komórkami macierzystymi. Według niego umożliwi to w przyszłości hodowanie ludzkich tkanek, narządów i układów narządów potrzebnych do transplantacji, np. serca, oczu czy trzustki.

W pracach brali udział naukowcy z katolickiego uniwersytetu w Murcii, którym towarzyszyli amerykańscy uczeni z Instytutu Salka w Kalifornii. Jako miejsce eksperymentów wybrali laboratorium w Chinach, ponieważ panujące tam ustawodawstwo i standardy bioetyczne pozwalają – jak sami to nazwali – „uniknąć dodatkowych problemów prawnych".

Już wcześniej badacze z kilku krajów prowadzili prace nad stworzeniem chimer genetycznych, w których ludzkie komórki macierzyste były łączone z embrionami zwierząt. W przypadku świń próby zakończyły się niepowodzeniem. Lepsze rezultaty osiągnięto z myszami i szczurami, jednak eksperymenty zostały przerwane na skutek licznych protestów i braku konsensu w tej sprawie na arenie międzynarodowej. Do obecnych prac wybrano małpy, ponieważ są one gatunkiem genetycznie najbliższym człowiekowi.

Nie tylko ekipa z Hiszpanii prowadzi obecnie na świecie podobne badania. Konkuruje z nią grupa kierowana przez Hiromitsu Nakauchi z Japonii, który kilka dni później ogłosił, że również pracuje nad stworzeniem chimer genetycznych. Otrzymał na to zgodę władz w Tokio, które w tym celu zmieniły nawet prawo.

Oba projekty wzbudzają wiele kontrowersji i zastrzeżeń z powodów bioetycznych. Krytycy podnoszą np. zarzuty, co się stanie, jeśli komórki macierzyste utworzą ludzkie neurony w mózgu zwierzęcia? Czy hybrydy będą wówczas obdarzone świadomością? Wiele osób nie ma wątpliwości, że przekroczono granice, których przekraczać nie wolno. Historia uczy jednak, że naukowców, którzy raz wbiją sobie coś do głowy, trudno będzie powstrzymać.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 6f3e763147

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Bez walki Polski by nie było



Jan Pietrzak

Kampania wyborcza rozkręca się na dobre. Czas układania koalicyjnych puzzli, konstruowania efekciarskich haseł... Rutyna. Jednak podskórnie odczuwa się rozedrganie materii politycznej. Gryzą się buldogi pod platformą dywanu. Personalne przeciągi hulają po korytarzach parlamentu. Pobudzony Owsiak domaga się, by ktoś mu strzelił w łeb, wzywa, żeby lać go w mordę, ale chętnych brak. Niełatwo zostać męczennikiem. Chluba wolnego miasta Gdańska – Dulkiewicz – grozi, że ją zabiją za „radosne świętowanie" napaści Niemiec na Polskę. Męczennica pojednania. Udręczony zespół Kult w tle koncertu umieszcza Danutę Holecką, Michała Adamczyka i Jacka Kurskiego w mundurach z PRL, jako prześladowców ze stanu wojennego. Spóźnieni satyrycy.

Z kolei piewca stanu wojennego, Mazguła, dziwnie się mazgai, robi się tęczowy jak burak i traci czujność. Nie dopilnował Berlinga, który spadł z piedestału przy pomocy Słomki. Jak żyć bez Berlinga w Warszawie? Gronkiewicz go hołubiła. Teraz Waltz straszy, że PiS nie odda władzy, nawet jak przegra wybory, ponieważ musiałoby „odpowiadać przed odpowiednimi organami". To mówi osoba odpowiedzialna za czyścicieli kamienic. Jej współpracownika Wojciechowicza, który chciał się zapisać do nowych posłów, odepchnęli brzydale. Inny odrzutek, Dorn, niegdyś „trzeci bliźniak", plecie piąte przez dziesiąte, byle tylko wylać z siebie nienawistną frustrację.

Ga, ga, gazeta ujawnia, że „piekło leży w środku Europy i nazywa się Polska". Prezes cytował kiedyś poetę, że „inni szatani są tu czynni". Szatańskie wersety na łamach ga, ga, gazety to codzienność. Wielowieyska demaskuje diabelskich polityków, „Orbán, Kaczyński, Trump wydobywają z ludzi to, co najgorsze" Anielski Michnik wydobył z Wielowieyskiej to, co najlepsze i zostało niewiele.

Dość groteskowo rozkręca się wyborcza bitwa o Polskę, 99 lat po poważnej bitwie, zwanej Warszawską, kiedy żołnierze marszałka Piłsudskiego pokonali czerwoną zarazę. Żyjące obecnie pokolenia mają obowiązek pokonać kolejną kolorową zarazę. Przyznajmy, w sytuacji bardziej komfortowej, kartką wyborczą, nie z szablą w ręku, ale walka jest walką. Bez walki Polski by nie było.

Wciąż mogę zaskakiwać

*Z aktorem **Robertem Czebotarem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

„Ty druha we mnie masz..."?

Robert Czebotar: Od 1995 r., kiedy jako wchodzący w zawód aktor, nagrywałem szeryfa Chudego do „Toy Story", pierwszej pełnometrażowej animacji komputerowej (dziś trafia do kin czwarta część). Zamierzchłe czasy. Bez komórek, z raczkującym internetem. Materiał był realizowany analogowo, w legendarnym Studiu Opracowań Filmów na Nabielaka, gdzie w polskiej wersji powstawała „Pszczółka Maja", ale też „Saga rodu Palliserów". Reżyserem była niezwykle zasłużona dla polskiego dubbingu Maria Piotrowska.

Za panem czwarte już spotkanie z Chudym, ale też Tomem Hanksem.

Pamiętam, jak przy pierwszej części starałem się wtłoczyć polskie kwestie to, co mówił Hanks (jako Chudy), by było to jak najbardziej naturalne. Dziś już swobodnie „oddycham" postaciami.

Liczył pan swoje głosowe wcielenia?

Po setce, gdzieś w połowie pierwszej dekady nowego tysiąclecia, przestałem.

Ma pan czasem wrażenie, że pana głos żyje własnym życiem?

Rzeczywiście, potrafię z nim zrobić bardzo dużo, zmieniać na wiele sposobów. Dzięki temu mogę tworzyć tak różne postaci. W filmach, na scenie, w Teatrze Polskiego Radia, z którym jestem związany od 1994 r., ale też w animacjach, grach komputerowych, reklamach. Na co dzień brzmię inaczej. Nieraz zdarza mi się widzieć w oczach wielki znak zapytania, jak po pierwszej scenie u dźwiękowca „Leśniczówki", w której gram Jurka Gromniaka – postać, którą też buduję sposobem mówienia. To wspaniałe, że wciąż mogę widza zaskakiwać.



Fot. Piętka Mieszko/AKPA

eprasa.pl 6f3e763147

BRONISŁAW WILDSTEIN

Abp Jędraszewski i ideologia



Jeśli Kościół miał prawo nazwać czerwoną zarazę, dlaczego nie może zachowywać się tak samo wobec tęczowej?

Poprzedni felieton poświęciłem narastającej fali agresji na duchownych w Polsce. To efekt nagonki na Kościół jako na ostoję tradycyjnych wartości, która powinna być barierą przeciw kontrkulturowej rewolucji. Na Zachodzie różnie z tym bywa, na szczęście polski Kościół pełni tę funkcję, za co płaci coraz wyższą cenę. Ostatnio mogliśmy obserwować to przy okazji homilii ks. abp. Marka Jędraszewskiego. Z okazji rocznicy Powstania Warszawskiego, odwołując się do słów poety, duchowny stwierdził, że dziś „czerwoną zarazę" zastąpiła jej tęczowa odpowiedniczka.

Jak można się było domyślić, wypowiedź spowodowała burzę. Pierwszym krokiem przeciwników była manipulacja. Jędraszewski miał odczłowieczyć osoby homoseksualne, określając je jako zarazę. Oto zawsze na posterunku „Tygodnik Powszechny": „Przesłanie kazania, które 1 sierpnia wygłosił abp Marek Jędraszewski, jest przeciwne nauce Jezusa. Metropolita krakowski wezwał do walki nie z własnym grzechem, lecz z innymi ludźmi". Czy wnosić z tego mamy, że duchownemu wolno mówić tylko o „własnych" grzechach, a kazanie ma mieć charakter publicznej spowiedzi kapłana? Czy nie wolno mu piętnować zła? Według przykazań postępowej teologii jest to niedopuszczalne, a Kościół ma funkcjonować jako automatyczna, duchowa pralnia, której zadaniem winno być odpuszczanie wszystkiego wszystkim. No, z wyjątkiem nietolerancji i fundamentalizmu, czego katolicy otwarci fundamentalnie nie będą tolerować. Tylko dlaczego do nowego wyznania mieszać Jezusa?

Przedstawiciel nowej wiary o. Paweł Gużyński domaga się dymisji krakowskiego metropolity. Chyba jednak coś dominikaninowi się pomyliło. Abp Jędraszewski jest kapłanem Kościoła katolickiego i zgodnie z jego zasadami powinien wskazywać grzech. Jeśli przeszkadza to rzecznikom jego „otwartej" wersji, to chyba oni powinni przemyśleć swoje pozostanie w Kościele?

W „TP" i we wszystkich głosach nagonki, którą zorganizowano przeciw krakowskiemu duchownemu, mamy do czynienia z zasadniczym przeinaczeniem. Kapłan nic nie mówił o ludziach, ale o złu doktryny. Jeśli Kościół miał prawo nazwać czerwoną zarazę, dlaczego nie może zachowywać się tak samo wobec tęczowej?

Metoda, którą stosują rzecznicy LGBT, jest prosta jak konstrukcja cepa. Brak akceptacji ich żądań ma być równoznaczny z żądaniem eksterminacji homoseksualistów. Oto wypowiedź zawsze ujmującej prostotą posłanki Joanny Scheuring-Wielgus: „W 2019 katolicki biskup w Polsce mówi językiem nazistów. Mówi o ludziach »zaraza«. W Rwandzie na początku też padały słowa, a potem w 100 dni zamordowano 1 mln ludzi". Wprawdzie Jędraszewski nie mówił o ludziach, ale ideologii, ale to subtelności nieuchwytne dla Scheuring-Wielgus.

Czy jednak istnieje taka ideologia? „W rzeczywistości nie ma żadnej ideologii LGBT! (...) Oni domagają się swoich praw. Nie ma tam żadnej ideologii" – ogłosiła prof. filozofii Magdalena Środa i jest to oficjalne stanowisko LGBT.

Jakich praw? Przecież mają takie same jak wszyscy obywatele. Zasiadają w polskim parlamencie, są wybierani na prezydentów miast, zakładają partie... Aha... chodzi o prawo do małżeństwa. Tyle że nie jest to prawo, a obwarowany szczególnymi warunkami związek społeczny – taki w każdym razie być powinien ze względu na obowiązek wychowania potomstwa. Fakt, że nie wszystkie małżeństwa je mają, niczego nie zmienia, tak jak fakt, że nie wszyscy żołnierze walczyli na wojnie, nie zmienia ich powołania. Homoseksualiści nie mają prawa do dzieci? Ale czy dzieci są rzeczami? Domaganie się tego pod pretekstem równych praw odsłania ideologiczny charakter ruchu LGBT. Oczywiście cała emancypacyjna ideologia ma szerszy horyzont, ale doskonale objawia się w żądaniach LGBT. Jej fundamentem jest zakwestionowanie natury i żądanie, aby, jak w każdej ideologii, wszyscy zaakceptowali takie podejście. Jeśli nie ulegają, najbardziej wpływowe środowiska organizują na nich nagonkę. Ostatni przykład. Znany amerykański aktor Mario Lopez powiedział w telewizyjnym programie, że trzylatki nie są w stanie decydować o swojej płci, a rodzice, którzy kierują się ich wyborami, narażają ich na niebezpieczeństwo. Środowiska LGBT oskarżyły go o mowę nienawiści, Wikipedia opisała jako transfoba i mizogina, od stacji NBC domagano się zerwania z nim umowy. Aktor poszedł do Canossy, przeprosił i wycofał się z wszystkiego, co powiedział.

Podziękujmy abp. Jędraszewskiemu, że również dzięki niemu nie doświadczamy jeszcze takiego ideologicznego terroru.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6f3e763147

OGNIEM NA WPROST

Czy on jest kapłanem?



W skali od jednego do dziesięciu typuję siedem. Do takiej liczby wzrosła ostatnio aktywność medialna ks. Wojciecha Lemańskiego. Jeśli chodzi natomiast o poziom wypowiadanych słów – gdzie zero oznacza totalne kłamstwo lub kompletne niezrozumienie podstawowych pojęć – to tu od lat wskazówka stanęła w miejscu między zerem a jeden. Oto najnowszy cytat z „gabloty Kuźniara", którą woził się mędrek kościelny: „To otoczenie nie wycofa się z żadnego wypowiedzianego słowa, bo musieliby powiedzieć »przepraszam«. Polskiego Kościoła na słowa »przepraszam« nie stać – stwierdził duchowny, komentując słynną wypowiedź abp. Jędraszewskiego. „Ale problem w arcybiskupie jest głębszy. Bo ta »czerwona zaraza« mu się kojarzy od wielu lat. Większość księży, którzy dzisiaj głośno wspominają »czerwoną zarazę«, to w czasach PZPR byli niżej trawy, ciszej wody". Ale pal sześć zachcianki Lemańskiego, co wzorem Ewangelii z Czerskiej żąda od wszystkich przeprosin. Ja się pytam biskupów odpowiedzialnych za akcję „Lemański reaktywacja" – warszawsko-praskiego bp. Romualda Kamińskiego, który zawiesił mu karę suspensy na terenie archidiecezji łódzkiej, oraz abp. Grzegorza Rysia, pasterza tej „czarnej owcy" – kto przeprosi mnie i setki tysięcy wiernych za Lemańskiego?

„No to jest pytanie: czy on jest kapłanem?" – zastanawia się nad oczkiem w głowie wspomnianych wyżej dwóch hierarchów ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. – Jak to łączy w ogóle z funkcją sprawowania posługi duszpasterskiej? I jak rzeczywiście ta jego posługa wygląda? Bo to też jest owiane tajemnicą. Tak naprawdę nie wiadomo, co on robi w tej diecezji łódzkiej (nie jest na normalnych zasadach). Ale to jest pytanie do jednej i drugiej diecezji, bo on formalnie przecież należy do archidiecezji warszawsko-praskiej". Przypomnijmy. We Wrocławiu atak na ks. Ireneusza Bakalarczyka. Dźgnięto go nożem. Ks. Isakowicz-Zaleski stwierdził wtedy, że zlekceważenie tej sprawy stanie się zachętą do kolejnych ataków. No i miał rację. Niedawno pobito ks. Aleksandra Ziejewskiego. Był to napad o podłożu homoseksualnym. Dwa dni wcześniej zaś w Turku agresywny mężczyzna zrzucił z krzesła w kancelarii parafialnej ks. Remigiusza Zacharka. Mężczyzna ten wraz z trzema innymi osobami chciał dokonać aktu apostazji. Teraz zaś ktoś usiłuje zastraszyć ks. Isakowicza-Zaleskiego. Na razie esemesowo: „Zabijemy cie, śledzimy" oraz „Módl się do swojego boga, bo nikt cie nie wybroni".

Coś jest na rzeczy z tym Wolnym Miastem Gdańskiem. Jak przypomniano już całej Polsce – przed II wojną światową od nazistów wprost się roiło w grodzie nad Motławą. Ale okazuje się, że nie wszystkich udało się wytępić. Przekonał się o tym red. Dawid Wildstein, dzieląc się kilkoma prawdami o postawie władz miasta w sprawie Westerplatte. Tego już nie wytrzymał jeden ze zwolenników tamtejszego KOD (nick „StanKru") i wygarnął: „Ty idioto, dziennikarzyno zafajdany, robaku zasmarkany. Czemu jątrzysz, czemu wbijasz klin między ludzi. Czemu napuszczasz rodaka przeciw rodakowi. Wyjedź do swojej kolebki, do Izraela. Tam Gdańsk nie będzie ci przeszkadzał". Od dawna podejrzewałem, że KOD to „ukryta opcja niemiecka". Po zapoznaniu się z wynurzeniami „StanKru" mogę tylko stwierdzić: to by się zgadzało.

Oj, nie mogą komuna z lewactwem zapomnieć Brygadzie Świętokrzyskiej NSZ łomotu pod Rząbcem wiosną 1944 r. „Czerwony" tam się doigrał. Bandyterka (według historyków związanych do dziś sympatią dla ideologii marksistowsko-leninowskiej – Armia Ludowa) na czele z hersztem (tzw. dowódcą) Tadeuszem Grochalem ksywa „Tadek Biały" tak sterroryzowała okoliczną ludność w ramach „aprowizacji" oddziału, że owa zdesperowana prosiła o ratunek... niemieckich żandarmów. Szybsi od nich okazali się jednak chłopcy od „Bohuna" z Brygady Świętokrzyskiej, dopadając pod Rząbcem całą tę zorganizowaną grupę przestępczą wraz z towarzyszami – spadochroniarzami z NKWD. Alowców puszczono wolno (no, może z małymi wyjątkami), a Ruski w liczbie 76 jeńców miał sporo „nagrabione", skoro próbował uciec z niewoli. I właśnie od tego momentu, kiedy stanęli za karę „pod płotem" (to działo się na wsi), datuje się wprowadzenie w Polsce słowa „faszyzm" jako określenia ideologicznego przeciwnika.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6f3e763147

Ogród na dachu falowca



Marta Kaczyńska-Zielińska

Filip Springer w wydanej sześć lat temu książce zatytułowanej „Wanna z kolumnadą" zawarł cykl reportaży opisujących zjawiska niszczące naszą przestrzeń publiczną, polegające na ogromnej liczbie chaotycznie rozwieszanych reklam, szyldów, osiedli mieszkaniowych pozbawionych jakiejkolwiek infrastruktury miejskiej, bardziej i mniej zaskakujących brył czy też rażących barw elewacji budynków w żaden sposób nienawiązujących ani niewpisujących się w otaczające je zabudowania i przyrodę. Polska sprzed kilku lat ukazana na kartach wspomnianej publikacji kojarzy się z architektoniczną dowolnością i brakiem przestrzennego ładu.

W 2015 r. pewien młody trójmiejski architekt przedstawił śmiałą i genialną w swojej prostocie wizję odnowienia gdańskich falowców. Znane ze swego rozmachu budowle z początku lat 70. charakteryzują się pstrokacizną przypadkowych barw i brakiem jednolitości geometrii elewacji, zmodyfikowanej dowolnie zainstalowanymi elementami w postaci daszków, szyb, reklam, różnokolorowych drzwi oddzielających korytarze. Fotomontaże przygotowane przez Adriana Manię ukazują falowce oczyszczone ze zbędnych elementów i pokryte subtelnym odcieniem bieli. Efekt opisanego zabiegu jest zaskakujący. Budynki, kojarzone w przeważającym stopniu z pejoratywnymi określeniami z racji ich obecnego wyglądu, w nowej odsłonie odzyskują swój modernistyczny charakter, stając się intrygującymi bryłami za sprawą uwidocznienia ich dynamicznych kształtów. Wizja przymorskich bloków w bieli wydaje się odległa, ale z pewnością nie jest abstrakcyjna. Modernizacja domów położonych niemal nad samym morzem bez wątpienia zwiększyłaby atrakcyjność tej dzielnicy Trójmiasta i poprawiła komfort życia ich mieszkańców.

Żywotność polskich domów z wielkiej płyty jest obecnie oceniana przez specjalistów na znacznie dłużej, niż pierwotnie sądzono. Wymagają one jednak technicznych modyfikacji, ocieplenia i właśnie odświeżenia elewacji, a najczęściej zmiany tzw. promocyjnych, jaskrawo pastelowych kolorów na stonowane i dostosowane do ich bezpośredniego otoczenia. Państwo dostrzega ten problem i zamierza wspierać gminy w remontach nieruchomości, z których znaczna część to bloki, zarówno te z lokalami własnościowymi, jak i większością mieszkań komunalnych. Konstrukcje wielorodzinnych wysokościowców będą mogły być w szybszym tempie wzmacniane, a ściany ocieplane dzięki premiom remontowym w wysokości 50 proc. kosztów inwestycji. Należności z tytułu remontów budynków wpisanych do rejestru zabytków lub położonych w obrębie obszarów objętych ochroną konserwatorską zostaną sfinansowane przez państwo w 60 proc. Dodatkowe środki będą przysługiwać także na wzmocnienie konstrukcji budynków oraz na instalację odnawialnych źródeł energii. Środki pieniężne będą pochodzić z Banku Gospodarstwa Krajowego, ze specjalnie utworzonego na ten cel funduszu termomodernizacji i remontów. Dzięki wsparciu rządu najprawdopodobniej, począwszy od 2020 r., wyremontowanych może zostać nawet ok. 60 tys. domów, a 12 mln ich mieszkańców odczuje poprawę jakości życia w cieplejszych i bardziej energooszczędnych mieszkaniach.

Wiele wskazuje na to, że do Polski dotarła także popularna w krajach anglosaskich moda na tzw. kieszonkowe parki. Odnowione elewacje budynków zyskają zatem szansę współgrania z jeszcze bujniejszą miejską zielenią. Pocket parks to przestrzenie wygospodarowane w mniejszych i większych aglomeracjach po nieużytkach, gdzieniegdzie na dachach czy też na nienadających się do zabudowy działkach pomiędzy domami, w których samorządy zakładają niewielkie, dostępne publicznie parki. Dają wytchnienie od zgiełku miasta zarówno w Nowym Jorku (istniejący od 1967 r. i zaledwie liczący 400 m Paley Park), Kuala Lumpur (APW BangSar), jak i w Krakowie, gdzie w 2018 r. planowano utworzenie aż 18 takich miejsc, w Łodzi, we Włocławku i Trójmieście.

Z ogromnym smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

śp.

Romualda Lazarowicza

działacza opozycji przedsierpniowej,
wielkiego człowieka Solidarności, pisarza i publicysty,
redaktora naczelnego podziemnego pisma „Z Dnia na Dzień",
drukarza i wydawcy drugiego obiegu,
współtwórcy Radia Solidarność Walcząca,
odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Wolności i Solidarności, Krzyżem Solidarności Walczącej,
Medalem za Działalność Opozycyjną „Niezłomni", Krzyżem WiN,
wyróżnionego tytułem Kustosza Pamięci Narodowej.

Rodzinie i Bliskim składam najszczersze wyrazy współczucia.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

20/0819/F

eprasa.pl 6f3e763147

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Słodziak

Prawdziwy słodziak z prezydenta Warszawy. Okazało się, że budżet na artykuły spożywcze dla gabinetu Rafała Trzaskowskiego między kwietniem a grudniem wyniósł 37,5 tys. zł. Rzecznik stołecznego ratusza tłumaczył, że te pieniądze przeznaczono na ciastka i paluszki oraz możliwe, że także na cukierki. Za taką kwotę można kupić niemal dwie tony kruchych ciasteczek. Najwyraźniej strefa relaksu zatacza coraz szersze kręgi.



1488
dol.
– tyle w połowie tygodnia kosztowała uncja złota. Ostatni raz cena tego kruszcu była tak wysoka w 2013 r.

10
mln zł
– taką karę nałożyła na Alior Bank Komisja Nadzoru Finansowego. Według KNF bank naruszył przepisy ustawy o obrocie instrumentami finansowymi.

4
tys.
– tylu pracowników zamierza zwolnić brytyjski holding finansowy HSBC.

Duma?



„W Amsterdamie dobiegła końca tzw. parada dumy. Przez tydzień środowiska LGBT+ przekonywały społeczeństwo do swoich racji. W programie warsztaty filmów porno, promocja pedofilii, homowycieczki dla dzieci... Wszystko z poparciem »otwartych chrześcijan« oraz władz" – informuje pch24.pl. Jedna z najsłynniejszych homoimprez w skali świata odbywa się na przełomie lipca i sierpnia. W tym roku „Muzeum historii miasta, mieszczące się w dawnym beginażu Begijnhof, położonym tuż obok miejsca amsterdamskiego Cudu Eucharystycznego i jego sanktuarium Heilige Stede (niestety zburzonego), zorganizowało razem ze stowarzyszeniami LGBT warsztaty kręcenia własnego filmu porno. Natomiast amsterdamskie ZOO przygotowało dla dzieci (sic!) specjalny darmowy (w odróżnieniu od normalnych wycieczek) program zwiedzania poświęcony poznawaniu homo-, bi- i transseksualnych zwierząt" – czytamy na blogu „Adoptuj kościół w Holandii". Serio ktoś jeszcze wierzy, że tu chodzi o równość?

Gang feministek

Hiszpańska feministyczna organizacja fałszowała dokumenty, żeby odbierać dzieci ojcom – wynika z policyjnego raportu. Chodzi o powiązaną z politykami lewicowej partii Podemos organizację Infancia Libre (Wolne Dzieciństwo). Według policji działała ona niczym grupa przestępcza. Taka ocena wynika z analizy kilkudziesięciu wykrytych przypadków fałszowania dokumentów przez organizację. Dochodzi do tego głównie w Madrycie i Grenadzie. „Według autorów policyjnego raportu aktywistki feministycznej organizacji dopuściły się w ostatnich latach wielu fałszerstw służących odebraniu ojcom praw do opieki nad dzieckiem. Kobiety denuncjujące takie przypadki to zwykle matki należące do Infancia Libre lub osoby sympatyzujące z tym stowarzyszeniem. W procederze pomagali im zaprzyjaźnieni lekarze i prawnicy" – informuje superstacja.tv. To może jeszcze mi powiecie, że feministkom chodziło wyłącznie o dobro dzieci?



eprasa.pl 6f3e763147

Czerwona rodzina



Skoro o słodkościach mowa, to Główny Inspektorat Sanitarny poinformował o wycofaniu ze sprzedaży jednej partii ozdoby cukierniczej „Biedronka czerwona rodzina". Powodem decyzji jest wysoki poziom E 124 – czerwieni koszenilowej A. Zawartość tego barwnika spożywczego przekroczyła w produkcie ponad 67-krotnie dopuszczalny poziom. Może to jeszcze nie czerwona zaraza, ale na pewno czerwona trucizna.

W związku z brakiem demokratycznych struktur w Wiośnie kluczowe decyzje podejmowane są na randkach lidera tej partii i jego partnera, a aktywiści o kolejnych woltach dowiadują się z mediów" – stwierdził były doradca Roberta Biedronia Michał Syska, opuszczając Wiosnę. Proponuję tej partii wyborcze hasło „Nie róbcie polityki w łóżku!".

Informacja

W jednym z ostatnich numerów „Sieci" przypomniałam państwu sylwetkę Marii Sokołowskiej, dziś Kobylińskiej, która pięć lat temu nazwała Donalda Tuska „zdrajcą". W tekście pojawił się cytat z bloga bohaterki tekstu, która umieściła na nim rozmowę z szafiarką zwaną „Królową Lumpeksów". Cytowany fragment dotyczył Maryi: „Zdradzisz swój patent na znalezienie »perełki« w lumpeksie? – Z przyjemnością! Jest nim... Maryja. Jakiś czas temu moja ciocia nazwała lumpeksy sklepami Maryi. Bardzo mi się ta nazwa spodobała. Od tego czasu zawsze proszę Maryję – którą traktuję jak mamę – o odłożenie mi czegoś ładnego". Jednak w procesie pracy redakcji Maryja została Marysią, co sugerować by mogło, że „Królowa Lumpeksów" mówiła o bohaterce mojego tekstu, tymczasem cytowany fragment dotyczył Matki Boskiej. Za błąd redakcji przepraszam.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), Internet

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

T-shirt z eksterminacją



Dominik Zdort

Nie mam nic przeciw ideologicznym koszulkom tak długo, jak są w miarę estetyczne, nie prezentują obrzydliwości, nie obrażają konkretnych ludzi. Nie bardzo podoba mi się na przykład T-shirt z napisem „Zakaz pedałowania", bo nie dość, że prezentuje ohydną czynność, to jeszcze szydzi z rowerzystów. Natomiast koszulki z „Konstytucją", minimalistyczne i skromne w stylu i kolorystyce, mogą być. Choć bardziej podoba mi się to samo wdzianko z napisem w wersji skróconej. To strój dla ludzi uwielbiających krzyżówki. Co to będzie: jeden pionowo, cztery poziomo? „OTUA".

Widząc, jak ulice Warszawy zalewają koszulki patriotyczne, raczej się cieszę, bo noszą je głównie ludzie młodzi. Większość tych T-shirtów zaprzecza tezie, że my, Polacy, czcimy tylko porażki. Mamy na nich husarię, zwycięskie bitwy z czasów I Rzeczypospolitej, dawnych władców, Dmowskiego i Piłsudskiego. Są też nasze klęski, ale – jak rozumiem – nie chodzi tu o świętowanie śpiewem i tańcem najazdu niemieckiego na Polskę, ale o uczczenie bohaterstwa tych, którzy polegli.

Choć Warszawa to miasto raczej liberalno-lewicowe, ludzi w koszulkach demonstrujących to widać znacznie mniej. Obok wspomnianej powyżej „OTUA" czasem pojawi się jakiś Che Guevara, ale to w zasadzie wszystko. Nie widać nawet T-shirtów krytycznych wobec Kościoła, choć antyklerykalizm w stolicy trzyma się mocno. Gdy Tomasz Sekielski zaczął sprzedawać stroje z tytułem filmu „Tylko nie mów nikomu", wywołało to oburzenie. Chyba także wśród jego fanów, bo gdyby awanturowali się jedynie przeciwnicy, toby się nie wycofał. Mam w tej sprawie teorię: otóż zamieszkujący miasto liberałowie po prostu nie odczuwają potrzeby publicznego pokazywania swoich poglądów, demonstrowania przynależności do jakiejś wspólnoty.

Cieszę się, że Sekielski poszedł w sprawie koszulek po rozum do głowy. Ale też doradzałbym zimny prysznic prawicowym fanom T-shirtów znaczących. Są bowiem granice, których przekraczać się nie powinno. Idąc wraz z setkami warszawiaków przed paroma dniami w rocznicę eksterminacji mieszkańców Woli w czasie Powstania Warszawskiego, dostrzegłem grupkę młodych aktywistów w koszulkach z upiornym krwawym napisem „Rzeź Woli". Rozumiem, że należy czcić rocznice i oddawać hołd ofiarom, ale to nie jest dobry kierunek. Bo co napiszecie na koszulkach w następnej kolejności? Pawiak? Palmiry? Auschwitz?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 6f3e763147

RZECZY POSPOLITE

Bolszewicka zaraza



Tomasz ***Łysiak***

Przed czym broniliśmy siebie i cały zachodni świat w 1920 r.? Przed bolszewicką zarazą. Jeśli uznajemy Bitwę Warszawską za jedną z najważniejszych w dziejach świata (tak jak to uczynił lord D'Abernon, sytuując ją jako 18. nie w sensie „wagi", lecz po prostu jako kolejną na liście), to nie tylko z racji militarnej, lecz przede wszystkim cywilizacyjnej. Najazd bolszewicki wiązał się przecież i z zagrożeniem związanym z utratą niepodległości, i z okupacją Polski, a w dalszej perspektywie także Europy. Czym była barbarzyńska dzicz, przekonywali się ci Polacy, którzy mieli bezpośrednią styczność z tą niszczycielską nawałą.

Ta sama dzicz eksterminowała później naszych rodaków – nie tylko w trakcie wojny, lecz i przed. Ludobójstwo Polaków dokonane przez NKWD w latach 1937–1938 na terenach, które znajdowały się poza terytorium II RP, doskonale pokazuje, co czekałoby nas (i Europę), gdyby nie to warszawskie zwycięstwo roku 1920. Bo przecież początkowo bolszewicka zaraza usiłowała zmusić Polaków, by dali się zainfekować bolszewicką ideologią. To w tym celu tworzono najpierw „idealne" warunki, pompując nawet kasę w te „polskie regiony" tylko po to, aby przekabacić dusze i mózgi na sowiecki sposób myślenia i rozumienia świata. Nie udało się – zbytnio byliśmy przywiązani do tradycji, do dawnych wartości, do całego systemu moralno-etycznego, w którym się wychowywaliśmy. Zapadł więc wyrok śmierci, który potem systematycznie, jak w fabryce, był wykonywany przez NKWD.

Tak w praktyce wyglądało urządzanie „szczęśliwego świata" przez komunistów, którzy przekładali utopijną teorię na morderczą praktykę. Zaraza w tym sensie dotyczy więc ideologii, która niszczy i rujnuje ludzi. Jednych sprowadza do roli morderców, innych do roli ofiar. Szczęście, że daliśmy jej wtedy odpór – prowadzeni do boju przez genialnych wojskowych, z Piłsudskim na czele, przez wspaniałych kapłanów, którzy do walki z bolszewicką nawałnicą wzywali w świątyniach i na linii frontu. Ksiądz Skorupka pięknym jest tej duchowej, a nie tylko fizycznej, walki przykładem i bohaterem.

Durszlak Tomasza



Piotr ***Cywiński***

Będzie o Tomaszu. Raczku Tomaszu. Gdyby ktoś nie kojarzył, kto zacz, teraz musi już wiedzieć, bo Tomasz sam o to zadbał. Rozpowszechnił na Twitterze dwie grafiki: biało-czarny konterfekt Hitlera i w negatywie – po obniżeniu kwadracika wąsów – postać z koloratką, co opatrzył podpisem: „Widzę to, co teraz czuję". Czyli co Tomasz widzi i czuje? Że zamordyzm u nas neonazistowski i pewnie wkrótce przyjdą podpalić mu dom, runą wojskiem Błaszczaka i pod drzwiami staną, i nocą kolbami do drzwi załomocą... Już słyszę uszami wyobraźni, jak drżącemu ze strachu Tomaszowi i jego partnerowi stukają w nocnej ciszy ząbki o ząbki. Bo chodzi o to, że Tomasz sypia z..., duchowni mają coś do LGBTQ+, a rządzący ramię w ramię z duchownymi, więc stąd ten Błaszczak i Tomaszowa bojaźń.

Gdyby jednak ktoś z młodzi nadal nie kojarzył Tomasza Raczka, podsuwam, że to publicysta, krytyk filmowy, wydawca, a w ogóle zawodowy kierownik, dyrektor i redaktor naczelny w wielu miejscach, których z braku miejsca nie wymienię. W 2007 r. Tomasz ujawnił się, że jest gejem. Po prawdzie żaden to coming out, wszyscy wiedzieli o tym od dawna. W latach 80. byliśmy z Tomaszem jurorami na Festiwalu Artystycznym Młodzieży Akademickiej FAMA w Świnoujściu. Do Tomasza przyjechał jego ówczesny chłopak, prowadzali się razem na imprezy i po promenadzie i nikomu to nie przeszkadzało. Ale skoro „się ujawnił", pewnie miał w tym jakiś cel. Rok później już całkiem oficjalnie niemiecki tygodnik „Gala", wprowadzony wcześniej na polski rynek przez Tomasza, który był dyrektorem wydawnictwa Gruner+Jahr Polska, uznał jego i jego partnera Marcina za „najpiękniejszą parę roku". I gala była, że hej!

Tomasz jest inteligentny, oczytany, miło się z nim gadało na tematy różne, ale coś, niestety, się z nim porobiło... – nie ten Tomasz! Nie wiem, może zjadł za mało albo wypił za dużo, może z partnerem się pokłócił... Skoro inteligentny, więc rozumie, co znaczy: prowokacja, że to działanie obliczone na spowodowanie emocjonalnej reakcji, wymuszenie niekontrolowanych zachowań, ze złamaniem prawa włącznie. Znam Tomasza na tyle, iż wiem, że nie maszerowałby Marszałkowską na golasa z fioletowymi piórami w... ani nie odprawiał mszy w durszlaku na głowie, a już fizyczna napaść na księdza... – wykluczone! Więc coś Ty, Tomaszu, z tym Hitlerem i koloratką, i że pod drzwiami staną, i nocą kolbami do drzwi załomocą? Twój imiennik, tyle że Mann, pisał: „Być zadowolonym z siebie – to największe szczęście". Jesteś z siebie zadowolony...?

eprasa.pl 6f3e763147

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: MICHAŁ KLAG/PAP, SEDAT SUNA/EPA/PAP, OLIVER COLTHART/SHUTTERSTOCK, MAREK BARCZYNSKI/EAST NEWS, ROBIN UTRECHT/EPA/PAP, DAVE SMITH 1965/SHUTTERSTOCK, MIGUELA. LOPESS/EPA/PAP, KRAEVA OLGA/SHUTTERSTOCK, M.LASYK/REPORTER, PETER FOLEY/EPA/PAP, ANDRZEJ WIKTOR, MAT.PRASOWE

eprasa.pl 6f3e763147

Abp Jędraszewski bije na alarm

Mowa krakowskiego metropolity może być odczytywana jako wezwanie do przebudzenia. Jeśli będziemy bowiem bezczynni, to już wkrótce możemy się obudzić w tęczowym totalitaryzmie



GRZEGORZ GÓRNY

Słynna już homilia abp. Marka Jędraszewskiego z 1 sierpnia wywołała wiele emocjonalnych reakcji, zwłaszcza ze strony tych, którzy się nie zgadzali z jej treścią. Krakowskiego metropolitę oskarżono o szerzenie mowy nienawiści, brak chrześcijańskiego miłosierdzia czy pogardę dla ludzi o odmiennej orientacji seksualnej. Internet natychmiast zapełnił się obraźliwymi komentarzami pod adresem dostojnika. Pod budynkiem kurii zorganizowano demonstrację pod hasłem „Jędraszewski siewca nienawiści". Robert Biedroń nazwał hierarchę „diabłem wcielonym" i zapowiedział, że napisze w jego sprawie list ze skargą do papieża Franciszka.

Arcybiskup doczekał się słów krytyki nie tylko od ludzi spoza Kościoła, co było do przewidzenia, ale także z samego środka Kościoła. „Tygodnik Powszechny" napisał, że przesłanie kazania metropolity jest „przeciwne nauce Jezusa". Ks. Wojciech Lemański skomentował: „Żenada, wstyd, kompromitacja". Doszło nawet do bezprecedensowej sytuacji, iż do rezygnacji arcybiskupa wezwał publicznie duchowny. Dominikanin o. Paweł Gużyński uruchomił internetową akcję, by „wytwarzać nieustający nacisk" na metropolitę, aby ten podał się „honorowo" do dymisji. Z przecieków wynika, iż z niektórych kręgów katolickich do Watykanu słane są donosy na metropolitę, by wymusić zdyscyplinowanie go, a może nawet odwołanie przez Stolicę Apostolską.

Krytycy przeciwstawiają przy tym postawę „złego arcybiskupa" „dobremu papieżowi". Zdają się jednak zapominać o głośnej wypowiedzi Franciszka ze stycznia 2015 r., gdy porównał ondziałania tych, którzy narzucają dzieciom ideologię gender, do indoktrynacji prowadzonej przez Hitlerjugend. Trzeba przyznać, że przy takiej paraleli „tęczowa zaraza" brzmi niezwykle blado (ani „Tygodnik Powszechny" nie nazwał jednak tej wypowiedzi „przeciwną nauce Jezusa", ani o. Gużyński nie uruchomił akcji odwołania arcybiskupa). Ci, którzy mają nadzieję na interwencję Watykanu, mogą się jednak przeliczyć z jeszcze jednego powodu: w kurii rzymskiej do dziś pamiętają, jak Franciszek za sprawą Fundacji „Nie lękajcie się" padł ofiarą manipulacji, całując ręce Marka Lisińskiego, który okazał się oszustem.

Takiej nagonki medialnej jak abp Jędraszewski nie przeżył jednak po upadku komunizmu żaden hierarcha katolicki w Polsce. W tej grze chodzi o zastraszenie go i zmuszenie do milczenia. Dlaczego jednak jest to takie ważne? Co takiego powiedział krakowski dostojnik, że wywołał tak wiele emocji?

Emocje nie są najlepszym doradcą, gdyż często przyćmiewają racjonalną ocenę sytuacji. Warto więc odłożyć je na bok i przyjrzeć się na chłodno homilii dostojnika. Czy jego diagnoza była trafna? I dlaczego wywołała tak wielki sprzeciw?

Abp Jędraszewski powiedział: „Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąca opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa".

Pierwszy zarzut pod jego adresem brzmiał, że swą wypowiedzią obraził wielu ludzi. Zauważmy jednak, że nie odnosił on się do osób, lecz do zjawisk. Wpisywał się w tradycję Kościoła, która każe kochać grzesznika i nienawidzić grzechu. Z jednej strony katolicyzm głosi, że każdy homoseksualista jako dziecko Boże, stworzone na obraz i podobieństwo Boga, posiada nieskończoną godność i należy mu się szacunek. Z drugiej strony – właśnie w imię tego szacunku i miłości bliźniego – Kościół uznaje, że nie może takich osób oszukiwać i jest im winny prawdę o grzeszności stosunków homoseksualnych. Tego typu akty – zgodnie z Magisterium – niszczą bowiem w człowieku obraz Boży, na którego podobieństwo został stworzony.

Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

eprasa.pl 6f3e763147



epiasa.pl 6f3e763147

CZY LGBT TO IDEOLOGIA?

Sformułowanie „tęczowa zaraza" – podobnie jak „czerwona zaraza" – należy rozumieć w sensie metaforycznym jako toksyczną ideologię. Podkreśla to przymiotnik „neomarksistowska", wskazujący na powinowactwo obu systemów. Ideologia głoszona pod sztandarami sześciobarwnej tęczy – analogicznie jak marksizm – oparta jest (by użyć sformułowania Jana Pawła II) na „błędzie antropologicznym", czyli na fałszywej wizji człowieka. Komunizm widział istotę ludzką jako homo oeconomicus, a całe jego istnienie wyjaśniał w kategoriach stosunków produkcji. Tęczowa ideologia, której wyrazicielami są środowiska LGBTQ bazujące na teorii gender, najgłębszym zrębem ludzkiej tożsamości czynią z kolei seksualność.

W przypadku genderyzmu – wbrew temu, co utrzymują jego zwolennicy – możemy mówić o ideologii. Zgodnie z uznaną powszechnie definicją ideologia jest powstałą na bazie danej kultury wspólnotą światopoglądów, u której podstaw tkwi świadome dążenie do realizacji określonego interesu klasowego, grupowego lub narodowego. Mianem tym określa się każdy zbiór uporządkowanych poglądów, które służą podzielającym je ludziom do objaśniania otaczającej rzeczywistości. Łączą ich wizja świata, system wartości i dyrektywy praktycznego działania. Wskazują oni cele swej aktywności oraz dopuszczalne sposoby ich osiągania, motywując zasadność postępowania względami, które uważają za wyższe od jednostkowego interesu. Na najgłębszym poziomie ideologie zaspokajają potrzebę odpowiedzi na pytania o sens i sposób życia.

Jeśli przyłożymy tę charakterystykę do teorii gender i wynikającej z niej praktyki środowisk LGBTQ, to zobaczymy, że spełniają one wszystkie elementy składowe klasycznej definicji ideologii. Mamy bowiem do czynienia z konkretną wspólnotą światopoglądową, która realizuje określony cel grupowy.

CZY LGBT TO IDEOLOGIA NEOMARKSISTOWSKA?

Opiera się ona na wspólnych założeniach, które abp Jędraszewski nazwał neomarksistowskimi. Narodziły się one bowiem w XIX stuleciu w środowiskach utopijnych socjalistów i pierwszego pokolenia marksistów. W ich dziełach, a zwłaszcza w pracy „O pochodzeniu rodziny, własności i państwa" Fryderyka Engelsa z roku 1884, zawarty był już w formie zalążkowej program rewolucji seksualnej, który zaczęto realizować po zdobyciu władzy przez bolszewików w Rosji Sowieckiej pod nadzorem osławionej Aleksandry Kołłontaj. Przez pierwszych dziewięć lat reżimu komunistycznego stanowił on oficjalną część polityki społecznej państwa.

Samo sformułowanie „rewolucja seksualna" nie powstało w latach 60. XX w. USA, lecz w latach 20. w ZSRS. Pierwszy wprowadził je do obiegu publicznego dyrektor Moskiewskiego Instytutu Higieny Społecznej Grigorij Batkis, autor broszury „Rewolucja seksualna w Związku Sowieckim". W latach 1917–1926 Kraj Rad był najbardziej libertyńskim obyczajowo państwem na świecie, w którym hasło „seks jak szklanka wody" było realizowane w praktyce i objaśniane w teorii. Dziś w Rosji powstają dziesiątki niezwykle ciekawych i bogato udokumentowanych prac naukowych, które odtwarzają historię tego wymazanego ze świadomości zbiorowej eksperymentu społecznego.



Fot. Jakub Kamiński/East News

Zakończył go Stalin, który stwierdził, że generuje on zbyt wielkie koszty społeczne (kryzys demograficzny, plaga chorób wenerycznych, przepełnione sierocińce itd.). Nastąpiła więc zmiana kursu w kierunku purytanizmu obyczajowego. Część działaczy komunistycznych uznała jednak, że rewolucja została zdradzona. Centrum ich aktywności przeniosło się wówczas do Niemiec, gdzie zaczęto wprowadzać rozwiązania testowane wcześniej w Związku Sowieckim. Pierwszoplanową rolę w tym gronie odgrywał Wilhelm Reich, twórca programu „proletariackiej edukacji seksualnej" (tzw. prol-sexu), który założył w Berlinie Niemieckie Towarzystwo Proletariackiej Polityki Seksualnej (Sex-Pol) i organizował sieć klinik edukacji seksualnej. Blisko współpracował on z Instytutem Badań Społecznych (pierwotnie Instytutem Marksizmu), zwanym potocznie Szkołą Frankfurcką. Każdy, kto oglądał film „Kabaret" z Lizą Minelli, wie, że Berlin był wówczas stolicą rewolucji seksualnej w Europie. Nie wie już jednak, że największą zasługę w tym mieli działacze marksistowscy, zauroczeni pierwszym okresem władzy bolszewickiej.

Po objęciu rządów przez Hitlera wielu z nich wyemigrowało do USA, m.in. wspomniany już Wilhelm Reich, Herbert

eprasa.pl 6f3e763147



Pod siedzibą Nuncjatury Apostolskiej w Warszawie środowiska LGBT zorganizowały w ubiegłym tygodniu protest, domagając się odwołania arcybiskupa Jędraszewskiego

Marcuse i przedstawiciele Szkoły Frankfurckiej, którzy zdobyli duże wpływy w środowiskach akademickich za oceanem. To właśnie oni przygotowali na amerykańskich kampusach grunt pod rewolucję '68, która postulowała daleko idące przemiany obyczajowe. Na przykładzie konkretnych ludzi oraz idei da się wywieść ciągłość między rewolucją seksualną w wydaniu komsomolców i dzieci kwiatów.

Dla obu ruchów pierwszorzędne znaczenie ma „emancypacja", czyli wyzwolenie człowieka. Podstawę ich światopoglądu stanowi przekonanie, że istota ludzka jest spętana licznymi ograniczeniami, z których musi się uwolnić, by zrealizować potencjał swojego człowieczeństwa i osiągnąć szczęście. Dla Marksa i Engelsa owymi więzami, z których należało wyzwolić ludzkość, były m.in. własność prywatna, religia chrześcijańska, tradycyjna moralność czy patriarchalna rodzina. Ta ostatnia jawiła się jako filar starego porządku, który należy zburzyć. Dlatego promowano zachowania seksualne niszczące naturalny porządek małżeński i rodzinny.

Nowa lewica przejęła od starej marksistowskie schematy myślenia i przełożyła je na pojęcia kulturowe. Aktualny pozostał postulat „emancypacji", która obejmuje coraz to inne grupy społeczne. Dziś miejsce proletariuszy, których należy wyzwolić od opresyjnych struktur społecznych, zajęły mniejszości seksualne. Jeszcze dalej idzie ideologia gender, która chce wręcz wyzwolić człowieka z jego gatunkowej istotowości, negując istnienie tylko dwóch komplementarnych płci. Jeszcze kilkanaście lat temu przedstawiciele tego środowiska mówili, że istnieje sześć płci: oprócz męskiej i żeńskiej – lesbijska, gejowska, biseksualna i transseksualna (stąd skrót LGBT). Obecnie natomiast utrzymują, że owych płci jest aż kilkadziesiąt (stąd dodana nowa litera Q, czyli Queer, oznaczająca legion wszystkich innych płci nieheteronormatywnych).

Genderyzm (podobnie jak marksizm) chętnie odwołuje się do naukowości i (podobnie jak on) ma z nią tyle samo wspólnego. Główną teoretyczką tej ideologii jest amerykańska feministka Judith Butler, która uważa, że nikt nie rodzi się kobietą ani mężczyzną, lecz zostaje na przedstawiciela płci męskiej lub żeńskiej „performatywnie mianowany". Cóż to znaczy? Otóż istnieją takie zdania, które kreują rzeczywistość. Na przykład: „Ogłaszam was mężem i żoną". Albo: „Mianuję cię generałem". Są to pewne słowa zaklęcia. Takim samym zaklinaniem rzeczywistości jest – według Butler – okrzyk położnej, która odbierając poród i widząc narządy płciowe noworodka, oznajmia: „Chłopiec" lub „Dziewczynka". Owa akuszerka – jej zdaniem – nie opisuje stanu faktycznego, lecz tworzy mityczną narrację, której ulegają rodzice i otoczenie niemowlęcia, bezmyślnie i nieświadomie podtrzymując to nieuzasadnione mniemanie i wprowadzając je następnie do świadomości dziecka.

Przedstawiciele genderyzmu chcą zmienić ten stan rzeczy i dać jednostce wolność wyboru własnej płci bez nacisku społecznego. To kolejny etap „emancypacji", wyzwolenia człowieka z ograniczeń narzuconych mu przez cywilizację, kulturę, a nawet biologię. Absolutna wolność okazuje się wolnością od praw natury, możliwością kreowania nawet własnej płci, kierowaną jedynie wolą.

Przyjmując perspektywę gender, musimy zatem uznać, że od zarania dziejów ludzkość tkwiła w fałszywym przekonaniu, że istnieją tylko dwie płcie. Potrzeba było tysięcy lat, by w końcu pojawiła się Judith Butler i oświeciła nas, wyprowadzając z tego fatalnego błędu. Jak wiemy, złe drzewo nie może przynosić dobrych owoców. System zbudowany na fałszu nie może dać szczęścia, ponieważ jest zepsuty od samych korzeni. Z tego powodu marksiści odrzucali kapitalizm, ponieważ opierał się na własności prywatnej, którą należało zlikwidować. W tym sensie ideologia gender idzie jeszcze dalej. Negując antropologię opartą na dwóch płciach, siłą rzeczy musi odrzucać cały porządek zbudowany na tym fundamencie, wspólny dla wszystkich istniejących dotąd cywilizacji. Nie było bowiem do tej pory w dziejach świata cywilizacji, w której panowałaby wielość płci. Nigdy nigdzie nie pojawiła się też instytucja „homoseksualnych małżeństw" ani adopcji dzieci przez pary jednopłciowe. To się rodzi dopiero teraz na naszych oczach. Mamy więc do czynienia z wielkim zbiorowym eksperymentem dokonywanym na żywym organizmie społecznym i wprowadzanym już w wielu krajach środkami politycznymi, prawnymi, edukacyjnymi i kulturowymi.

Ów gigantyczny projekt cywilizacyjny ma jednak nader wątłe podstawy. Zwolennicy Judith Butler, zarzucając innym myślenie mityczne, tworzą swoją mitologię. Jej istotą pozostaje używanie słów zaklęć. Zaklinanie rzeczywistości nie zmieni jednak praw natury. Choćbyśmy wybrali na Facebooku jedną z 56 płci, i tak możemy być tylko mężczyznami

eprasa.pl 6f3e763147

lub kobietami. Głosząc takie poglądy, możemy zostać jednak oskarżeni o mowę nienawiści, homofobię czy transfobię.

W ideologii gender znajdziemy wiele niekonsekwencji. Skoro płeć to nie stan, lecz płynny proces, to znaczy, że można ją dowolnie zmieniać, gdyż wszystko pozostaje kwestią wolnego wyboru, a decydująca jest świadomość. Jeśli więc ktoś czuje się źle jako mężczyzna i chce zostać kobietą, może pójść do lekarza, który pomoże mu ten stan zmienić.

Analogicznie powinno być z homoseksualistami, którzy czują się nieszczęśliwi z powodu swej preferencji płciowej. Logicznie rzecz biorąc, zgodnie z postulatami gender powinni oni spotkać się ze zrozumieniem środowisk LGBTQ. Mamy przecież do czynienia ze świadomym wyborem człowieka, który chce zmienić swój status seksualny. Okazuje się jednak, że w tym wypadku nie ma on takiego prawa i nie może skorzystać z pomocy, ponieważ byłby to przejaw homofobii. Środowiska gejowskie żądają więc zakazu terapii mającej na celu osiągnięcie przez osoby o skłonnościach homoseksualnych trwałej zdolności do zawarcia stałego związku heteroseksualnego. W niektórych krajach udało im się to wywalczyć i tego typu praktyka została prawnie zabroniona. Trudno o lepszy przykład zideologizowanego myślenia.

CZY LGBT CHCE „OPANOWAĆ NASZE DUSZE, SERCA I UMYSŁY”?

Przedstawiciele ideologii LGBTQ nie są ludźmi mającymi niecne intencje. Oni po prostu szczerze wierzą, że ich wizja świata (z wielością płci jako głównym punktem odniesienia) jest prawdziwa, wyzwalająca i uszczęśliwiająca. Dlatego chcą zorganizować naszą rzeczywistość zgodnie z tą wizją. Dlatego wprowadzają swą agendę do prawodawstwa, systemów edukacyjnych i obiegu kulturowego. Docierają już nie tylko do szkół, lecz nawet do przedszkoli. Każdy przejaw krytyki wobec ich postulatów traktowany jest wręcz jako zbrodnia.

Mamy więc do czynienia ze swoistym paradoksem. Ideolodzy gender najczęściej prezentują się jako zwolennicy wolności. W ich oczach to tradycyjne społeczeństwo narzuca ograniczenia, wywiera nacisk, tłamsi wolność, natomiast środowiska LGBTQ jawią się jako ofiary, np. mowy nienawiści czy homofobii. W rzeczywistości te ostatnie pojęcia są tak nieostre i pojemne, że można pod nie podciągnąć niemal wszystko. Za „homofobiczne” uznano np. stwierdzenie Jarosława Gowina, że dziecko dla swego prawidłowego rozwoju powinno posiadać ojca i matkę. Niedawno amerykański aktor Mario Lopez stał się celem kampanii medialnej zorganizowanej przez lobby LGBTQ tylko dlatego, że wyraził publicznie wątpliwość, czy to dobry pomysł, by maluchy w wieku trzech lat same wybierały sobie płeć. Zagrożony utratą pracy złożył samokrytykę i wyraził skruchę za swą „transfobiczną” wypowiedź.

> Abp Jędraszewski w swojej wypowiedzi nie odnosił się do osób, lecz do zjawisk. Wpisywał się w tradycję Kościoła, która każe kochać grzesznika i nienawidzić grzechu

Za takimi oskarżeniami bardzo często idą konkretne działania wymierzone przeciw ludziom, którzy ośmielą się publicznie krytykować ideologię LGBTQ lub mieć odmienne zdanie. Wystarczy, że będą cytować Biblię lub upierać się przy istnieniu dwóch płci. Mogą wówczas trafić na ławę oskarżonych, zostać ukarani grzywną lub odebraniem praw rodzicielskich, a nawet stracić pracę. Takich przypadków na świecie udokumentowano już wiele. Dotyczy to nawet znanych postaci życia publicznego, takich jak czarnoskóry rugbysta australijski Israel Folau, który został wyrzucony z reprezentacji narodowej i stracił kontrakt wart 4 mln dol. australijskich tylko dlatego, że zacytował słowa św. Pawła z Nowego Testamentu. Nie trzeba zresztą sięgać za ocean. Wystarczy się rozejrzeć wokół i wspomnieć o pracowniku Ikei czy aktorach takich jak Redbad Klynstra-Komarnicki i Jarosław Jakimowicz, którzy stracili pracę tylko za wyrażanie swoich poglądów.

Nauka, jaka płynie z tych przypadków, jest dla wszystkich oczywista. Jeśli będziesz się wypowiadał krytycznie o ideologii gender i praktykach środowisk LGBTQ, zostaniesz zniszczony. Nie ochroni cię ani popularność, ani kolor skóry, ani pozycja społeczna. Skoro nawet celebryci mogą zostać pozbawieni pracy i możliwości zarobkowania, to co może spotkać przeciętnego obywatela? Ilu jest więc ludzi, którzy wycofują się z głoszenia swych poglądów, ponieważ obawiają się medialnego ostracyzmu, kampanii dyfamacyjnych, utraty kontraktów lub zamówień? Czy istnieje na świecie druga grupa, której krytykowanie narażałoby na tak duże niebezpieczeństwo? Za którą potrafią stanąć murem wielkie siły polityczne, biznesowe, kulturowe i medialne?

Dziś nie chodzi już jednak o to, że nie wolno krytykować ideologii LGBTQ, ale o to, że trzeba się z nią zgadzać. Widać to choćby na przykładzie międzynarodowych koncernów, których pracownicy poddawani są przez szefostwo presji, by uczestniczyć w akcjach popierających postulaty środowiska, z którymi się nie zgadzają. Dochodzi do gwałtów na sumieniu. Dzisiejsze marsze równości w wielu miastach Europy przypominają zresztą dawne komunistyczne pochody pierwszomajowe, a metody zachęcania do nich pozostają bardzo podobne.

To pokazuje, że ideologia LGBTQ oparta na teorii gender ma cechy wręcz totalitarne. Chce uszczęśliwiać świat na siłę. Pragnie narzucić społeczeństwu swą wizję świata i robi to, sięgając po najróżniejsze środki. Nie toleruje żadnego sprzeciwu, a nawet odmiennych poglądów. Przedstawiając się jako ofiara, nie stroni od brutalnych metod. Dlatego głos abp. Jędraszewskiego powinien być potraktowany jako wezwanie, by się przebudzić i stawić opór temu, co nazwał on „tęczową zarazą”. Jeśli jej się nie przeciwstawimy, to już wkrótce możemy się obudzić w aksamitnym totalitaryzmie.

eprasa.pl 6f3e763147



Białystok i okolice

Jeśli spontaniczną reakcję, często niebezpieczną, a chwilami nawet chuligańską, nazwiemy ekstremizmem, to nie wywiniemy się od konieczności nazwania ekstremizmem także publicznego propagowania haseł homoseksualnych



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Widać ogromne wzmożenie środowisk promujących doktrynę LGBT, będącą de facto silnie antychrześcijańskim, wręcz neopogańskim „ramieniem zbrojnym" ideologii gender. Mechanizm wydaje się tu dość czytelny. Oto w dużym mieście będącym stolicą regionu, znanego z nastawień konserwatywnych (np. wyniki wyborów), regionu bardzo religijnego oraz patriotycznego, organizuje się – w ogromnej mierze przy pomocy desantu z innych obszarów Polski – tzw. marsz równości. To tak, jakby dolewać wodę do kwasu albo wkładać rękę do klatki z tygrysem. Nikt mający odrobinę wiedzy chemicznej czy zdrowego rozsądku takich eksperymentów robić nie będzie. Zatem sam pomysł urządzenia progejowskiego marszu w Białymstoku był działaniem o przewidywalnym skutku i dlatego można go bez specjalnego ryzyka uznać za prowokację, a jego organizatorów (i tych którzy wydali na to zgodę) za skończonych głupców. Szanse, że uda się przenieść na ulice stolicy Podlasia atmosferę ze zblazowanej Warszawy, były od początku zerowe. Uderzenie w najczulszy punkt jakże często wcześniej poniewieranego i wyszydzanego regionu Polski (Polska C, kacapy, śledzie, Ruscy), w jeden z najwrażliwszych punktów jego tożsamości, było działaniem otwierającym wzmożoną ekspansję tej skrajnej wersji antychrześcijaństwa, kamuflowanej szyldami tolerancji. Jeśli spontaniczną reakcję, często niebezpieczną, a chwilami nawet chuligańską, nazwiemy ekstremizmem, to nie wywiniemy się od konieczności nazwania ekstremizmem także publicznego propagowania haseł homoseksualnych. Nie było tak, że łagodność

Fot. Marek Maliszewski/REPORTER

eprasa.pl 6f3e763147



i barwność spotkały się z naziolami i kibolami. Bo z jednej strony nie była to wcale łagodność, a z drugiej nie byli to naziole czy wyłącznie chuligani. Jeśli już, to ekstremizm był po obu stronach.

ODDANIE POLA WALKI

Odpowiednie pokazanie w telewizji i internecie zajść w Białymstoku zbudowało opowieść o krzywdzonych homoparadowcach i zbydlęconych białostoczanach. Byłem w tym czasie na Podlasiu i przyglądałem się wydarzeniom z bliska. Liczba „fucków" pokazywanych przez maszerujących tęczowych, wyśmiewanie strony przeciwnej, a nawet udawanie seksu damsko-damskiego, wyrafinowane całowanie się mężczyzn były częste i miały charakter prowokacyjny. Nie służyły porozumieniu, lecz drażnieniu przeciwnika zza kordonu policji. Na zasadzie: „I co nam zrobicie?!". Z pochodu leciały też pomidory i jajka w stronę obserwatorów i adwersarzy. To nie był bynajmniej anielski przemarsz! Jakkolwiek w świat poszła wersja, że bandyci z Podlasia bardzo skrzywdzili uczestników pochodu wesołków. Do tego dorzucano fejki o kilkorgu zabitych uczestnikach marszu, o ciężko ranionych policjantach, o trwającej do nocy „łapance" na tęczowych. Nic takiego się nie zdarzyło. Ale tych fałszywek już nie prostowano. Stworzono w ten sposób atmosferę szantażu emocjonalnego. Nie wolno krytykować wyznawców LGBT, bo są permanentnie krzywdzeni, bici i poniewierani. Uwaga mediów, także prawicowych, skupiła się na chuliganach i „chuliganach" oraz dzielnej postawie policji. Palikot dobrze odczytał tę metodę i wręcz nakazywał, aby prowokować i dawać się bić, szarpać i poniewierać. Tak też było. Tym samym lobby gejowskie zepchnęło swoich oponentów do narożnika i ruszyło do ofensywy.

Tydzień po zajściach zjechał do Białegostoku Biedroń z akolitami. Wystraszeni „bandyci" już nawet nie protestowali. Przynajmniej nie było ich widać. Pojawiły się jakieś rachityczne akcje protestacyjne, ale na wiecu dominowali zwolennicy LGBT (znów dowiezieni autokarami z Polski), bez skrępowania demonstrując swoje zwycięstwo. Białystok przegrał. Nie obronił się tak, jak obroniła się Jasna Góra. Moim zdaniem prezydent tego miasta zasłużył na to, aby go wywieźć na taczkach. Nie tylko nie zrozumiał tego miasta, lecz pozwolił mu przegrać. Pozwolił na dorobienie mu gęby ośrodka ciemnej i nieobliczalnej agresji, i to w skali międzynarodowej. Tak to jest, gdy intelektualny karzeł pcha się na zbyt wysoki fotel.

Wycofany, miejmy nadzieję na niedługo, przeciwnik ustąpił pola LGBT, które coraz bardziej rozpościera swe opiekuńcze skrzydła nad tą nieznośnie katolicką, ciemniacką i konserwatywną Polską. To, jako się rzekło, szantaż: „Milcz, bo ci przypomnę Białystok". Trwa akcja żałosnych coming outów (ciekaw jestem, ile zatrudniono heterotrolli, aby na użytek tej hucpy stali się homosiami), szykowane są pozwy sądowe przeciwko samorządom, które odrzuciły deklarację LGBT, zaczynają już kursować „lotne oddziały" homoseksualne mające przekonywać mieszkańców mniejszych ośrodków w Polsce do tolerancji, a politycy (także prawicy) nabierają w usta wody poprawnopolitycznej, bo przebierają nóżkami do parlamentu, diet i mediów. Zaczyna już obowiązywać porzekadło, że gdy nie ma kota, to myszy harcują. Może kot jest, ale wyraźnie wystraszony i nie bardzo wiedzący, co ma robić.

Zdarzają się jeszcze „autorytety", które pogardliwie mówią, że zamiast dyskutować o gospodarce czy relacjach międzynarodowych, zajmujemy się światopoglądem. Mój Boże, jakby światopogląd nie był istotnym elementem życia społecznego, jakby nie wywierał wpływu na nasze funkcjonowanie, jakby nie wyrastał z Dekalogu, Ewangelii i przestróg o siedmiu grzechach głównych. To światopogląd dla lwiej części społeczeństwa generuje uczciwość, rzetelną pracę, wierność małżeńską, pohamowanie przemocy, ale też rewolucyjny terror, rozkułaczanie czy zgodę na eugenikę. Światopogląd stworzył zarówno Pawkę Morozowa, jak i św. Maksymiliana Kolbego.

Tak się składa, że dwa największe totalitaryzmy hołdowały rozpasaniu obyczajowemu, w tym seksualnemu. Tutaj dwa cytaty: „Religia chrześcijańska to perwersyjna ideologia obca życiu, ponieważ uznaje prokreację za uprawnioną tylko, gdy ksiądz udzieli parze małżonków swojego błogosławieństwa", „Płeć człowieka stanie się źródłem takiej samej przyjemności jak jedzenie czy rozrywka. Trzeba

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. Marek Maliszewski/REPORTER

ją tylko uwolnić od ograniczeń małżeństwa i wieku". Autorem pierwszego cytatu jest Himmler, a drugiego Trocki. Jakub Pacan swego czasu przywołał na łamach dodatku do „Rzeczpospolitej" poglądy Herberta Marcuse'a, głównego ideologa rewolty 1968 r.: „[Marcuse – przyp. A.N.] przekonywał, że do rewolucji potrzebna jest totalna destrukcja społeczeństwa, a tę można osiągnąć poprzez seksualizację wszystkich sfer ludzkiej egzystencji. Ambicją przedstawicieli szkoły frankfurckiej było unicestwienie religii, rodziny i zachodniej cywilizacji. Przedwojenny komunista Willi Munzenberg tak podsumował cel zachodnich rewolucjonistów: »Zachód zrobimy tak zepsutym, że będzie śmierdział«". Skoro Zachód już w rozkładzie, to przyszła pora na resztę Europy?

CHRZEŚCIJAŃSKI BICZ

Często w dyskusjach pojawia się argument miłości bliźniego i wytykanie, że właśnie chrześcijanom jej najbardziej brakuje. Najchętniej szermują nim przedstawiciele lewej strony i zwolennicy homoparad. Idzie o to, że Jezus nakazywał miłość do każdego, także do grzesznika. Tym samym chrześcijanin winien bezwzględnie kochać każdego, nawet wroga. O wzajemności jakoś się tu nie wspomina i wśród harcowników homodoktryny tej wzajemności nie widać. Jednakowoż warto tu przypomnieć, że Jezus bywał realistą i „sporządziwszy sobie bicz ze sznurków, powypędzał wszystkich ze świątyni, także baranki i woły, porozrzucał monety bankierów, a stoły powywracał" (J 2, 13-15). Bo istnieje różnica pomiędzy tolerancją, miłosierdziem a przyzwoleniem do grania sobie na nosie i pospolitym frajerstwem. Gdy kończy się sprawczość dialogu, perswazji, próśb czy kompromisu, wówczas nieuchronnie jako argument pojawia się siła.

Strona patriotyczna i konserwatywna ma Sejm, Senat, rząd i prezydenta, ale bicza jakoś nie splotła i na zgorszenie milcząco przyzwala. A to się mści. Bo im władza jest bierniejsza wobec homotęczy, tym częściej przykleja się jej do gęby faszyzm, zamordyzm, autorytaryzm i łamanie praw człowieka. To klasyka: „Cnotę straciła, rubla nie zarobiła". Może i rządzący owego rubla nie zarobili, ale cnotę pomału tracimy wszyscy. I to boli. W kwestii LGBT ostatnio wstrząsnęły mediami dwa fakty. Pierwszym jest podniesione przez „Gazetę Wyborczą" larum, że oto w Polsce trwa krucjata przeciwko LGBT, a drugi to homilia abp. Marka Jędraszewskiego, której fragment był poświęcony „tęczowej zarazie", jak to ujął duchowny, trawestując słowa poety-powstańca. Do tego można by dodać wypowiedź prof. Zdzisława Krasnodębskiego, w której zaprzecza, jakoby taka krucjata trwała, i nazywa tego typu doniesienie „chorymi urojeniami". Gdybym wierzył „Wyborczej", to ucieszyłbym się bardzo i nawet westchnął: „Nareszcie". Niestety prof. Krasnodębski wyprowadził mnie z błędu i z radości nic nie wyszło. Pokrywa się to z moimi obserwacjami. Żadnej krucjaty niestety nie ma. A być od dawna powinna. I nie przeciwko homoseksualistom jako osobom, bo to była specjalność resortu Kiszczaka, który prowadził sławetną operację „Hiacynt". Krucjata ma być skierowana przeciwko obecności w przestrzeni publicznej wszelkiej homopropagandy, łącznie z marszami, postulatami związków partnerskich czy homoseksualnej adopcji dzieci. Z bezwzględnym zakazem wstępu do szkół „edukatorów" od „równości" i „tolerancji". Od tego są wyłącznie zatrudnieni w placówkach nauczyciele! Ideologia LGBT winna być obok faszyzmu i komunizmu prawnie zakazana i trwale usunięta z przestrzeni publicznej. I nic mnie nie obchodzi, że Putin czy inny watażka robi tak samo. Zarzut, że to putinizacja życia, jest jak stwierdzenie, że mamy wojsko, bo Hitler też je miał. Chodzi mi wyłącznie o Polskę, bo Niemiec, Holandii czy Szwecji nic już nie uratuje. Może jedynie cud. Homilia abp. Jędraszewskiego była natomiast absolutnym minimum, którego mamy prawo oczekiwać od Kościoła. Żaden hierarcha, żaden ksiądz nie musi być poprawny politycznie, jeśli tylko doczytał, że „wasza mowa niech będzie: tak – tak, nie – nie" (Mt 5, 33-37). Fala krytyki i medialne pobłogosławienie zwykłego hejtu pod adresem arcybiskupa obnażyły też nieuctwo samych krytyków, czyli lewicowych naprawiaczy Kościoła. Otóż abp Marek Jędraszewski, profesor filozofii, mówił o „tęczowej zarazie". Sama zaraza jest nieco archaicznym określeniem epidemii chorobowej. Czy ktoś słyszał, aby walka z epidemią była

eprasa.pl 6f3e763147

walką z chorymi? Czy walka z „zarazą alkoholizmu" wiązałaby się z wrzucaniem pijaków do morza? Niestety dla takich tuzów intelektualnych, jak Boni, Senyszyn, Żakowski czy o. Gurzyński prawidłowe zrozumienie tej frazy jest najwyraźniej niedostępne.

ZAWŁASZCZANIE JĘZYKA

Homopropaganda dokonuje prób demontażu chrześcijaństwa nie tylko poprzez zamach na obyczajowość czy ostentacyjne prowokowanie zgorszenia, lecz także przez zawłaszczanie języka i nadawanie zupełnie nowych znaczeń pojęciom. Tak więc już nie wiadomo, co oznacza tolerancja. Sens tego słowa tak znacząco zdeformowano, że w zasadzie oznacza już tylko bezgraniczną miłość i bezwarunkową akceptację wszelkich odmienności z naciskiem na odmienności seksualne. Podobnie z różnorodnością. Obecnie termin ten oznacza uległość wobec konfliktu wartości. To tak jakby ogrodnikowi zakazać wyrywania chwastów spośród warzyw właśnie w imię różnorodności upraw. Miłość ewangeliczna jest interpretowana jako seks. Jeszcze trochę, a przykazanie: „Byście się wzajemnie miłowali", zostanie zinterpretowane jako zachęta do wzajemnej masturbacji.

Szczególnemu wypaczeniu uległy pojęcia stosowane jako inwektywy. Naziści, brunatni, faszyści, bolszewia, dyktatura, katole – to tylko niektóre z nich. Pierwsze mają generować skojarzenia historyczne z faktami, procesami, które są jednoznacznie oceniane jako złe. Przy czym istnieje tu nierówność odpowiedzialności. Nazwanie homoseksualisty „zboczeńcem" czy „dewiantem" albo „pedałem" skutkuje odpowiedzialnością z par. 212 kk, nazwanie w komercyjnej telewizji kogokolwiek „faszystą" czy „naziomem", „zamordystą", „stalinowcem" niczym nie skutkuje. Natomiast w drugą stronę owszem. Pokazuje to proces Michnika przeciwko Zybertowiczowi. Wolno propagować i domagać się tzw. związków partnerskich, ale przypadek Zofii Klepackiej, sportsmenki, pokazuje, że nie wolno krytykować ani podważać zasadności ich postulowania.

Doktryna LGBT nawet przy pobieżnym rozpoznaniu wydaje się nie budzić czysto empirycznych wątpliwości. Bez wątpienia uderza w fenomen ludzkiej rodziny, w jej transmisyjny i prokreacyjny charakter. Tym samym jest działaniem ingerującym w przyrost naturalny. Homoseksualiści chcący wychowywać dzieci oczekują, że ktoś im je urodzi, ktoś je powoła do życia (surogatka, in vitro). Argument, że lepiej, aby sierota wychowywał się z parą homoseksualistów niż w domu dziecka, oparty jest na fałszywej alternatywie. Nie ma bowiem żadnego uzasadnienia dla zastępowania jednej nienormalności jakąś inną. To eksperymentowanie na żywym organizmie, którego efekt zawsze będzie stanowić niewiadomą. Wychowanie to coś więcej niż zapewnienie pożywienia, ciepłego kąta i zabawek lepszych niż w domu dla sierot. Wychowanie nie znosi pozoru, a tym samym nie zniesie pozornej rodziny. Piszę to odpowiedzialnie jako profesor pedagogiki.

> Białystok przegrał. Nie obronił się tak, jak obroniła się Jasna Góra. Prezydent tego miasta zasłużył na to, aby go wywieźć na taczkach

Dla swojej sprawczości i (nomen omen) ucieleśnienia LGBT potrzebuje odpowiedniej otuliny, właściwych warunków wzrostu i ekspansji. Nieodmiennie pojawia się tu więc mechanizm czyszczenia przedpola, „odchwaszczania" gleby pod zamierzoną uprawę. Tak działały wszystkie doktryny ideologiczne. Szela wyrzynał szlachtę, rewolucja francuska ród królewski i arystokrację, faszyści komunistów, a bolszewicy i komuniści wszystkich, także bolszewików i komunistów. Zatem LGBT „wyrywa chwasta" religii (m.in. przez akty agresji i lżenie symboli), która jawi mu się jako opresja, usuwa perz rodziny, która jest bezczelnie heteronormatywna, domaga się praw i ochrony, jakie nie są dobrem żadnej innej mniejszości. Czy Romowie, Litwini, Niemcy zamieszkujący Polskę mają takie prawa?

MILCZENIE I GRA NA ZMĘCZENIE

Skok LGBT na powszechnie uznawane wartości jest de facto przedstawiany jako reakcja na nietolerancję. Wypowiedzenie agresywnej wojny światopoglądowej ma być zatem odbierane jako obrona konieczna. Kolejna zmiana znaczeń. Homoseksualna tęcza nie jest wielobarwna, ale całkiem monochromatyczna, tolerancja ma bowiem dotyczyć dziwactwa (drag queen, trans, queer), ale już nie łapią się na nią krytycy tych „odmienności".

Czy ktokolwiek trzeźwo myślący i w miarę wykształcony tego nie widzi? Czy osoby o zdecydowanej orientacji hetero, po trzech rozwodach, licznych romansach, zaspokajaniu chuci w agencjach towarzyskich naprawdę mówią o homoseksualizmie to, co w rzeczywistości myślą?

Zupełnie pojąć nie potrafię, jak wychowani w etosie pracy i prawdy uczeni, z namaszczeniem przywdziewający tradycyjne (!) togi, birety i łańcuchy, mogą milczeć wobec widocznej gołym okiem ofensywy obcej, siejącej spustoszenie, agresję, przemoc i budzącej niesmak samobójczej (demografia) doktryny? Jak wyczuleni i wrażliwi społecznie dziennikarze mogą udawać, że nie dostrzegają u Biedronia & Co. manipulacji na ogromną skalę? Jak liczni eksperci medialni, którym wszak rozumu czy wiedzy nie brakuje, są w stanie dorabiać ex post nieszczerą „wyjaśniającą teorię" do tego, co nieuchronnie muszą widzieć naprawdę?

Mam pewne przypuszczenie. Może ta wyraźna ofensywa LGBT, liczne prowokacje, prawdziwy terror tęczowych haseł i sztandarów to tylko przygotowanie przedpola. Kiedy będziemy już zmęczeni homopropagandą, kiedy arcybiskup zostanie ukamienowany przez postępowych polityków, działaczy i dziennikarzy, kiedy już groźba indoktrynacji dzieci stanie się realna, to może łatwiej nam będzie przełknąć „małżeństwa" homo i adopcję. Byle dali nam już spokój. I wówczas wszyscy udamy się na swój marsz równości, bo będziemy mniejszością.

eprasa.pl 6f3e763147

Robienie ze mnie homofoba jest śmieszne

Jeżeli kogoś w moim pytaniu zabolała ta zbitka LGBT – pedofilia, to być może po raz pierwszy ktoś poczuł to, co osoba wierząca, kiedy widzi „cipkomaryjkę" albo profanację mszy świętej

Z Redbadem Klynstrą-Komarnickim, aktorem i reżyserem, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Czy posypie pan głowę popiołem i przeprosi za pytanie, które zadał na Twitterze: „Czy w Polsce pedofile są częścią LGBT+, czy nie? Ktoś czuje się kompetentny odpowiedzieć?".

Redbad Klynstra-Komarnicki: Nie wiem, co w tym jest takiego, co mogłoby kogoś urazić. Dostałem m.in. odpowiedź pewnego pana, który przedstawił się jako zdeklarowany gej, ofiara pedofila, i bardzo rzeczowo mi wytłumaczył, że w Polsce nie czas na takie pytania, nie ten moment. On to rozumie, bo w Holandii czy innych krajach jest coś na rzeczy, pedofile usiłują wejść w środowisko LGBT, ale...

Zaraz do tej Holandii przejdziemy, ale gdyby pan chciał tak bardzo pokajać się za to, co powiedział, to mam ściągawkę. Mario Lopez, amerykański aktor znany z serialu „Słoneczny patrol", odważył się w telewizyjnym programie wyrazić swoją opinię, że ma obawy, gdy maluchy w wieku trzech lat wybierają własną tożsamość płciową. W wyniku nagonki środowisk LGBT, żądających m.in. zerwania przez stację NBC kontraktu z aktorem, pokajał się i napisał: „Byłem i zawsze będę gorącym zwolennikiem społeczności LGBT i wykorzystam tę okazję, żeby lepiej się dokształcić, idąc przez



Fot. Fratria

eprasa.pl/c/3e763147

życie, będę lepiej poinformowany i bardziej rozważny". I ataki ustały. Może pan skorzysta z tej ściągawki?

Mam wielu przyjaciół i znajomych LGBT i robienie ze mnie homofoba jest po prostu śmieszne. Mogę tylko podziękować wszystkim tym osobom, które potraktowały to pytanie poważnie i powiedziały mi – jeżeli rzeczywiście nas wspierasz i jesteś sercem z nami, to wiedz, że to jest pytanie nie na miejscu w naszym społeczeństwie, nie jest jeszcze czas, żeby rozmawiać o takich rzeczach.

Napisał pan w swoim oświadczeniu, że patrzy na sprawy Polski także z perspektywy swoich doświadczeń holenderskich. Ale Holandia to jest kraj, który krok po kroku łamie tabu, zakazy kulturowe. 2001 r. – legalizacja małżeństw homoseksualnych i adopcji przez nie dzieci, rok później – eutanazji. Przez cztery lata legalnie działała partia, która żądała uznania kontaktów seksualnych z dziećmi od 12. roku życia. Może legalizacja pedofilii to kolejne tabu, które chce się złamać?

Dzięki wolności wypowiedzi i możliwości założenia takiej partii udało się to zweryfikować i Holendrzy nie dali na to przyzwolenia. Teraz pojawiły się nieformalne inicjatywy – Front Wyzwolenia Dzieci usiłował podczepić się pod paradę równości organizowaną w Amsterdamie przez LGBT, chcąc przekonać ludzi, że pedofil to jest osoba, która kocha dzieci. Zaczynają się próby ocieplenia wizerunku – jest bibliofil, który kocha książki, i pedofil, który kocha dzieci, a więc nie ma w tym niczego złego. A dla mnie, jeśli ktoś gwałci dziecko, jest po prostu dewiantem seksualnym.

Jeszcze nie tak dawno, w kwietniu, mówił pan w wywiadzie: „Nie będzie tak, że mała grupa, elita, będzie dyktowała innym ludziom i twórcom, co mają myśleć na dany temat. Czasy dyktatorów mody mentalnej bezpowrotnie się skończyły". Jednak chyba się nie skończyły.

Niestety, to jest proces. Można przewidzieć, w którym kierunku on zmierza, ale nie da się określić, w jakim czasie się to odbędzie. Dawne czasy się skończyły, pozostaje tylko pytanie, jak długo trwa okres wybrzmienia tej dyktatury. Mówię o kulturze, bo to jest pole mojej kompetencji, a tam wpływy mają nadal osoby, które są bardzo umocowane w mentalności czasów poprzednich.

Nie bardzo mogę się z panem zgodzić. Elity nadal chcą dyktować, co ludzie mają myśleć i jak postępować. Np. w USA wytwórnie filmowe wycofują się z produkcji w tych stanach, w których wprowadzono bezwzględny zakaz aborcji. Te czasy się nie skończyły i ofensywa neoliberalnych ideologii zaczyna dotykać także naszego kraju.

Mówiłem o sytuacji w naszym kraju. Wyborcy pokazali w 2015 r., że nie życzą sobie załatwiania spraw i rządzenia w taki sposób, jak to się działo wcześniej, za poprzedniej władzy, która była taką hybrydą: trochę demokracji, ale też oligarchii. Wyborcy pokazali, że są dojrzali, gotowi na taki etap, gdzie mamy transparentność, dążenie do prawdy i egzekwowanie tego wszystkiego, co wynika z obietnic wyborczych.

Przejrzałam pańską filmografię i zauważyłam, że pańska kariera zaczęła wyhamowywać tak mniej więcej od 2010 r., w którym stał się pan członkiem komitetu honorowego popierającego Jarosława Kaczyńskiego w wyborach prezydenckich po tragedii smoleńskiej. Napisał pan o sobie „aktor upadły". Wtedy zaczął się ten upadek?

W środowisku teatralnym zaczął się wcześniej, w 2006 r., kiedy doszedł do władzy Jarosław Kaczyński. Kompletnie nie zajmując się polityką, zauważyłem wtedy, że wśród ludzi rozpoczęła się dyskusja, przy wszystkich kawiarnianych stolikach ludzie rozmawiali o polityce. Pomyślałem sobie: „Dobrze, to znaczy, że suweren się obudził". Wcześniej cały czas żyłem w takim dziwnym świecie, że nikogo nie obchodziła polityka, a przecież my musimy wiedzieć, czego chcemy. Potem znowu przez osiem lat miałem wrażenie, że zadaję pytanie w grupie znajomych i cisza, nikogo to nie obchodzi! Każdy się cieszył, że jest jakby zamknięty w swoim komforcie życia, swoich zależnościach, układach. I kiedy w 2015 r. PiS wygrało, znowu się zaczęła ta burza i atak, nie dlatego, że coś się nie podobało, tylko że zagrażało jakimś interesom.

Dyskusje przy kawiarnianym stoliku jakoś chyba uszły panu na sucho, dopiero rola w „Smoleńsku" przypięła panu „szkarłatną literę".

Nie było tak, jak teraz, że ktoś się od razu wycofał ze współpracy ze mną, po prostu przez kolejne miesiące i lata raczej wisiał gdzieś w powietrzu komunikat: „Z tym panem nie chcemy mieć do czynienia".

Ten ostracyzm działa, może w mniejszym stopniu, także w drugą stronę. Maja Ostaszewska, która popierała „czarne marsze", walczyła o „wolne sądy", wzięła udział w proteście „bananowym", powiedziała, że też straciła przez swoje zaangażowanie kontrakty reklamowe.

Mówimy o innej skali. Mam poczucie, że walczę o podstawowe rzeczy dotyczące funkcjonowania państwa, jak w przypadku Smoleńska, albo jak prawo do wolności wypowiedzi, jeśli chodzi o tę ostatnią historię. Kiedy brałem swoje kredyty przed 2010 r., to mogłem liczyć na jakąś średnią moich wpływów. A w 2014 r. nie byłem już w stanie ich spłacać i musiałem ogłosić upadłość. To dotyczyło mojego bytu, a w przypadku Mai, która rzeczywiście w bardzo wiele rzeczy się angażuje, traci niewiele, bo kontrakty reklamowe to jest miły dodatek do podstawy, czyli pracy w teatrze, filmie, serialach. Kiedy ja mówiłem rzeczy niewygodne, wziąłem udział w filmie, który – zaznaczam, że został zrobiony za pieniądze społeczne, nie z pieniędzy podatnika – to spotkały mnie za to represje i nikt się wtedy za mną nie ujął, nikt nie pisnął słowem o wolności wypowiedzi. Skoro nie mam się wypowiadać prywatnie, bo pan Lis mówi, że aktor powinien być „mądry cudzym tekstem", to proszę bardzo, biorę udział w filmie. Też mi nie wolno? No to co mi w taki razie wolno?

eprasa.pl 6f3e763147

W społeczeństwie są podziały na różnych poziomach, czasami nawet w rodzinie. Ale obserwując z zewnątrz pańskie środowisko zawodowe i przejawy jego różnego rodzaju aktywności politycznej, dochodzę do wniosku, że jest szczególnie w jedną stronę ukierunkowane, i bardzo mnie nurtuje pytanie, skąd to wynika?

Moim zdaniem z tego, że cały system kultury nie został nawet tknięty najmniejszą reformą i nadal jest peerelowski, osoby o poglądach lewicowych świetnie się tam czują. Państwowy Instytut Sztuki Filmowej jest jedyną instytucją kultury działającą w nowoczesny sposób, instytucją, dzięki której kinematografia po pierwsze, się rozwija, a po drugie, daje możliwość zrobienia filmów twórcom o różnym światopoglądzie. Według tego modelu powinny funkcjonować także inne dziedziny sztuki. W teatrze, jeżeli nie jesteś dyrektorem teatru, to nie masz szansy, żeby dostać dofinansowanie, które byłoby wystarczające, żeby zrobić profesjonalny spektakl na jakikolwiek temat.

Czy funkcjonuje coś takiego, jak „czarne listy"? Bo kiedyś się mówiło, że w TVP jest taka lista, teraz słyszę, że podmioty komercyjne też takie listy mają. Spotkał się pan z czymś takim, że nie ma co zabiegać o rolę w danym środowisku producenckim?

Za poprzedniej władzy była taka sytuacja, że reżyser, który złożył projekt Teatru Telewizji – w obsadzie była Ewa Dałkowska i ja – otrzymał informację zwrotną, że projekt jest bardzo ciekawy, obsada też, poza tymi dwiema osobami, bo są zastrzeżenia co do ich odpowiedzialności i profesjonalizmu. „Proszę się zastanowić i wrócić do nas, jak pan zmieni zdanie co do obsady" – usłyszał. Inny przykład – wygrałem casting, miałem grać główną rolę w serialu, wszyscy byli zachwyceni – i producent, i reżyser, i nagle się dowiaduję, że zagra to ktoś inny. Była taka reżyserka filmowa, która przez wiele lat chciała zrobić film z Ewą Dałkowską w roli głównej i w końcu zadzwoniła do niej z płaczem, mówiąc, że znalazła brakujące pieniądze na film, ale człowiek, który je wyłożył, postawił jeden warunek – nie zagra Dałkowska.

Powiedział pan kiedyś, że człowiek odpowiedzialny powinien się precyzyjnie obchodzić z komunikacją. Czy ta pańska komunikacja na Twitterze była precyzyjna? Czy teraz pan by coś w tym swoim wpisie zmienił?

Bardzo dużo się dowiedziałem, wyedukowałem się na ten temat, wiem więcej o pedofilii w ogóle i więcej na temat stosunku środowiska LGBT do pedofilii. Być może to było niefortunne, byłem w trakcie rozmowy, kiedy to napisałem...

> Cały system kultury nie został nawet tknięty najmniejszą reformą i jest nadal peerelowski, osoby o poglądach lewicowych świetnie się tam czują

Proszę się nie usprawiedliwiać, wiem z własnego doświadczenia, że próba jakiejkolwiek dyskusji z tym środowiskiem i zadawania pytań, które mogą być dla nich trudne, jest daremna. Nie ma dyskusji. Trzeba przyjmować to, co oni mówią, i kropka.

Osoby homoseksualne, które nie chciały od razu zrywać ze mną znajomości, zadawały mi podstawowe pytanie: „Czy to była prowokacja, czy ty naprawdę chcesz się dowiedzieć?". Holendrzy po prostu zadają takie pytania wprost. Zrobiłem tak, jak zrobiłem. Nawet jeżeli ktoś uzna, że to jest prowokacja, to proszę się zastanowić nad taką rzeczą – jeżeli kogoś to zabolało, ta zbitka LGBT – pedofilia, to być może po raz pierwszy ktoś poczuł to, co osoba wierząca, kiedy widzi „cipkomaryjkę" albo profanację mszy świętej.

I co dalej? Stracił pan rolę w serialu, agencja wypowiedziała panu współpracę, pewnie będzie pan szukał nowej, nie wiem, czy pan znajdzie.

Chyba nie znajdę. Jestem zahartowany, taki jestem, i taki jest mój los i biorę za to odpowiedzialność. Ale mam możliwość porozmawiania z panią, publicznego wypowiedzenia się, natomiast takich jak ja jest wielu i oni nie mają takiej możliwości. Zgłaszają się do mnie osoby, które mają podobne problemy, a ja jestem konstruktywnym człowiekiem i chciałbym to przekuć w działanie, żeby dało się odblokować system teatralny w Polsce.

Mówię konkretnie o aktorach, bo niestety jest tak, że pisarz może napisać książkę do szuflady i czekać na lepsze czasy, malarz też, aktor potrzebuje dzisiaj grać, potrzebuje widza, reżyser musi dzisiaj zrobić to przedstawienie, bo jest to rzecz ulotna w swojej formie.

Może lepiej stosować stare polskie przysłowie: jeśli wejdziesz między wrony, musisz krakać, tak jak i one, albo w ogóle nie krakać. Wielu wybitnych aktorów, dyrektorów teatrów w ogóle nie zajmuje stanowiska w żadnych sprawach politycznych i świetnie im się wiedzie, więc może należy z nich brać przykład?

Być może nie interesuje ich polityka, być może nie zdają sobie sprawy z tego, że takie rzeczy jak wolność, suwerenność niepodległość nie są dane raz na zawsze, że jednak trzeba tego pilnować. Jeżeli żyjemy w kraju, w którym to my jesteśmy suwerenem, to też mamy obowiązki, musimy wiedzieć, czego chcemy, czego nie. Musimy dawać świadectwo temu, co czujemy i myślimy. Już nie zmienię swojego wizerunku, gdybym teraz zamilkł, to byłby czysty oportunizm. Nie tylko warto rozmawiać, lecz nawet musimy rozmawiać i nie możemy dać się sprowokować. Żaden naród, który rzeczywiście jest narodem, nigdy nie doprowadzi do takiej sytuacji, żeby sam sobie zrobił krzywdę.

eprasa.pl 6f3e763147

Przestrogi dla PiS

Przekonanie o pewnej wygranej Prawa i Sprawiedliwości w wyborach 13 października jest grubo przedwczesne i przesadzone





STANISŁAW JANECKI

Gdyby brać pod uwagę tylko sondaże i trendy w nich, Prawo i Sprawiedliwość mogłoby jedynie pozorować kampanię wyborczą i ze spokojem czekać na wynik przy urnach 13 października br. To jednak tylko pozory. Rządzący zawsze mają więcej problemów niż opozycja, szczególnie w ostatniej fazie kampanii, chyba że mają miażdżącą przewagę, jak Fidesz na Węgrzech. Na niekorzyść rządzących, czyli także PiS, działa niepewność co do stopnia mobilizacji elektoratu. Działają na niekorzyść wszelkie niespodzianki i zaskakujące wydarzenia, gdyż zwolenników dezorientują. Mają znaczenie sprawy, na których opozycja może budować narrację o alienacji władzy. Są ważne kwestie zachowania w sytuacjach kryzysowych: czy zawsze i bezwarunkowo broni się swoich ludzi, czy jest się gotowym niektórych poświęcić? Liczy się to, czy i jak długo można używać odniesień i porównań do poprzedników. Ważny jest stopień rozpoznania wszelkich bomb i min na swoim zapleczu, słabych punktów, osób, które nie wytrzymają presji. Ma znaczenie, czy podwładni są tylko lojalnymi poddanymi, czy mogą zwracać uwagę na zagrożenia i jak wysoko mogą dotrzeć ze swoimi uwagami. Istotne jest, czy twarze ekipy rządzącej, przynajmniej na poziomie parlamentarzystów i tych spoza Sejmu i Senatu, którzy pojawiają się w mediach, mają dostateczną wiedzę i o konkretnych problemach, i o strategiach kierownictwa. Liczy się to, w jakim stopniu rządzący są w stanie się samoograniczać, gdy chodzi o przywileje oraz pokusy wynikające z możliwości i okazji.

PiS jest dodatkowo w trudniejszej sytuacji, ponieważ jego druga kadencja u władzy może przesądzać w wielu dziedzinach i sprawach, gdzie przez dekady utrzymywano status quo. Druga kadencja jest po prostu ogromnym wyzwaniem dla III RP i jej fundamentów, dlatego każde zagrożenie jest podwójnie niebezpieczne, a determinacja, by użyć wszelkich narzędzi w walce z PiS – znacznie silniejsza niż zwykle.

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. PAP/Paweł Supernak

CNOTA SAMOOGRANICZENIA

Dwa miesiące przed wyborami najgorętsza jest sprawa zdolności rządzących do samoograniczania, gdy chodzi o przywileje i to, co można nazwać bizantynizmem. Widać to po sprawie lotów marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego. O ile skończenie z dziadostwem podróżowania najwyższych przedstawicieli RP było atutem obecnej władzy (samoloty są wreszcie z wysokiej półki i świadczą o poziomie rozwoju państwa), o tyle takie ich wykorzystanie, jak przez marszałka Kuchcińskiego, ten atut przykrywa i degraduje. Tak się dzieje, gdy samolot przestaje być wizytówką państwa, a staje się taksówką. To dawało opozycji wielkie możliwości nakręcania narracji nie tylko o bizantyńskim stylu sprawowania władzy, lecz również o jej alienacji, a przy okazji o kolesiostwie i nepotyzmie. To także irytowało część opinii publicznej. I pewnie dlatego marszałek Kuchciński zrezygnował ze stanowiska. Takie sprawy są wykorzystywane przez każdą opozycję w każdym demokratycznym państwie. I może poza mocarstwami samoograniczenie władzy w korzystaniu z tego, co jest dostępne (samoloty, śmigłowce, limuzyny), zawsze ocenia się lepiej niż wykorzystywanie wszystkich możliwości.

Źle odbierane są przede wszystkim wielkopańskie gesty: jak już lecę, to jeszcze zaproszę współpracowników, kolegów, rodzinę, bo co za różnica. Ale różnica istnieje, i to duża – taka, że sprawuje się publiczną funkcję i korzysta z publicznego mienia, czyli nie jest się władcą ani posiadaczem. Tu nie trzeba demonstrować żadnych specjalnych przymiotów charakteru, wystarczy się kierować zdrowym rozsądkiem. Jeśli lot jest konieczny i są wolne miejsca, powinny być dostępne dla każdego, kto ma uzasadniony powód, żeby być na docelowym lotnisku, niezależnie od tego, czy to urzędnik państwowy, czy np. poseł opozycji. Albo leci tylko osoba uprawniona i oficjalna delegacja. Ale zasady powinny być jasne.

Samoograniczenie wiąże się z tym, jak funkcjonują najważniejsze osoby w państwie oraz ich zaplecze, np. ministrowie. Szkodzi rządzącym obsadzanie zaplecza (kancelarii, gabinetów politycznych, stanowisk doradczych etc.) ludźmi politycznie i charakterologicznie słabymi, którzy nie są w stanie przeciwstawić się przełożonym, gdy ci błądzą albo podejmują niedobre decyzje. Ci politycznie słabi ludzie z zaplecza nie informują w porę o niebezpiecznych sytuacjach i praktykach. Słabe zaplecze i bojaźliwe osoby blisko szefa bardzo łatwo zamieniają się w dwór, a tam liczą się lojalność i niestwarzanie problemów. Tymczasem to powinien być zwyczajny urząd, gdzie ważne są efektywność i zdolność do rozwiązywania problemów, także tych stwarzanych przez szefa. A on nie powinien nikogo karać za to, że ktoś wykonuje swoje obowiązki. Tylko władca nigdy się nie myli. Specjalna rola przypada w tym kontekście zastępcom (w ministerstwach, urzędach centralnych, spółkach etc.). Nie mogą być oni tylko potakiwaczami. Kiedy szef i zastępcy trzymają we wszystkim sztamę, nie sposób reagować na błędy na wczesnym etapie, przez co stają się one wielkimi problemami.

Żadna partia rządząca nie jest w stanie wyeliminować wszystkich patologii związanych z pokusami wynikającymi z dostępu do różnych konfitur, beneficjów i przywilejów. Dlatego od chwili przejęcia rządów powinien działać jakiś wewnętrzny partyjny kontrwywiad. Niekoniecznie złożony z polityków, ale także specjalistów z zewnątrz, którym dużo wolno i którzy mają bezpośredni dostęp do kierownictwa czy szefa partii. Funkcjonuje wprawdzie CBA, ale ono nie obejmuje większości czynów, które nie są przestępstwami, lecz łamią różne zasady, co negatywnie wpływa na postrzeganie i funkcjonowanie całego obozu władzy. Taki partyjny kontrwywiad mógłby wcześnie wykrywać wszelkie bomby i miny, rozpoznawać słabe punkty we własnych szeregach, identyfikować osoby nieodporne na pokusy czy takie, które nie wytrzymają presji w sytuacjach kryzysowych. PiS funkcjonuje w miarę sprawnie, bo dużą wiedzę o ludziach w partii działających ma Jarosław Kaczyński, ale on nie jest przecież w stanie rozpoznać wszystkich zagrożeń i słabych punktów, także w wypadku ludzi, z którymi współpracuje od lat.

GRANICE BEZWARUNKOWEJ OBRONY

W każdym obozie rządzącym, szczególnie wtedy gdy sprawuje władzę przez kilka lat, ważne jest zachowanie się w sytuacjach kryzysowych. Rządzący, a już PiS w wymiarze dalece odbiegającym od przeciętnej, są atakowani także po to, żeby wywoływać wewnętrzne kryzysy. Żeby wyjątkowo brutalnie atakowany polityk „pękł" albo żeby odwrócili się od niego ważni ludzie w obozie rządzącym. Zwykle są to zaprogramowane nagonki, więc broni się swoich ludzi, żeby nie powstało wrażenie, że w razie problemów zrzuca się ich z pędzących sań i o nich zapomina. To byłoby zabójcze dla rządzącej partii, gdyż negowałoby sens poświęcania się czy znoszenia ataków, szykan bądź upokorzeń. Nawet wtedy gdy atakowany ma różne grzechy na sumieniu, jeśli nie są one wielkie i nie podlegają Kodeksowi

eprasa.pl 6f3e763147

karnemu, też jest broniony, żeby nie demobilizować własnych szeregów. Istnieje jednak czerwona linia, której nie warto przekraczać nawet dla spójności partii czy obozu rządzącego.

Tak postąpiono niedawno, wykluczając z PiS senatora Waldemara Bonkowskiego, choć sprawa ciągnęła się wiele miesięcy. W wypadku polityków większej rangi trudniej jest zdecydować o rezygnacji z bezwarunkowej obrony, partia rządząca powinna być tu jednak elastyczna. Przynajmniej wtedy gdy konkretny broniony polityk bardziej szkodzi, niż gdyby się go poświęciło. I tak zareagowano w przypadku marszałka Kuchcińskiego. Zwykle działa tu jednak mechanizm ważenia przeszłych zasług, poświęceń i „cierpień", przez co decyzje są zwykle odkładane – w oczekiwaniu, że problem może się sam rozwiąże, choć przeważnie tak się nie dzieje. Zwykle argumentem jest też to, że nie można tak tańczyć, jak gra opozycja, bo w ten sposób każdą partię można by rozwalić, a jej wyborców zdemobilizować. Ale prawdziwy lider zawsze zostawia sobie możliwość pozbycia się nawet najbardziej zasłużonych, choćby dlatego, żeby nie być bezradnym w razie szczególnie ostrego kryzysu. I tak się stało w zwiazku z lotami Marka Kuchcińskiego.

Równie trudna jak zdolność do pozbywania się kłopotliwych postaci jest rezygnacja z odnoszenia się do poprzedników. Zwykle gdy partia rządząca ma kłopoty, wskazuje na jeszcze większe grzechy poprzedników, przez co sprawa się relatywizuje, a często można nawet liczyć na przychylność, bo przecież „tamci byli jeszcze gorsi". Tylko że takie argumenty są skuteczne w pierwszej połowie kadencji sprawowania władzy. W czwartym roku są już dużo mniej skuteczne, gdyż bardziej widać skutki własnych decyzji niż poprzedników, choć jeśli zaniechania są wielkie, wciąż można na tym jechać.

Dla PiS taką sprawą są przede wszystkim wyłudzenia podatku VAT – ucierpiała cała sfera socjalna, najbiedniejsi Polacy, przez co nie można było znacząco podnieść dochodów gospodarstw domowych. Ale tematów działających na długi dystans jest coraz mniej w miarę rządzenia. I wtedy trzeba obywatelom przedstawić własny pozytywny program, niewynikający z zaniedbań poprzedników, tylko np. z planów cywilizacyjnego i materialnego skoku. PiS może mieć z tym problem, bo większość propozycji już padła i są realizowane. Polacy się do tego przyzwyczaili, więc brak podobnych propozycji w kampanii parlamentarnej w br. może być odebrany jako kryzys koncepcji rządzenia, a nie po prostu wyczerpanie finansowych możliwości państwa. Władza korzysta, gdy ma możliwości i je realizuje, ale ludzie szybko się przyzwyczajają do dobrego i chcą więcej. Uważają, że władza wszystko może, o ile tylko ma taką wolę. Przynajmniej taka władza, która już coś dała. To może być problem rządzących w nadchodzącej kampanii. Tym bardziej że opozycja mówi, iż ona wszystko może, czyli da więcej niż obecna władza.

> Dwa miesiące przed wyborami najgorętsza jest sprawa zdolności rządzących do samoograniczania, gdy chodzi o przywileje i to, co można nazwać bizantynizmem

KAMPANIA NA POLU MINOWYM

To, co było największym atutem PiS w kampanii europejskiej (i potem przy urnach), czyli mobilizacja własnych wyborców, może nie zadziałać podczas wyborów parlamentarnych. Choćby dlatego, że zwykle po wysiłku następuje rozprężenie. A ci, którzy się zmobilizowali, uważają, że jeśli jedna osoba czy rodzina „odpuści", będzie to jednostkowy przypadek, a inni zadbają o dobry wynik. Poza tym wygrana, tym bardziej w skali, której się nie oczekiwało, rozleniwia. W efekcie może być tak, że sukces w wyborach europejskich, których wynik miał być testem mobilizacji własnych szeregów, demobilizacji rywali (skoro przewaga była aż siedmiopunktowa) i pokazania, że PiS jest na fali wznoszącej, przeszkodzi w podobnej mobilizacji w wyborach znacznie ważniejszych. A w nich – z punktu widzenia możliwości utrzymania władzy – mobilizacja powinna być jeszcze większa, a nie mniejsza.

Poza tym w wyborach parlamentarnych opozycja ma dużo więcej do stracenia niż w europejskich, w których porażka ma znaczenie raczej prestiżowe i wpływa przez jakiś czas na sondaże, ale nie odcina tlenu. 13 października br. PiS jest zagrożone, że stanie się ofiarą własnego sukcesu 26 maja. Gdyby porównać nastroje elektoratu PiS dwa miesiące przed wyborami do Parlamentu Europejskimi z obecnymi, to widać mniejszą determinację, co oczywiście może wynikać z tego, że są wakacje – ale nie musi. PiS ma więc bardzo mało czasu, by przełamać naturalną skłonność do spoczywania na laurach po sukcesie sprzed kilku miesięcy.

Dezorientację, a przez to demobilizację tych, którzy przyczynili się do wygranej PiS w wyborach europejskich, mogą sprawić problemy obecne przed kilku miesiącami, tylko funkcjonujące w innym kontekście. Nadal na porządku dziennym są sprawy wrażliwe, takie jak LGBT, aborcja, wiara (i przy okazji antyklerykalizm), obyczajowa rewolucja czy dyżurne kwestie faszyzmu, rasizmu, ksenofobii, antyeuropeizmu czy antysemityzmu. Podwyższenie gorączki w tej ostatniej sprawie zapewnia list senatorów USA dotyczący mienia pożydowskiego oraz ewentualne wypowiedzi członków administracji Donalda Trumpa podczas jego wizyty w Polsce. Inny kontekst polega na tym, że opozycja chce, żeby to PiS było postrzegane jako agresor, strona prowokująca. Wtedy ważne jest, żeby wszyscy biorący udział w debacie publicznej po stronie władzy byli odpowiednio poinformowani i przygotowani, żeby nie można ich sprowokować, a potem tego wykorzystać. Dla rządzących najbliższa kampania będzie bowiem wyłącznie poruszaniem się po polu minowym, podczas gdy opozycja może sobie pozwolić na poruszanie się ich śladami. Dlatego przekonanie o pewnej wygranej PiS jest grubo przedwczesne i przesadzone.

eprasa.pl 6f3e763147



Jak wiadomo, lepsze jest często wrogiem dobrego, czyli w mojej ocenie Prawo i Sprawiedliwość powinno kontynuować linię z kampanii majowej, ale z mocnym odświeżeniem. Kampania jesienna będzie wyrazistym wyborem za lub przeciw osiągnięciom PiS w ostatnich czterech latach. To dla tej formacji korzystne pole sporu

To będzie plebiscyt

Michał Karnowski rozmawia z prof. Norbertem Maliszewskim (UKSW), psychologiem społecznym, specjalistą ds. marketingu politycznego, publicystą, komentatorem politycznym

Zaskoczył pana profesora przebieg politycznego lata? Wiosną większość analityków głosiła, że domyka się podział sceny politycznej na dwa duże bloki. Tymczasem ostatnie tygodnie to serial tworzenia nowych, czasami bardzo małych koalicji.

Norbert Maliszewski: Nie zaskoczył. Gdy tylko poznaliśmy wyniki wyborów do Parlamentu Europejskiego, postawiłem tezę, że opozycja wystartuje w trzech blokach. I tak się dzieje.

Opozycja wybory do PE przegrała, zdobyła jednak 38 proc. głosów. To zachęcało do wspólnego startu.

Dlatego większość ekspertów wyciągała z tego wniosek, że także w wyborach parlamentarnych będziemy mieli do czynienia z dwoma wielkimi blokami. Ale w tych analizach gubiono pewien element, który ujawnił się w wyborach majowych: liczba głosów oddanych na Koalicję Europejską była mniejsza niż zsumowane poparcie liczone dla każdej partii oddzielnie. Tamten sojusz budowano, by pokonać Zjednoczoną Prawicę, co się nie udało. Okazało się, że nie mogą skutecznie startować w jednym bloku ugrupowania, które mają inną historię, inną tożsamość, które odwołują się do zupełnie innych grup wyborców.

Część wyborców czuje się odepchnięta z powodu obecności na wspólnych listach osób z innych, dalekich im środowisk?

Fot. Maja Kryńska

Tak. Takie zagrożenie mógłby zniwelować silny i przekonujący lider, który potrafiłby stworzyć na tej podstawie spójną, nową ofertę programową. To nie nastąpiło. Grzegorz Schetyna nie ma takich zdolności przywódczych, a zaplecze programowe wokół niego nie jest kompetentne, by coś takiego zbudować.

Mamy zatem blok budowany wokół PO, blok lewicowy i koalicję tworzoną przez PSL. Można zrozumieć, że Platforma nie chciała już lewicy. Ale dlaczego nie dogadała się z PSL?

Rzeczywiście z punktu widzenia interesów opozycji najlepszym rozwiązaniem byłoby pójście w dwóch blokach. Z jednej strony szerokie centrum z komponentem ludowym, z drugiej – ugrupowanie lewicowo-liberalne. To byłoby spójne i minimalizowałoby spory wewnątrz opozycji. Nie byłoby też utraty głosów tych, którzy nie odnaleźli się w formule wielkiego sojuszu całej opozycji.

Dlaczego zatem to nie nastąpiło? I jakie ta zmiana niesie konsekwencje?

Wygrały personalne interesy przywódców, głównie Grzegorza Schetyny i Władysława Kosiniaka-Kamysza, oraz krótkowzroczność planowania politycznego. W efekcie powstają trzy opozycyjne bloki, co ważne – bardzo zachodzące na siebie programowo, walczące o głosy podobnych grup wyborców. To zaś oznacza nieuchronne konflikty między tymi listami wyborczymi.

Nie da się takich napięć uniknąć? Z łamów prasy związanej z obozem III RP płyną liczne apele o zawiązanie „paktu o nieagresji".

Wątpię. Zawsze interes partyjny, przywódczy będzie miał większe znaczenie. Widać to choćby po zachowaniu Grzegorza Schetyny, który nie stawia już sobie jako celu wygrania z Prawem i Sprawiedliwością, tylko znajduje sobie działanie zastępcze, takie jak zmarginalizowanie innych opcji opozycyjnych, którego głównym przesłaniem jest dziś teza, że tylko Koalicja Obywatelska jest skutecznym reprezentantem antypisowskich środowisk. Przewodniczący Schetyna dokłada do tego start w Warszawie, licząc na dobry personalny wynik i w finale zachowanie przywództwa w Platformie.

Po stronie opozycji w rozpoczynającej się kampanii czeka nas zatem rywalizacja PO i PSL o wyborców centrowych oraz PO i SLD o wyborców lewicowych. Po pierwszych przymiarkach Platformy do list wyborczych widać przesuwanie się na lewo, transfery z tamtej strony. Wiemy już, jakie są tego konsekwencje po doświadczeniu z premierostwem Ewy Kopacz, która zrobiła to samo.

Powstały trzy opozycyjne bloki, co ważne, bardzo zachodzące na siebie programowo, walczące o głosy podobnych grup wyborców. To zaś oznacza nieuchronne konflikty między tymi listami wyborczymi

Wtedy zyskało na tym PiS, tak będzie również teraz.

Grzegorz Schetyna zdaje się tak naprawdę tworzyć jakąś imitację Koalicji Europejskiej – ściąga wciąż na listy nowych polityków, głównie lewicowych. Jaki cel mu przyświeca?

Kieruje się założeniem, że kampania wyborcza ponownie spowoduje polaryzację sceny politycznej, podmioty mniejsze, takie jak PSL i Lewica, będą tracić, a wyborcy zaczną spoglądać w kierunku formacji najsilniejszej po stronie opozycji. Musi mieć więc ona ofertę na ten czas, muszą być tam ludzie, którzy będą tych zerkających wyborców przyciągały.

To ma sens.

Tak, ale jest projektem zakładającym porażkę, obliczonym na czas po wyborach, kiedy pytanie o przywództwo Schetyny nieuchronnie się pojawi.

Opozycja nie wierzy już, że może wygrać?

Niewielu w to tam naprawdę wierzy. Jakąś nadzieję wiążą z mechanizmem, który nazywam „pyrrusowym zwycięstwem PiS". To znaczy Zjednoczona Prawica wygrywa wybory, nawet przekonująco, ale nie zyskuje samodzielnej większości. Niedawny sondaż pracowni Social Changes prezentowany na portalu wPolityce.pl taki właśnie rezultat prognozuje.

Przypomnę naszym czytelnikom te wyniki: PiS 44,8 proc., KO 29,4 proc., Koalicja Polska (PSL i Kukiz '15) 11,4 proc., Lewica 10,6 proc. Przy takim rozkładzie głosów PiS miałoby 228 mandatów.

W tym scenariuszu, kiedy Koalicja Obywatelska dostaje ok. 30 proc., a dwie koalicje będące jej potencjalnymi sojusznikami po ok. 10 proc., formacji dziś rządzącej może zabraknąć mandatów w Sejmie do samodzielnego sformowania rządu. Owszem, może próbować przyciągać do siebie pojedynczych posłów z innych formacji, wyciągać potrzebne szable od przeciwnika, ale to już jest sytuacja mniej komfortowa.

Jak by pan ocenił to ryzyko dla obozu rządzącego? Jest duże? Co będzie czynnikiem decydującym?

Prawdopodobieństwo tego pyrrusowego scenariusza jest dziś niewielkie. Ale mamy jeszcze dwa miesiące kampanii i różne czynniki mogą sprzyjać wariantowi pesymistycznemu lub optymistycznemu dla rządzących. Ten ostatni to przekroczenie 45 proc. uzyskanych w wyborach majowych, a w wariancie już bardzo, bardzo optymistycznym – uzyskanie większości konstytucyjnej. Jak to ostatecznie się zakończy, zależy także od postawy obozu rządzącego, od tego, czy będzie umiał minimalizować skutki wydarzeń niekorzystnych i wzmacniać, prowokować elementy, które jego szanse zwiększają.

Przy rozważaniach o możliwym pyrrusowym zwycięstwie istotne staje się zatem pytanie, czy zapowiadane już oficjalnie połączenie sił ludowców i kukizowców tworzy silny blok polityczny?

eprasa.pl 6f3e763147

Nie, te elektoraty się nie dodają. Odwrotnie, w takim scenariuszu znacznie mniej niż połowa zwolenników Kukiz ’15 jest gotowa głosować na listy PSL. Oczywista w tym wypadku niespójność programowa i biograficzna będzie demobilizować także elektorat PSL. Ci wyborcy gubią się w tym, nie wiedzą już, jaką tożsamość ma wybierana dotychczas przez nich partia. O ile poziom mobilizacji wyborców PiS wciąż jest dość wysoki, o tyle w przypadku PSL i Kukiz ’15 te elektoraty są zdemobilizowane. Niski odsetek osób deklarujących się jako zwolennicy tych formacji jest pewny, że pójdzie do wyborów. I tutaj PiS ma duże szanse, by przejąć większość z nich.

Ta demobilizacja i chaos będą jeszcze pogłębiane przez tempo, w jakim ta zmiana następuje – jeszcze w maju uczestniczyli w liberalnej Koalicji Europejskiej, a już w sierpniu będą w sojuszu z Pawłem Kukizem. To radykalny przeskok. PSL liczy, że sieć samorządowców zapewni mu te głosy co zawsze, ale w obliczu demobilizacji spowodowanej tymi woltami może się to okazać siła niewystarczająca.

Bo oni też tego nie wytrzymają?

Nie, po prostu to będzie za mało, by zrobić przyzwoity wynik, zwłaszcza w sytuacji gdy frekwencja będzie bardzo wysoka.

A będzie?

Jak na razie jest spodziewana. Już w wyborach do Parlamentu Europejskiego okazała się duża jak na ten typ wyborów (45,68 proc.), a teraz, jeśli kampania nie będzie przegrzana, nie będzie tak negatywna, że zniechęci ludzi do głosowania, można się spodziewać nawet większego zaangażowania Polaków. To będzie sprzyjać PiS. O ile nie zacznie popełniać błędów.

Napisał pan w internecie: „PiS ma problem drużyny, która wygrywa 2:0 na 20 minut przed końcem meczu i traci koncentrację, oddaje pole mniej doświadczonym zawodnikom, bagatelizuje zagrożenia. Bramka jeszcze nie stracona, ale niebezpiecznych sytuacji coraz więcej”. Coś się zacięło?

Pojawia się dekoncentracja, a w konsekwencji błędy. PiS, jeśli chce wygrać samodzielne rządy, musi każdego dnia zabiegać właśnie o mobilizację wyborców. Tu największym zagrożeniem jest przekonanie, iż sukces jest gwarantowany, że już wygraliśmy, że to się już rozstrzygnęło. A to nieprawda. Decyduje dzień wyborów i wtedy ludzie muszą nie tylko daną partię popierać w deklaracjach, ale i pójść do wyborów. To było kluczem do zwycięstwa PiS 26 maja. Ono było tak duże, bo PiS zdołało zmobilizować swoich wyborców bardziej niż strona opozycyjna. Sondaże wskazujące wcześniej na mniejszą wygraną PiS nie kłamały, one po prostu nigdy nie mierzą czynnika mobilizacji. Podobny mechanizm, choć korzystny dla drugiej strony, wystąpił w wyborach na prezydenta stolicy w 2018 r. Wtedy mobilizacja wyborców liberalnych w Warszawie dała zwycięstwo Rafałowi Trzaskowskiemu już w pierwszej turze – wbrew wcześniejszym sondażom.

> Elektoraty PSL i Kukiz ’15 się nie dodają. Odwrotnie, w takim scenariuszu znacznie mniej niż połowa zwolenników Kukiz ’15 jest gotowa głosować na listy PSL. Oczywista w tym wypadku niespójność programowa i biograficzna będzie demobilizować także elektorat PSL

Skoro kluczowym czynnikiem jest mobilizacja, to ma skarb ten, kto wie, jak ją wytworzyć.

W wyborach do Parlamentu Europejskiego zdecydowały o tym dwa czynniki. Pierwszy to lęk wyborców PiS, że gdy nastąpi liberalna zmiana, gdy do władzy dojdą siły rządzące przed 2015 r., nie będą kontynuowane programy prospołeczne i prorodzinne, np. 500+, zostanie znowu podniesiony wiek emerytalny, zlikwidowana zostanie 13. emerytura. Drugim czynnikiem była obrona przez partię rządzącą konserwatywnych wartości. Wyborcy obawiali się ataków na Kościół, ofensywy pewnej ideologii, której symbolem była Karta LGBT wprowadzana w Warszawie. To się nakładało na fundamentalne przekonania wyborców PiS, którzy cenią sobie bezpieczeństwo, porządek moralny, są dumni z przeszłości Polski i z tego, co dzisiaj się w niej dzieje, jak ona się zmienia.

Nie są to „mohery”?

To całkowicie nieprawdziwy opis. Nie są to też ludzie, których charakteryzowałyby przypisywane im często przez media cechy, jak agresja, pogubienie, wykluczenie. To solidni, aktywni, spokojni ludzie, nieżyczący sobie kulturowej rewolucji, której wizję zaprezentowała przed 26 majem opozycja. To jest nadal silny czynnik motywujący, także do tego, żeby pójść i zagłosować.

Wróćmy jeszcze do tych zaniechań i błędów PiS, które mogą zepsuć perspektywę wygranej. Jakie mogą być konsekwencje sprawy lotów marszałka Kuchcińskiego, którą opinia publiczna odczytuje jako złamanie obietnicy skromności? Z drugiej strony kampania PiS jest pracowita, wiele spotkań w terenie, popularne pikniki rodzinne. Trudno postawić zarzut, że spoczęli na laurach, że uznali już się za wygranych.

Wydaje się, że ten proces jest zbyt rutynowy, a reakcje na pojawiające się problemy bardzo opóźnione. Na przykład przeprosiny marszałka Kuchcińskiego, które padły w miniony poniedziałek, mogły zażegnać kryzys dzień, dwa po wybuchu medialnej krytyki. W momencie gdy je wypowiedziano, były już niewystarczającym ruchem. Zasada jest prosta: im dłużej trwa kryzys wizerunkowy, tym ostrzejsze muszą być podjęte działania. To tak jak z chorobą, która im dłużej trwa, tym większych interwencji lekarskich i silniejszych leków wymaga.

eprasa.pl 6f3e763147

Zgoda, że w tej sprawie powstało wrażenie niespójności, zakochania w luksusie, zamulania sprawy. Pytanie jednak, czy wszystkie te analizy zakładające „koniec PiS", bo wyborcy zobaczyli, że jeden czy drugi polityk tej partii też uległ pokusie, są trafne? Czy źródła poparcia dla obozu prawicy nie są dziś głębsze, nie wynikają z tego, jak zmieniło się życie wielu ludzi? W naszym niedawnym sondażu 55 proc. pytanych Polaków wskazuje, że żyje im się lepiej.

Oczywiście mówienie o jakimś przełomie wskutek sprawy Kuchcińskiego jest przesadą. Czynniki takie jak spadek bezrobocia, wzrost płac, programy społeczne są oczywiście elementami, które w największym stopniu trwale budują poparcie dla PiS. Ale nie należy lekceważyć też elementów, takich jak nadużywanie luksusowych lotów przez VIP-ów czy też wcześniejsze nagrody dla ministrów. Bo one nie zmieniają poczucia, że żyje nam się za tej władzy lepiej, ale wytwarzają przekonanie, że inni mają niesłuszne przywileje, co przekłada się na demobilizację. Mocny sygnał podwyższenia standardów jest ze strony PiS konieczny.

Wróćmy jeszcze na chwilę do sprawy Pawła Kukiza. Co zdecydowało, że ten ruch tak się w końcówce kadencji posypał: charakter lidera, brak systematycznej pracy, odrzucenie partyjnej formuły działania i związany z tym brak pieniędzy?

Te czynniki osobowościowe mają pewnie znaczenie, ale trudno je zbadać naukowo. To, co możemy obserwować i nazwać, to brak struktur, konflikty, odchodzenie działaczy i posłów, brak pomysłu programowego. Na początku było to hasło JOW-ów, jednomandatowych okręgów wyborczych, ale dziś już większość wyborców zrozumiała, że to nie jest rozwiązanie dla polskiego systemu politycznego. Nie bardzo też wiadomo, do kogo Kukiz '15 kieruje swoje przesłanie. W 2015 r. zagłosowali na niego wyborcy głównie o przekonaniach prawicowych, ale im więcej Paweł Kukiz mówi, tym mocniej widać, że nie wszystkie jego poglądy mogą odpowiadać tej grupie. Do tego to chaotyczne przeskakiwanie od rozmów o koalicji z narodowcami, by zbudować silne ugrupowanie antysystemowe, po alians z PSL. To, jak sądzę, w oczach części wyborców przekreśla jego wiarygodność.

Kukiz nie jest jedyny, który zaprzecza w tych dniach swoim dawnym słowom. Widzimy także transfery byłych polityków PiS, choć dawno już w nim niebędących, do obozu III RP, do Koalicji Obywatelskiej. Rozumiem, że oni bardzo chcą być w polityce, ale co na tym zyskuje ugrupowanie pana Schetyny?

> Nie należy lekceważyć elementów takich jak nadużywanie luksusowych lotów przez VIP-ów czy też nagrody dla ministrów. Bo one wytwarzają przekonanie, że inni mają niesłuszne przywileje, co przekłada się na demobilizację elektoratu

To wynika z tego, że Platforma nie ma wiarygodnych postaci na centroprawicy, które mogłyby przyciągnąć wyborców tęskniących jeszcze za PO-PiS-em lub tych, którzy mają przekonania prawicowe, a są niezadowoleni z polityki obecnie rządzących. Kłopot polega na tym, że ten cel za pomocą tych transferów, które obserwowaliśmy, nie zostanie osiągnięty. Nie wydaje się, by to był magnes dla którejkolwiek z tych grup, wielka wartość dodana.

A czy tworzy wartość dodaną połączenie SLD, Wiosny i Razem we wspólnym bloku o nazwie Lewica? To może być poważna siła polityczna?

Wydaje się, że oni mają szansę w jesiennych wyborach na uzyskanie wyniku nawet lepszego niż zsumowany wynik SLD i Razem w 2015 r. To wynika z dwóch powodów. Po pierwsze, udało się wytworzyć wrażenie nowości i jedności, co wyborcy mogą docenić. Po drugie, korzystają na słabości przywództwa Schetyny, który jako lider opozycji popełnia bardzo wiele błędów.

Liderzy nowej lewicowej koalicji liczą na wynik kilkunastoprocentowy. Czy jest on możliwy?

Widziałbym ten poziom poparcia niżej, gdzieś w okolicach 10 proc., o ile nie dojdzie tam do konfliktów. Typowy wyborca SLD nie jest wcale miłośnikiem progresywnych haseł obyczajowych, a wyborca partii Razem niekoniecznie ceni politykę gospodarczą prowadzoną w przeszłości przez rządy SLD. Efekt świeżości z czasem też słabnie. Mają więc szansę, ale na sukces nie są skazani.

Zaczęliśmy naszą rozmowę od spojrzenia wstecz na polityczne lato, zakończmy pytaniem o przyszłość. Wiemy już, że wybory odbędą się 13 października, kampania będzie dość krótka. Jak będzie wyglądała? Jak powinien walczyć o głosy wyborców obóz Jarosława Kaczyńskiego?

Jak wiadomo, lepsze jest często wrogiem dobrego, czyli w mojej ocenie PiS powinno kontynuować linię z kampanii majowej, ale z mocnym odświeżeniem. Kampania jesienna będzie wyrazistym wyborem, plebiscytem za lub przeciwko osiągnięciom PiS w ostatnich czterech latach. To dla tej formacji korzystne pole sporu. Formacja ta wchodzi także z silnym mandatem wiarygodności, przekonaniem wyborców, iż dotrzymuje słowa, co daje mu przewagę nad konkurentami, których zapowiedzi wyborcy biorą mniej serio. Daje to możliwość zarysowania przed wyborami nowej oferty programowej. Jeżeli zostanie to wykonane i partia ta zdoła unikać demobilizujących wyborców błędów, to kolejne cztery lata rządów tej formacji są bardziej prawdopodobne niż przejęcie władzy przez opozycję.

eprasa.pl 6f3e763147



Lewa kasa przewodniczącego Neumanna

W tej historii jest wiele elementów, których polityk powinien się wstydzić. Nieudokumentowane wpływy na konto, dziwne kredyty, pomyłki lub błędy w oświadczeniach majątkowych, zatrudnianie członków rodziny i niejasne wydawanie pieniędzy przeznaczonych na prowadzenie biura poselskiego



MARCIN WIKŁO

Komunikat CBA jest w tej sprawie wyjątkowo lakoniczny: „Od 4 września 2018 r. do 3 czerwca 2019 r. funkcjonariusze departamentu postępowań kontrolnych Centralnego Biura Antykorupcyjnego przeprowadzili postępowanie kontrolne dotyczące prawdziwości i prawidłowości oświadczeń o stanie majątkowym złożonych w latach 2013–2018 przez Sławomira Neumanna w związku z wykonywaniem mandatu posła na Sejm RP oraz zajmowaniem stanowiska sekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia". – 29 lipca 2019 r. w związku z wynikami przeprowadzonej kontroli do Prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze skierowano zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa – mówi nam rzecznik CBA Temistokles Brodowski.

Co zrobi prokuratura? Rzecznik prasowy prokurator Tomasz Czułowski potwierdza, że zawiadomienie z CBA wpłynęło. „Aktualnie zawiadomienie oraz dołączona do niego obszerna dokumentacja są analizowane w ramach postępowania sprawdzającego".

Poznaliśmy szczegóły kontroli, która trwała 10 miesięcy. Z co najmniej kilku zarzutów stawianych przez CBA Sławomir Neumann, szef klubu parlamentarnego PO-KO, będzie się musiał gęsto tłumaczyć. Jak to możliwe, że parlamentarzysta z tak dużym stażem (to już jego trzecia kadencja w Sejmie) wciąż ma problemy z prostymi oświadczeniami majątkowymi i nie wie, jak powinno się wydawać pieniądze, które z Kancelarii Sejmu RP dostaje na prowadzenie biura poselskiego?

Z ROKU NA ROK

Ktoś, kto tak dobrze jak Neumann zna parlamentarne realia, wie, że wypłacane przez Kancelarię Sejmu RP pieniądze na prowadzenie biura poselskiego należy wydawać zgodnie z dosyć restrykcyjnymi przepisami. Możliwości operowania tą kasą jednak jakieś są, trzeba tylko wiedzieć, jak to robić. Kancelaria nie ma wglądu do historii rachunku biura poselskiego, więc opiera się tylko na deklaracjach składanych przez parlamentarzystę, licząc na jego uczciwość.

Jak wynika z kontroli, przewodniczący tego zaufania nadużył. Notorycznie przedstawiał zestawienia, z których wynikało, że na koncie biura jest więcej pieniędzy, niż było w rzeczywistości. To niby drobnostka, bo nadwyżka i tak przechodzi na kolejny rok rozliczeniowy, ale mówimy tutaj o kwotach wielotysięcznych, które mogły być przez posła traktowane jak nieoprocentowane pożyczki na cele niezwiązane z pracą poselską.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 6f3e763147



Dokument nazywa się „Sprawozdanie z wydatkowania kwoty ryczałtu przeznaczonego na prowadzenie biura poselskiego" i jest składany co roku. No to popatrzmy. Neumann zaraportował, że za okres 1 stycznia 2012 – 31 grudnia 2012 pozostała mu nadwyżka w kwocie 12 288,81 zł. Tymczasem na jego biurowym koncie na koniec roku było tylko 513,62 zł. Za rok 2013 podobnie. W deklaracji nadwyżka, ponad 45 tys. zł, saldo rachunku 7 324,61 zł. Rok 2014 – nadwyżka ponad 61 tys., saldo – 1 776,42 zł.

Możliwość przerzucania pieniędzy na rok następny kończy się wraz z końcem kadencji i w tym miejscu jakoś trzeba te rachunki wyrównać. Od 1 stycznia 2015 r. do zakończenia kadencji (11 listopada 2015 r.) Neumann zadeklarował, że wydał 187 803,48 zł, co oznacza, że rozliczył wydatki o 59 940,24 zł wyższe od kwoty, która rzeczywiście była wydana z konta jego biura poselskiego.

Kolejna kadencja oznacza takie same przekłamania w zestawieniach podawanych przez Neumanna. Rozliczenie za okres 12 listopada 2015 r. (początek kadencji) do 31 grudnia 2016 r.: nadwyżka – 35 346,85 zł, saldo – 47,70 zł. To oznacza, że 35 299,15 zł gdzieś „wyszło".

1 STYCZNIA 2017 – 31 GRUDNIA 2017: NADWYŻKA – 79 500,68 ZŁ, SALDO – 1 102,70 ZŁ.

Przypomnijmy, że przepisy są jednoznaczne. Środków przelanych z Kancelarii Sejmu RP na działalność biura poselskiego w żadnym wypadku nie można wydatkować na inny cel.

Neumann publikację portalu wPolityce.pl, w której ujawniliśmy te nieścisłości, nazywa „atakiem politycznym". Ta chyba najczęściej stosowana przez polityków (wszystkich opcji) linia obrony jest

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. Aleksandra Szmigiel/REPORTER

zwykłym pustosłowiem. W odpowiedzi na nasze pytania przewodniczący pisze: „Rozliczenie środków na prowadzenie biura poselskiego odbywa się w cyklu kadencji. Rozliczenie za lata 2011–2015 zostało złożone i nie ma co do tego rozliczenia zastrzeżeń. Rozliczenie kadencji 2015–2019 nastąpi w listopadzie tego roku i jestem pewny, że także nie będzie co do niego uwag. Przypomnę Panu redaktorowi, że do rozliczenia wydatków z biur poselskich potrzebne są faktury, umowy lub inne dokumenty potwierdzające fakt i celowość wydanych środków. W innym przypadku takie środki nie zostaną rozliczone". Dobrze, że pan poseł wspomina o fakturach, o tym też za chwilę będzie.

PRZEDŚWIĄTECZNE ZAKUPY

Idźmy dalej tropem pieniędzy posła na Sejm, funkcjonariusza publicznego, człowieka, który lubi zbesztać politycznych przeciwników za rozpasanie i dojenie budżetu. Jest wręcz nazywany przez zasiadających obok niego w poselskich ławach parlamentarzystów „naczelnym moralizatorem".

W zawiadomieniu o możliwości popełnienia przestępstwa są także wskazane liczne przelewy środków pieniężnych z konta biura poselskiego na prywatne rachunki Sławomira i Tatiany Neumannów. To budzi oczywiste wątpliwości, ale poseł w swoich wyjaśnieniach miał bagatelizować tę sprawę. Przelewy na swoje konto wiązał z rozliczeniem kilometrówek, a przepływ pieniędzy na konto żony określał jako rekompensatę wydatków, które ona osobiście poczyniła na rzecz biura. Takie wydatki powinny być – i parlamentarzysta to wie – udokumentowane fakturami lub rachunkami. Czy pan poseł je pokaże?

O jakich kwotach mówimy? Z rachunku biura na konta państwa Neumannów trafiło: w 2012 – 4,5 tys. zł, 2013 – 7 tys. zł, 2014 - 1,2 tys. zł, 2015 – 25,9 tys. zł, 2016 – 1,3 tys. zł, 2017 – 21,8 tys. zł. Łączna kwota przelewów wyniosła 61,7 tys. zł.

Wśród przelewów z biurowego konta można także odnaleźć trzy operacje (3 lutego 2012 r. – 800 zł, 9 października 2012 r. – 2 tys. zł, 25 lipca 2014 r. – 1,3 tys. zł) na łączną kwotę 4,1 tys. zł na rachunek córki Agnieszki Neumann.

Są też przelewy na 1 230,25 zł z 7 lutego 2012 r. na rzecz Rafała Neumanna z tytułem „faktura roletki" oraz z 11 stycznia na rzecz firmy Neumann Okna (właścicielem jest Rafał Neumann). Może biuro akurat potrzebowało drobnego remontu i wymiany rolet, ale zamówienie tej usługi u członka rodziny jest złamaniem zakazu, który nakłada na posłów specjalne zarządzenie marszałka Sejmu z 2001 r. Doświadczony parlamentarzysta nie może o tym nie wiedzieć.

Na nasze pytanie poseł odpowiada: „Nie zatrudniam w moim biurze nikogo z rodziny ani nie kupuję usług u członków rodziny".

Na rachunku bankowym biura poselskiego Neumanna jest też sporo transakcji na drobniejsze kwoty, sprawiających jednak wrażenie wydatków stricte prywatnych. O ile można by – przy sporej życzliwości dla pana posła – przymknąć oko na płacenie rachunków w restauracjach (także za granicą) czy za pobyty w hotelach, to już zakupy w sklepach z biżuterią, odzieżą czy alkoholami trudno włączyć w działalność parlamentarną. Rok 2014 musiał być w tym względzie wyjątkowy, w grudniu, w okresie przedświątecznym, aż 12 razy nabył rzeczy niezbędne do wypełniania mandatu posła w sklepach takich jak: Empik (24 grudnia), Adidas (15 i 23 grudnia), Orsay (15 grudnia), Sephora (24 grudnia), Douglas (29 grudnia), Jubitom (24 grudnia) czy iSpot (22 grudnia). Trafiła się też wizyta w Galerii Alkoholi. Ciekawe, jak to zostało zaksięgowane w wydatkach biura?

NIE WIADOMO SKĄD

Osobną kwestią wymagającą omówienia są stwierdzone na kontach Neumannów wpłaty gotówkowe albo spłaty gotówką kredytu lub zadłużenia kart kredytowych. W tym przypadku to spora kwota, bo mówimy o 107 tys. zł (2013 – 11 tys. zł, 2015 – 88 tys. zł, 2017 – 8 tys. zł). Sławomir Neumann miał tłumaczyć kontrolerom, że to pieniądze, które były pobierane z innych kont i wpłacane gotówką na te rachunki, że to także „odwołana darowizna" dla jednej z córek i wreszcie darowizna od teściowej dla jego żony.

Skontrolowano wszystkie rachunki Neumannów i nie dopatrzono się w tym ani innym czasie takich wypłat gotówki. W dokumentacji przekazanej przez Urząd Skarbowy w Starogardzie Gdańskim nie ma dokumentacji o darowiznach Sławomira i Tatiany Neumannów na rzecz córek. Nie wiadomo więc, skąd te pieniądze pochodziły (mówimy więc o tzw. źródłach nieujawnionych), ale wiadomo, na co poszły. 5 tys. zł Neumann przelał na rzecz własnego biura poselskiego, 45,5 tys. zł przeznaczył na spłatę zadłużonej karty kredytowej i części kredytu hipotecznego, a 22 830 zł to były przelewy na rzecz beneficjenta: „Platforma Obywatelska RP". Tę kwestię Neumann tłumaczy nam tak: „Wpłaty na konto, jakie miały miejsce, tak jak opisałem to w wyjaśnieniach

eprasa.pl 6f3e763147

przesłanych do CBA, do których, jak rozumiem, ma Pan dostęp, pochodzą od mojej córki, która mieszka i pracuje w Holandii".

KREDYT PO CZASIE

Sławomir Neumann nie kupuje nowych samochodów. Raczej dwu- lub czterolatki. To zrozumiałe, wóz ciągle w dobrym stanie, a i cena na pewno bardziej przystępna. Wyjątkiem była nowa honda jazz, pojazd nabyty w 2006 r. Od 2016 r. to współwłasność polityka i jego córki Anny. Sytuacja w zasadzie oczywista, znana z wielu rodzin, gdy dziecko dostaje od rodzica trochę przechodzony wóz.

Dwa większe samochody – opel insignia z 2012 r. (kupiony w 2014 r.) i BMW 520D z 2006 r. (kupiony w 2010 r.) – to współwłasność z żoną Tatianą. To nie koniec. Neumann w ostatnich oświadczeniach majątkowych wpisuje także: „Samochód osobowy VW Touran, rok prod. 2005, którego właścicielem jest córka, ja figuruję jako współwłaściciel". To nie do końca zrozumiała sytuacja, bo w danych Centralnej Ewidencji Pojazdów i starostwie nie ma dokumentów potwierdzających jakikolwiek związek Neumanna z tym samochodem. Poseł tłumaczył szczerze, że chodziło o jego zniżki w ubezpieczeniu, z których mogłaby skorzystać córka, nie czynimy z tego zarzutu. Ale na papierze tej współwłasności nie ma, więc wpisanie samochodu do oświadczenia wydaje się dmuchaniem na zimne. I to w pewnym sensie też możemy zrozumieć.

Bo w rodzinie Neumannów jest jeszcze jeden samochód, być może najmniej efektowny ze wszystkich. Kupiona 2 stycznia 2016 r. (data jest tutaj ważna) przez Tatianę Neumann mazda 3 z 2014 r. Transakcji dobito w Starogardzie Gdańskim u miejscowego handlarza, cena wyniosła 49 tys. zł, zapłacono gotówką. I ten samochód nie został wpisany do oświadczenia majątkowego posła, chociaż powinien się tam znaleźć, bo nawet jeśli jego właścicielem została żona, to państwo Neumannowie mają „ustrój ustawowej wspólnoty majątkowej". Po co ukrywać posiadanie samochodu?

Wyjaśnienie Sławomira Neumanna: „Samochód kupiony przez moją żonę był wykazywany w jej oświadczeniu majątkowym, tak jak i kredyt zaciągnięty na ten zakup. Jako że są wątpliwości, czy ja także powinienem wpisać to w oświadczenie majątkowe, to złożyłem odpowiednią korektę i w moim oświadczeniu też jest on ujęty". Okazuje się jednak, że niewpisanie samochodu do oświadczenia majątkowego to drobnostka w porównaniu z inną kwestią. Tatiana Neumann płaci za mazdę gotówką 49 tys. zł. Dzieje się to, przypomnijmy, 2 stycznia 2016 r. Skąd ma te pieniądze? Dobre pytanie, z oświadczeń majątkowych bowiem wynika, że poseł Neumann (pozostający we wspólnocie majątkowej, więc zobowiązany wykazać wszystkie środki) na dwa dni przed kupnem samochodu (oświadczenie za okres do 31 grudnia 2015 r.) ma 19 632,15 zł.

> W zawiadomieniu CBA o możliwości popełnienia przestępstwa są wskazane liczne przelewy środków z konta biura poselskiego na prywatne rachunki małżeństwa Neumannów

W tym czasie z żadnego z rachunków nie są wypłacane żadne pieniądze.

Miesiąc później, 2 lutego 2016 r., małżeństwo Neumannów bierze kredyt gotówkowy w Banku Spółdzielczym w Starogardzie Gdańskim na 30 tys. zł. Poseł tłumaczył, że to właśnie na mazdę, ale... nic się tu kupy nie trzyma. Dlaczego miesiąc później? I dlaczego bank przelewa kredyt na konto córki posła? Poseł wyjaśniał, że to Agnieszka Neumann wyłożyła środki na zakup pojazdu, który następnie darowała matce. W Urzędzie Skarbowym w Stargardzie Szczecińskim nie ma żadnych informacji o jakiejkolwiek darowiźnie pomiędzy paniami.

W ocenie CBA Sławomir Neumann nie przedstawił wiarygodnych wyjaśnień, skąd pochodziły pieniądze (49 tys. zł) na zakup samochodu mazda 3. A gdy wezwano go do ustnego uzupełnienia wyjaśnień, nie stawił się w żadnym z wyznaczonych terminów.

POPULARNOŚĆ W GDAŃSKU

Przewodniczący klubu parlamentarnego PO-KO to bardzo doświadczony polityk. Z wykształcenia jest ekonomistą, skończył Politechnikę Koszalińską. W latach 1990–1997 prowadził własną działalność gospodarczą, potem był m.in. dyrektorem oddziału Nordea Banku i prezesem zarządu Lokalnej Organizacji Turystycznej „Kociewie". Wspinał się po szczeblach polityki lokalnej, by w 2007 r. wejść do Sejmu z listy Platformy Obywatelskiej. Od 6 sierpnia 2012 r. do 11 listopada 2015 r. był wiceministrem zdrowia w rządach Donalda Tuska i Ewy Kopacz.

Według Prokuratury Krajowej miał w tym czasie naciskać na kierownictwo Narodowego Funduszu Zdrowia, by ten, mimo wykrytych nieprawidłowości, nie zrywał umowy z jedną z klinik okulistycznych w Warszawie. Jak podała PK, efektem działań Neumanna w resorcie zdrowia było „osiągnięcie korzyści majątkowych w wysokości 13,5 mln zł przez warszawską klinikę medyczną, która bezprawnie pobierała od pacjentów opłaty za zabiegi finansowane w rzeczywistości przez Narodowy Fundusz Zdrowia". W komunikacie czytamy, że gdy klinice wypowiedziano umowę, polityk „podejmował w jej interesie liczne bezprawne działania". „Interweniował u prezes NFZ i dyrektora Mazowieckiego Oddziału Funduszu Adama T. Zlecił też podległym sobie pracownikom wadliwą interpretację przepisów, która miała być uzasadnieniem dla kontynuowania współpracy z lecznicą pobierającą od pacjentów nienależne opłaty" – podkreślono w komunikacie PK.

W grudniu 2018 r. poseł stawił się na przesłuchaniu w prokuraturze w Jeleniej Górze. „Usłyszałem zarzut przekroczenia uprawnień, nie przyznałem się do winy" – mówił po przeprowadzeniu czynności. Naciskał, by jak najszybciej wysłać akt oskarżenia do sądu, by mógł się bronić.

Mimo tych niejasności w gdańskim okręgu jest bardzo popularnym politykiem. Startując z listy PO, uzyskał w wyborach w 2015 r. 20 514 głosów.

eprasa.pl 6f3e763147

Odkurzone czołgi

Modernizacja starych czołgów T-72 jest koniecznością, jeśli po wielu latach zaniedbań chcemy zachować zdolność obrony naszej wschodniej granicy. Zakup nowych maszyn byłby bowiem około sześciokrotnie droższy, a to oznaczałoby cięcia w innych równie ważnych programach zbrojeniowych. Warto jednak poszukać środków na znacznie głębszą ich modernizację. Rządowe plany nie gwarantują bowiem pełnej przydatności tych maszyn na polu walki. I już dziś podjąć decyzję w sprawie ich następcy





KONRAD KOŁODZIEJSKI

Stare czołgi T-72 znajdujące się na uzbrojeniu polskiej armii od 1978 r. będą zmodernizowane, aby zapewnić Polsce zdolności obronne do chwili powstania czołgu nowej generacji. Taką decyzję podjął w lipcu minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak.

Decyzja MON wywołała wiele kontrowersji. Oprócz histerycznych zarzutów ze strony opozycji, która – ustami ministra obrony z czasów rządu PO-PSL Tomasza Siemoniaka – nazwała plan rządu „dopełnieniem destrukcji Wojska Polskiego", głos zabrał też były dowódca Wojsk Lądowych gen. Waldemar Skrzypczak. W rozmowie z portalem tvn24.pl stwierdził, że czołgi T-72 nie mają już „nic do powiedzenia" na polu walki.

Eksperci wypowiadający się w tej sprawie są jednak znacznie bardziej ostrożni w ocenach. Wielu uważa, że modernizacja czołgów T-72 jest słuszną decyzją, choć krytykują zbyt mały zakres zmian modyfikujących konstrukcję. Przyczyną są oczywiście – jak zawsze – pieniądze. Poważnym wyzwaniem może się okazać też – ich zdaniem – słaby potencjał technologiczny polskiego przemysłu zbrojeniowego. Przypomina się przy tej okazji, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza zdolności naszego przemysłu były stale ograniczane, wiele przedsiębiorstw zlikwidowano (np. produkujące silniki do czołgów zakłady PZL Wola), a inne – z powodu braku zamówień i zastrzyku pieniędzy – powoli zwijały swoją działalność.

Jednak program modernizacji czołgów T-72 może znów ożywić polski sektor zbrojeniowy, w tym zwłaszcza zakłady Bumar-Łabędy w Gliwicach, które kiedyś produkowały T-72 na sowieckiej licencji, a dziś mają odpowiadać za ich modyfikację. Daje to nadzieję na odtworzenie przez Polskę zdolności przemysłowych oraz zachowanie setek miejsc pracy na Górnym Śląsku. Ma to również znaczenie polityczne, w nadchodzących wyborach z Katowic startuje bowiem do Sejmu premier Mateusz Morawiecki, dla którego program modernizacji czołgów jest ważnym elementem kampanii wyborczej. Z tego powodu wiele zarzutów podnoszonych przez opozycję przeciwko planom modyfikacji czołgów T-72 należy odczytywać w kategoriach przedwyborczej propagandy.

CZOŁGI CIĄGLE W LINII

Umowa na modernizację czołgów T-72 ma kosztować budżet państwa 1,75 mld zł. W ciągu najbliższych sześciu lat remontom i modyfikacji zostanie poddanych 318 czołgów. Czy jednak warto inwestować pieniądze w stare czołgi?

Oprócz wspomnianych już planów ożywienia polskiego przemysłu zbrojeniowego duże znaczenie mają kwestie obronne. Czołgi nadal stanowią bardzo ważny element pola walki. Szczególnie w polskich warunkach, na rozległych nizinach pozbawionych przeszkód terenowych, które można wykorzystać jako naturalne zapory przeciwko agresorowi.

Czołgi wraz z artylerią służą przede wszystkim do przełamania linii nieprzyjaciela. Najpierw artyleria – zwykła lub rakietowa – „czyści" teren, potem do akcji ruszają czołgi, a w ślad za nimi piechota. Znaczenie broni pancernej, zarówno bojowe, jak i psychologiczne (żołnierz biegnący za czołgiem czuje się pewniej i bezpieczniej), jest więc nie do przecenienia. Oczywiście ważne są też inne czynniki, przede wszystkim zapewnienie przewagi w powietrzu, jednak na ziemi to ciągle broń pancerna odgrywa kluczową rolę w walce. Pokazał to choćby konflikt na Ukrainie, gdzie właśnie obecność czołgów często decydowała o sukcesie militarnym.

Polska ze względu na swoje położenie geograficzne i ukształtowanie terenu z czołgów zrezygnować nie może. Tym bardziej że po wschodniej stronie granicy broni pancernej nie brakuje. W Rosji pod koniec 2016 r. w służbie liniowej znajdowało się ok. 3,1 tys. czołgów. Ta liczba – wraz z agresywnymi zachowaniami Rosji – musi determinować naszą strategię obronną. Jej elementem było powołanie w zeszłym roku 18 Dywizji Zmechanizowanej w Siedlcach, która ma wzmocnić nasze zdolności obronne na przedpolu Warszawy i wzdłuż całej wschodniej granicy. Aż dziwne, że żaden poprzedni rząd nie widział dotychczas takiej potrzeby. Wręcz przeciwnie – w 2011 r. ówczesna ekipa PO-PSL podjęła mocno kontrowersyjną decyzję o rozwiązaniu 1 Dywizji Zmechanizowanej w podwarszawskim Legionowie.

Powstająca w Siedlcach nowa dywizja musi jednak zostać uzbrojona. Część tego uzbrojenia znajdzie się na jej wyposażeniu wraz z istniejącymi już jednostkami, które zostały włączone do nowej dywizji. To jednak nie wystarczy, jeżeli nie chcemy pozbawić broni pozostałych oddziałów znajdujących się w głębi kraju. Stąd m.in. pojawił się pomysł modernizacji posiadanych czołgów T-72.

Według raportu Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego dwa lata temu w linii znajdowało się 638 czołgów, w tym 247 leopardów 2, 232 czołgi PT-91 Twardy (to również polska modernizacja T-72) oraz 174 starych T-72. Oprócz tego w rezerwie miało się znajdować 331 dodatkowych czołgów T-72, z których część była własnością Agencji Mienia Wojskowego z przeznaczeniem na sprzedaż do hut lub za granicę. Postanowiono więc wykorzystać część maszyn z tej rezerwy, poddać je remontom i modyfikacjom oraz zwiększyć w ten sposób liczbę czołgów w pierwszej linii.

Oczywiście gdyby problem sprowadzać tylko do liczby czołgów, to Polska – przynajmniej na tle sojuszników z NATO – wypada lepiej niż inni. Przykładowo Niemcy utrzymują w linii ponad 300 czołgów Leopard 2, Francja – ponad 200 czołgów Leclerc, a Wielka Brytania podobną liczbę challengerów. Różnica polega na tym, że po pierwsze, czołgi wymienionych państw są bardziej zaawansowane technologicznie od większości naszych, a po drugie, państwa te nie leżą na wschodniej flance NATO.

JEDYNE WYJŚCIE

Z punktu widzenia polskich potrzeb obronnych najlepiej byłoby więc mieć na uzbrojeniu kilka setek zmodernizowanych i nowych czołgów, być może nawet około tysiąca. W ten sposób moglibyśmy nie tylko mieć skuteczną przeciwwagę dla rosyjskich wojsk pancernych, lecz również zabezpie-

eprasa.pl 6f3e763147

czyć niezbędne rezerwy konieczne dla uzupełnienia ewentualnych strat w walce. Problemem jest jednak – jak już wspomniałem – brak pieniędzy. Gdybyśmy chcieli kupić 250 nowoczesnych czołgów, musielibyśmy na nie wydać – według różnych szacunków – ok. 8 mld zł, a gdyby doliczyć do tego amunicję, szkolenie załóg i serwis, to ta suma wzrośnie do 12 mld zł. Taki zakup oznaczałby jednak konieczność rezygnacji z innych równie ważnych planów modernizacyjnych, takich jak kupno nowych samolotów wielozadaniowych czy systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej. Wybrane rozwiązanie – modernizacja starych czołgów T-72 – wydaje się więc jedynym możliwym wyjściem, choć musi mieć ono, jak zresztą zapewnia rząd, charakter „pomostowy". Zmodernizowane czołgi pozostaną w służbie do czasu zakupu lub opracowania nowego czołgu, co jednak nastąpi nie wcześniej niż za 15–20 lat.

Czołg T-72, choć jest konstrukcją sprzed półwiecza, nadal posiada duże możliwości modernizacyjne. Dowodzi tego przykład Rosji, gdzie spośród ponad 3 tys. czołgów znajdujących się w pierwszej linii, aż dwie trzecie stanowią różne generacje typu T-72. Większość z nich jest jednak unowocześniona. Rosjanie prowadzili swoje prace modernizacyjne etapami, przez wiele lat, dzięki czemu na bieżąco poprawiali właściwości czołgu, który stale zachowywał duże walory bojowe.

W Polsce, po pierwszej udanej gruntownej modernizacji czołgu T-72, jaką był PT-91 Twardy, dalszych prac zaniechano. Uznano bowiem, że pełnoskalowa wojna jest mało prawdopodobna i zamiast w broń pancerną inwestowano w lżejsze transportery kołowe przydatne np. w misjach ekspedycyjnych. Poza tym zakładano, że w niedalekiej przyszłości pozbędziemy się posowieckiego uzbrojenia i przesiądziemy się na broń produkcji zachodniej. W tym celu sprowadzono do Polski ponad 200 używanych niemieckich leopardów 2. To były nowoczesne maszyny, ale na większe zakupy – niezbędne, aby zachować wysokie zdolności bojowe wojsk pancernych – pieniędzy zabrakło. W rezultacie mamy dziś dwa zupełnie różne systemy broni: zachodnie leopardy i wywodzące się z sowieckiej techniki czołgi T-72 i PT-91 Twardy. To kłopot, bo oba rodzaje czołgów są technologicznie zupełnie inne, mają również odmienne rodzaje uzbrojenia i amunicji.

W ostatnich latach poszukiwano możliwości dokupienia kolejnych używanych leopardów, ale okazało się, że na rynku wtórnym nie ma już maszyn na sprzedaż. Zwłaszcza że potrzebujemy ich całkiem sporo, bo ok. 300. Pozostały więc stare rezerwy czołgów T-72.

TO TYLKO PROWIZORKA

Na program modernizacji czołgów T-72 przeznaczono blisko 2 mld zł. To duża kwota, ale – jak się okazało – niewystarczająca, aby wiekowy czołg zyskał duże walory bojowe. Przeszkodą jest stan techniczny maszyn. Należy je bowiem najpierw wyremontować, a to pochłonie sporą część pieniędzy. W rezultacie na właściwą modernizację nie zostanie już zbyt wiele.

> Wielu ekspertów uważa, że modernizacja czołgów T-72 jest słuszną decyzją, choć krytykują zbyt mały zakres zmian modyfikujących konstrukcję

Remontowane czołgi mają zostać wyposażone w nowe systemy obserwacyjno-celownicze, co poprawi możliwości działania w trudnych warunkach atmosferycznych i w nocy, w środki łączności cyfrowej oraz – prawdopodobnie – w nowe systemy nawigacyjne. To oczywiście krok naprzód, ale – zdaniem ekspertów – nie wystarczy, aby czołgi mogły się stać pełnowartościowym uzbrojeniem na polu walki. Mankamentem czołgów T-72 jest przestarzała armata i system stabilizacji, który znacząco ogranicza skuteczny ogień. Należałoby też wzmocnić kiepskie opancerzenie czołgu oraz wyposażyć go w system ostrzegający o napromieniowaniu wiązką laserową zastosowany chociażby w Twardym. System ten informuje załogę, że jej czołg został namierzony przez wroga, co pozwala na wykonanie uniku i uniknięcie trafienia. Gdyby modernizacja obejmowała również te słabe punkty czołgu, to wówczas moglibyśmy uczciwie powiedzieć, że spełniałby on przynajmniej podstawowe standardy współczesnego pola walki.

Na szczęście nikt w rządzie nie twierdzi, że zaproponowana modernizacja jest wystarczająca. Zakłada się bowiem, że – jeśli znajdą się dodatkowe środki (o ile się znajdą) – maszyny zostaną w przyszłości lepiej wyposażone.

Pojawia się pytanie: a co potem? Wiadomo bowiem, i rząd też o tym wie, że nawet zmodernizowane i doposażone czołgi T-72 są jedynie rozwiązaniem na kilkanaście, maksimum 20 lat. W tej chwili Rosjanie wdrażają do służby czołg całkowicie nowej generacji T-14 Armata, a Francuzi i Niemcy podjęli wspólne prace nad następcą czołgów Leopard i Leclerc. Jeśli więc chcemy uniknąć problemu, który mamy dziś, powinniśmy już teraz opracować koncepcję następcy używanych obecnie czołgów. I tu mamy kolejne pytanie: czy nasz przemysł jest w stanie opracować czołg, który może stanąć w szranki z najlepszymi maszynami, które za kilkanaście lat będą dostępne na rynku? I czy mamy na to odpowiednie środki?

Niestety, należy w to wątpić. Trzeba więc podjąć próbę dołączenia do zagranicznych programów budowy czołgu nowej generacji: może do francusko-niemieckiego, może do południowokoreańskiego lub jeszcze innych. Kolejnym rozwiązaniem jest budowa mniej skomplikowanego technicznie, ale za to dysponującego dużą siłą ognia własnego czołgu, który mógłby być oparty na doświadczeniach, jakich polski przemysł nabrał przy produkcji oraz modernizacji rosyjskiego T-72. Ważne jest jednak, aby strategiczną decyzję w tej sprawie podjąć jak najszybciej. Kolejne odkurzanie czołgów za kilkanaście lat nie będzie już miało bowiem żadnego sensu.

eprasa.pl 6f3e763147

Na Nowogrodzkiej bywa jak w ulu

Gdy pod koniec roku robimy statystykę, to okazuje się, że na biurko prezesa trafia 30–40 tys. listów rocznie – mówi Radosław Fogiel, wicerzecznik PiS, dyrektor biura poselskiego Jarosława Kaczyńskiego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Jak długo pracuje pan przy Nowogrodzkiej?

Radosław Fogiel: Dobre pytanie. Strach liczyć... Zacząłem w 2005 r., gdy pracowałem w czasie kampanii prezydencko-parlamentarnej, ale to było tylko kilka miesięcy, bo po wyborach trafiłem do kancelarii premiera. Więc jeśli nieprzerwanie, to trzeba by liczyć od 2008 r.

Prawie 12 lat. Dobrze oddali Nowogrodzką w „Uchu Prezesa"?

Scenografia i cały entourage były tym, co najlepiej udało się twórcom. Żartowaliśmy w pracy, że musieli mieć dobre źródła albo rozmawiać z wieloma naszymi gośćmi, bo podobieństwa były. Niemniej w rzeczywistości mamy dużo skromniejsze warunki lokalowe niż te, które widać na ekranie. [śmiech]



Jest wczesne przedpołudnie, siedzimy w tej owianej sławą siedzibie PiS. Nie wygląda to jak centrum sterowania polskim wszechświatem.

Proszę mi wierzyć, że w kampanii robi się tutaj jak w ulu – jest całe biuro prasowe, wolontariusze, regularne spotkania sztabu, stanowisko do kontaktu telefonicznego.

Wróćmy do pana. W roku 2005 miał pan 23 lata, to jeszcze wiek studencki.

Zacząłem nawet wcześniej. Mój pierwszy kontakt z PiS był zaraz po maturze, w roku 2001.

Po maturze zamiast się wyszaleć, pojechać na wakacje, pan puka do biura PiS?!

[śmiech] Bez przesady, wakacje też się udało wcisnąć. To było jeszcze w Radomiu. Zgłosiłem się z ulicy do biura PiS – wiedziałem, że partia powstaje, ceniłem dorobek Lecha Kaczyńskiego jako ministra sprawiedliwości. Wszedłem, powiedziałem „Dzień dobry" i jakoś poszło.

„Dzień dobry" z prośbą o zatrudnienie to można powiedzieć w spożywczaku, a nie w dużej partii. Nie musiał przejść pan całej tej machiny, która zajmuje się nowymi działaczami?

Przyszedłem zapytać, jak można pomóc w kampanii, nie na rozmowę kwalifikacyjną. Ale faktycznie, pewnie w momencie, gdy partia ma kilka miesięcy (a tak było wtedy), dużo łatwiej jest wejść z ulicy i zostać zagonionym do odpowiedzialnej pracy. Ale i dziś jest to możliwe. Jeżeli partia ma funkcjonować i żyć, to musi być otwarta na nowe twarze, młodych ludzi. A jeśli już o nich mówimy, to sporo jest np. studentów, którzy angażują się w naszą aktywność, a z czasem mają możliwość się wykazać, wystartować w wyborach samorządowych etc.

Dobrze, ale skąd zaufanie do pana ze strony prezesa PiS? Bo kariera w partii to jedno, ale pan od lat jest prawą ręką posła Jarosława Kaczyńskiego. A panuje przecież przekonanie, że prezes raczej otacza się druhami z Porozumienia Centrum, a nie 20-latkami.

Jestem pewnie ostatnią osobą, która powinna odpowiadać na to pytanie. Wyglądało to tak, że pracowałem od 2005 r. z Adamem Lipińskim, wiceprezesem PiS. Najpierw w kampanii, potem w gabinecie politycznym w kancelarii premiera. Tam zajmowaliśmy się codzienną „okołopolityczną" robotą: kontaktami z ministrami, posłami, ale też wieloma bieżącymi zadaniami: przygotowaniami wizyt premiera, researchem. Specyfika pracy gabinetu politycznego jest taka, że potrzebni są ludzie, którzy znają tryb partyjnego funkcjonowania. Wbrew pozorom nie każdy jest chętny, by kiedy trzeba, wstać rano w niedzielę, przyjechać do KPRM i na szybko coś

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. Andrzej Wiktor

ogarnąć. To inny tryb pracy niż urzędniczy. Mamy mocno elastyczne godziny pracy.

Wracam do pytania o pana bezpośrednią współpracę z prezesem Kaczyńskim.

Po wyborach europejskich w 2009 r. potrzebna była dodatkowa osoba w biurze prezesa. Pani dyrektor Skrzypek zapytała ministra Lipińskiego, czy byłby skłonny mnie oddać.

Popularna pani Basia.

Tak. Najpierw było więc biuro prezydialne, a z czasem prezes Kaczyński zdecydował o tym, bym prowadził jego biuro poselskie.

Jak się prowadzi takie biuro?

To sporo pracy. Telefon dzwoni w zasadzie bez przerwy. I tak jak przeciętny poseł dostaje interwencyjnych spraw zapewne kilka w tygodniu, tak do nas potrafi przyjść kilkadziesiąt spraw dziennie. Trzeba przy tym rozróżnić, czym są sprawy poselskie, czym partyjne, a czym problemy życiowe, z którymi też Polacy piszą do prezesa PiS.

Do pana trafiają te poselskie, a reszta listów na inne biurko?

Tak, i nimi zajmuje się dyrektor Skrzypek. Tamtych listów zresztą jest jeszcze więcej. Gdy pod koniec roku robimy statystykę, to ogółem jest to 30–40 tys. spraw rocznie.

Jak pan powie, że prezes wszystkie je czyta, to gruchnę śmiechem.

Fizycznie wszystkiego nie da się przeczytać. My jesteśmy od pierwszej, wstępnej selekcji. Część spraw jest ewidentna – wiadomo, że powinny pójść drogą służbową: do któregoś z ministerstw czy konkretnego urzędu. Sporą część listów czyta jednak osobiście, a czasem wystarczy mu esencja, czyli półstronicowe notatki, które sporządzamy. To całe teki spraw.

Z perspektywy tych 15 lat: mocno się zmieniła partia?

Trochę się zmieniła. Naturalnie jeśli chodzi o podstawy, aksjologię – tutaj specjalnych różnic nie ma, co najwyżej drobne korekty czy dostosowanie się do nowych okoliczności. Diagnoza i cele są jednak zasadniczo takie same. Konsekwencja i wiarygodność są zresztą jednymi z przyczyn naszego sukcesu. Ale gdy zajrzymy pod maskę tego silnika partii, to widać, że PiS dojrzało, wyewoluowało, okrzepło. Wiele rzeczy było na początku realizowanych jako pospolite ruszenie.

A dziś to korporacja?

Nie do końca może korporacja. Istotne jest przecież to, że działacze i pracownicy to osoby, które identyfikują się z ideami PiS. Zupełnie inaczej pracuje się, wierząc w to, co się robi, a inaczej, gdy ma się z tyłu głowy: byle do piątku, szesnasta i odpoczynek.

Mechanizmy działania są podobne?

Na pewno zmienił się sposób wypracowywania wielu decyzji – poprzedzonych analizą, badaniami – co pomaga w codziennym zarządzaniu i pracy.

Partia to jedno, a mocno zmienił się prezes przez te 15 lat?

Odkładając na bok kontekst katastrofy smoleńskiej, która była ogromną tragedią, to jeśli chodzi o polityczne funkcjonowanie Jarosława Kaczyńskiego, wiele się nie zmieniło. Choć znowu – mamy tu kilka perspektyw. Inaczej działa się w opozycji, inaczej w ramach obozu rządzącego. Nie zmienia się jedno: to ciężka praca, także osobista prezesa. Jeśli chodzi zaś o perspektywę propaństwową, ideową, to kurs Jarosława Kaczyńskiego jest stały od lat 90. Nowe są tylko narzędzia. Wie pan, te wszystkie opowieści, że prezes nie zna współczesności, można włożyć między bajki.

Narzędzia to jedno, a sposób działania? Od osób z otoczenia prezesa słychać, że często posłowie czy sympatycy PiS są bardziej „papiescy od papieża". Istnieje takie zjawisko?

Z pewnością bywały takie przypadki, że politycy, wiedzeni intuicją, podejmowali jakieś działania, czując, że takie są oczekiwania, a później okazywało się, po spojrzeniu na sprawę z różnych perspektyw, że ostateczne decyzje są inne.

Da się przekonać prezesa do zmiany zdania?

Prezes jest otwarty na dyskusję i argumenty. Choćby aktualny przykład

eprasa.pl 6f3e763147

– mamy kampanię, w ramach sztabu dyskutujemy nad różnymi pomysłami, rozwiązaniami, ale zwykle osiągamy konsens.

Wracam do tych zmian przez ostatnie 15 lat. Zmieniały się nazwiska wiceprezesów, przewodniczących, premierów. Jak to jest, że przez Nowogrodzką przewinęły się duże nazwiska, które miały realny wpływ, a później te osoby były odsuwane albo sami się odsuwały?

Nie chcę źle mówić o byłych kolegach partyjnych, ale zazwyczaj to mieszanka dużego politycznego ego, ambicji i deficytu umiejętności gry drużynowej. Były też przypadki, kiedy się okazywało, że pojawiał się rozdźwięk ideowy.

Może po prostu odchodzili, bo nie widzieli szans na wygraną. Był taki moment, gdy wydawało się – także w PiS – że system Tuska to układ domknięty, że jest szklany sufit.

Gdybyśmy się pozbyli nadziei, to nie pozostałoby nic innego, jak się pakować...

...albo urządzić w opozycyjnej partii na 20 proc. poparcia i żyć. To się da zrobić.

Coś w tym jest, bo przedłużanie mandatu w opozycji to dość wygodna i mało odpowiedzialna praca. Wracając do pytania – nie ma co kryć, że bywały lata, gdy było trudno. Na przykład po drugich wygranych przez PO wyborach, w roku 2011, część osób się podłamała. Zaczynało się szukanie alternatyw, morale spadało.

I co wtedy mówił prezes Kaczyński?

Że trzeba zacisnąć zęby i przeć do przodu. Nasza niezgoda na system PO-PSL, przypudrowany postkomunizm, była naprawdę realna. Chcieliśmy i chcemy zmieniać państwo na lepsze.

Zgoda, ale gdy jest się kolejny rok w opozycji, to nie wiem, czy myśli się o państwie, czy o tym, jak działa partia.

Jedno nie wyklucza drugiego. Były testowane różne konfiguracje i strategie, zmieniały się ekipy – mniej lub bardziej – wewnątrzpartyjne, zajmujące się przekazem i komunikacją, ale na poziomie politycznym wszyscy wiedzieli, po co tu jesteśmy. A na pewno zdecydowana większość.

To była strategia długiego marszu?

To na pewno nie był spacerek, ale ten czas to też możliwość przygotowania się. Nie skupialiśmy się wyłącznie na krytyce rządu czy piarowskich sztuczkach, ale także – a może przede wszystkim – na intelektualnej pracy programowej. Kongresy, konwencje, burze mózgów, spotkania na uczelniach: w zasadzie od roku 2008 można co roku wymieniać takie wydarzenia. Programowy ferment był cały czas obecny.

> Te wszystkie opowieści, że prezes Kaczyński nie zna współczesności, można włożyć między bajki

Zostawmy przeszłość. Prezes jest zadowolony z tych czterech lat dobrej zmiany? Nie za dużo jest pudrowania systemu Tuska?

Oczywiście dużo udało nam się zrobić i są wyniki. Zrealizowaliśmy sporo spraw, które wielu w Polsce uważało za niemożliwe, choćby programy społeczne, które na Zachodzie są oczywistością od wielu dekad. Usprawniliśmy zbieranie podatków, mamy wzrost gospodarczy etc. – to wszystko są kwestie, z których można być zadowolonym. Ciemniejsze strony? Oczywiście, że wszystkiego się nie da zrobić od razu. Mamy obszary, gdzie wyzwań jest jeszcze dużo, gdzie albo rządzi stare, albo gdzie wieloletnie, dekadowe zaniedbania nie dadzą się naprawić w cztery lata.

A odpowiedzialność PiS? Partia władzy zużywa się szybciej.

Każda partia rządząca w sposób naturalny zużywa się i ma skłonność do obrastania w tłuszczyk, jednak na całe szczęście to nie jest ta skala zjawiska, którą można oceniać jako niebezpieczną. Prezes mówił o tym w swoich wystąpieniach, powtarzał podczas wewnętrznych narad.

Jak odbierana jest krytyka?

PiS jak każda inna partia nie składa się z aniołów, ale z ludzi. Pytanie, czy pudruje się błędy, czy je naprawia. Jeśli chodzi o krytykę, to dobra krytyka nie jest zła. Działamy jednak w warunkach, w których opozycja sama nazwała się totalną, w związku z czym trudno tę krytykę czy ataki brać za dobrą monetę.

Kiedy zamieni pan biuro poselskie Jarosława Kaczyńskiego na własne?

Jeśli wyborcy tak zdecydują, to być może na jesieni. Będę kandydował do Sejmu z okręgu radomskiego.

Nie będzie żal opuścić Nowogrodzkiej?

Na pewno z punktu widzenia sentymentalnego czy – nazwijmy to – nostalgii towarzyskiej – tak. Ale Nowogrodzkiej się tak naprawdę nie opuszcza.

Wybicie się na samodzielność?

Jest to jakiś kolejny krok, bo jest tak, że w którymś momencie w rozwoju politycznym pojawia się pewnego rodzaju szklany sufit. Mandat parlamentarny jest potrzebny, by go przebić.

Młodsi od pana robią kariery ministerialne, podjeżdżają po nich limuzyny. Może pachnie panu taki świat?

Akurat limuzyny niespecjalnie. Chętnie korzystam z rowerów miejskich. [śmiech] Ale poważnie – każdy ma własną ścieżkę i tempo rozwoju. Widzieliśmy już trochę szybkich karier – nie zawsze było to z korzyścią dla samych zainteresowanych. Podchodzę do tego z dystansem.

Gdy Jarosław Kaczyński mówi na pikniku, że za cztery lata w jego miejscu będzie stał ktoś inny, to co pan sobie myśli? Dużo się zmieni przy Nowogrodzkiej?

To jedna z tych sytuacji, gdy ma się inne zdanie niż lider własnej formacji. Myślę, że to nie cztery lata, ale czas o wiele dłuższy.

eprasa.pl 6f3e763147

Dodatek krajoznawczy cz.1 / SIECI







Najpiękniejsze zamki w Polsce

PARTNERZY DODATKU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DEMART

eprasa.pl 6f3e763147



1. Zamek w Baranowie Sandomierskim s. 4
2. Zamek w Głogówku s. 4
3. Zamek w Bytowie s. 5
4. Zamek w Chęcinach s. 5
5. Zamek Czocha s. 5
6. Zamek w Lęborku s. 5
7. Zamek w Brzegu s. 6
8. Zamek Kórnicki s. 6
9. Zamek Golubski s. 7
10. Zamek w Gołuchowie s. 7
11. Zamek w Goraju s. 7
12. Zamek Kliczków s. 7
13. Zamek Królewski na Wawelu s. 8
14. Zamek Grodno s. 8
15. Zamek w Krasiczynie s. 9
16. Zamek Grodziec s. 9
17. Zamek w Wiśniczu s. 9
18. Zamek Krzyżacki w Malborku s. 10
19. Zamek Książ s. 10
20. Zamek w Łęczycy s. 11
21. Zamek w Mosznej s. 11
22. Zamek w Nidzicy s. 11
23. Zamek w Łańcucie s. 12
24. Zamek Książąt Pomorskich w Słupsku s. 12
25. Zamek w Szydłowcu s. 13
26. Zamek w Tykocinie s. 13
27. Zamek Pieskowa Skała s. 13
28. Zamek w Niedzicy s. 14
29. Zamek Ogrodzieniec s. 14
30. Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie s. 15
31. Zamek w Sztumie s. 15
32. Zamek Krzyżtopór s. 15
33. Zamek w Rydzynie s. 16
34. Zamek w Sandomierzu s. 16
35. Zamek w Uniejowie s. 17
36. Zamek w Świdwinie s. 17
37. Zamek Bierzgłowski s. 17
38. Zamek Królewski w Warszawie s. 18
39. Zamek Bobolice s. 18

Materiały powstały na podstawie tekstów z serii przewodników „Polska niezwykła" oraz portalu turystycznego Polskaniezwykla.pl. Autorami koncepcji serii przewodników oraz głównymi autorami tekstów są Ewa Lodzińska i Waldemar Wieczorek. Pozostali autorzy przewodników są wskazani w odpowiednich stopkach redakcyjnych. Informacje o internautach publikujących w portalu są zamieszczone w serwisie Polskaniezwykla.pl. Jeśli autor nie jest tam wskazany, to znaczy, że jego tekst ukazał się pierwotnie w papierowym przewodniku.

eprasa.pl 6f3e763147

Mamy zamki, z których możemy być dumni

Zamki mają swoje szczególne miejsce w historii Polski. Były siedzibą władców, miejscem, gdzie zapadały kluczowe decyzje o przyszłości kraju, podpisywano pokoje i zawierano sojusze. To tam rodziła się kultura dworska, a zamkowe mury gościły często artystów z całej Europy. Zamki zapewniały także bezpieczeństwo, dawały schronienie, stały na straży niepodległości broniąc jej dzielnie przed najeźdźcami. Były także czynnikiem postępu gospodarczego, niosły rozwój cywilizacyjny kraju

Polska nazwa *zamek* pojawiła się w połowie XIV w. i pochodzi od *zamykania* drogi, *zamknięcia*. Na okres ten przypada również silny rozwój budowy zamków na ziemiach polskich, zwłaszcza dzięki inicjatywom podejmowanym przez władców Polski, w szczególności króla Kazimierza Wielkiego. Szacuje się, że z jego inicjatywy w ciągu 37 lat wybudowano kilkadziesiąt zamków, o czym w swoich przekazach wspominali kronikarze Janko z Czarnkowa i Jan Długosz.

Czasy nowożytne także pozostawiły swój ślad w tych majestatycznych budowlach. Przebudowy i remonty zgodnie z obowiązującymi nurtami zmieniły surowe oblicze zamków, dodały blasku, nadając im przy tym rezydencjonalnego charakteru. Z biegiem lat funkcje obronne straciły racje bytu wobec potrzeb czasów współczesnych. Dziś część z nich to placówki muzealne, często jedne z najatrakcyjniejszych w regionie. Stanowią one istotny czynnik turystyki kulturowej, o czym świadczą liczby odwiedzających corocznie zamek na Wawelu, w Warszawie czy w Malborku. Niektóre spośród nich zostały zagospodarowane na potrzeby turystyczno-hotelarskie. Niesłabnącą popularnością cieszą się inscenizacje historyczne, konkursy krasomówcze, turnieje rycerskie. Romantyczna, a jednocześnie pełna tajemnic sceneria wciąż przyciąga filmowców i fotografów.

Temat zamków silnie zakorzeniony jest także w naszej kulturze. Fascynował pisarzy i poetów, szczególnie w okresie romantyzmu, gdzie stare budowle lub ich ruiny stanowiły miejsce akcji powieści, legend i opowiadań. Są one magicznym tłem wielu legend: któż nie słyszał o Białej Damie z Zamku w Kórniku, podziemiach zamku Krzyżtopór czy diable Borucie na Łęczycy.



Prof. Piotr Gliński

Wiceprezes Rady Ministrów, Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Zamki to także symbole siły i państwowości – zarówno niegdyś, jak i współcześnie. Odbudowa Starego Miasta w Warszawie została ostatecznie zakończona dopiero po symbolicznym umieszczeniu kopuły na wieży Zamku Królewskiego w Warszawie, w którego murach w okresie II RP mieściła się siedziba władz nowo odrodzonego państwa.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wspiera zamki finansowo poprzez jeden ze swoich programów Ochrona Zabytków. W latach 2016–2018 na konserwację i rewaloryzację zamków przeznaczyliśmy ponad 8,6 mln zł. Tylko w tym roku dotacje wyniosły 1,8 mln zł, dzięki czemu rozpoczęły się prace przy zamku w Baranowie Sandomierskim, Krasiczynie, Książu, Łańcucie, Nowym Wiśniczu, Rydzynie oraz Grodźcu. Dodatkowo, w ramach środków europejskich, dofinansowaliśmy prace remontowo-konserwatorskie na łączną kwotę ponad 110 mln zł! Dzięki temu Zamek Królewski w Warszawie odtworzył wyjątkowe ogrody, a Muzeum – Zamek w Łańcucie przeprowadziło największy remont w historii.

Przez ostatnie kilka lat wprowadziliśmy wiele pozytywnych zmian w systemie ochrony dziedzictwa kultury, co ma swoje odzwierciedlenie choćby w liczbie Pomników Historii; aktualnie jest już ich ponad 100. Tym bardziej cieszy powiększająca się lista zamków, które objęto tym statusem. Obecnie takich obiektów uznanych za Pomniki Historii jest już 16, a 3 z nich znajdują się na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

Zachęcam Państwa do zapoznania się z prezentowanym dodatkiem krajoznawczym. Mam nadzieję, że okaże się on skrzynią pełną wakacyjnych inspiracji, a część z Państwa wraz z rodzinami zamieni budowę zamków z piasków na odwiedzenie tych prawdziwych. ●

Fot. Arkadiusz Markowicz

eprasa.pl 6f3e763147

Baranów Sandomierski



Noclegi w zabytkowych dworach, pałacach i zamkach stały się ostatnio jedną z atrakcji turystycznych. Renesansowo-barokowy zamek w Baranowie Sandomierskim, dzieło wybitnego architekta Santi Gucciego, dopieszczone pod koniec XVII w. przez równie wybitnego Tylmana z Gameren, był bodaj jednym z pierwszych obiektów w Polsce oferujących nocleg w pomieszczeniach, które niegdyś zamieszkiwali książęta, biskupi, a nawet królowie (ponoć gościli tutaj Stefan Batory i Ignacy Krasicki). Można tu spędzić noc w pokojach zamkowych lub hotelowych (w nowym obiekcie wybudowanym na fundamentach dawnego budynku dla służby). W stylowych salach budowli, pod czujnym okiem groźnie spoglądających z portretów dawnych jej właścicieli: Leszczyńskich, Lubomirskich, Potockich i Krasickich, organizowane są dziś szkolenia i konferencje dla firm, a także wesela, studniówki oraz imprezy okolicznościowe. Turystów chcących zwiedzić wspaniałe pomieszczenia zaprasza od wtorku do niedzieli w godz. 9.00–16.00 (w sezonie do 17.00 lub 19.00) Muzeum Wnętrz. Przewodnik poprowadzi chętnych przez salę portretową, Galerię Tylmanowską, salony gościnne i basztę Falconiego. W przyziemiu zorganizowano wystawę „Skarby ziemi" poświęconą przede wszystkim górnictwu i przetwórstwu siarki. Zaaranżowano tu m.in. fragment wyrobiska dawnej kopalni odkrywkowej Machów oraz widok otworowej kopalni siarki Jeziórko. (W latach 1968–1997 gospodarzem rezydencji były Sandomierskie Kopalnie i Zakłady Przetwórcze Siarki „Siarkopol"). Latem, w każdy czwartek w godz. 18.00–22.00 odbywają się biesiady zamkowe z pokazami tańców dawnych i pojedynków rycerskich oraz degustacją potraw kuchni staropolskiej. Specjalnością tutejszej restauracji są hopki lasowiackie – gołąbki nadziewane kaszą i grzybami w sosie śmietanowo-porowym. Zespół zamkowo-parkowy w Baranowie Sandomierskim to miejsce piękne i z klimatem. Przy odrobinie wyobraźni także dziś można zobaczyć spacerujących zamkowymi krużgankami czy alejkami parkowymi dawnych wytwornych mieszkańców baranowskiej rezydencji...

Dzięki przyznanej w tym roku przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego dotacji, niebawem rozpoczną się w zamku prace konserwatorsko-budowlane przy kolumnach skrzydła południowego. ●

Zamek w Baranowie Sandomierskim
ul. Zamkowa 22, 39-450 Baranów Sandomierski
tel. +48 15 811 80 39 wew. 421
e-mail: muzeum@baranow.com.pl
www.baranow.com.pl

Fot. Jerzy Strzelecki/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Rezydencja godna króla

W 1571 r. Jan Oppersdorff na miejscu XIII-wiecznego zamku w Głogówku postawił renesansową rezydencję, rozbudowaną jeszcze w latach 1584–1587 i 1618–1647. W 1655 r. stała się ona tymczasową siedzibą króla Jana Kazimierza, który schronił się tu przed najazdem szwedzkim. Król przebywał w Głogówku ponad dwa miesiące, zatem przez ten czas miasto było tymczasową stolicą Polski. Dziś w części pomieszczeń zamkowych działa Muzeum Regionalne. Przy ul. Zamkowej, między rezydencją Oppersdorffów a rynkiem znajduje się unikalna replika Grobu Pańskiego. Obiekt ma postać kaplicy. Ufundował ją w 1634 r. Jan Jerzy III Oppersdorff. Wnętrze podzielono na dwie części. Na posadzce pośrodku przedsionka umieszczono blok skalny przywieziony z Jerozolimy. Znajdują się tu także narzędzia Męki Pańskiej i zbiór małych krzyżyków pozostawionych przez pielgrzymujących. W grobowej wnęce leży rzeźba Chrystusa w Grobie przykryta białym płótnem. Realistycznie oddane przez barokowego twórcę oblicze Chrystusa potęguje wrażenie obcowania ze zmarłym.



Widoczne są już efekty remontu zamku w Głogówku. W ostatnich latach na realizowane tam etapami prace wydano kilka milionów złotych. Obecnie trwają prace remontowe mające m.in. wzmocnić konstrukcję obiektu, na które przeznaczono ponad 1,2 mln zł. Pieniądze te pochodzą głównie z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. ●

Zamek w Głogówku
ul. Zamkowa 23, 48-250 Głogówek, tel. +48 77 437 35 00

eprasa.pl 6f3e763147



Krzyżacka twierdza

Zaliczaną do 50 cudów Pomorza krzyżacką warownię w Bytowie zaczęto budować w 1390 r. Nowoczesny na owe czasy zamek pełnił funkcję strażnicy granicznej, siedziby administracji oraz zajazdu dla rycerstwa zachodnioeuropejskiego zmierzającego do Malborka. Krzyżacy zajmowali zamek do połowy XV w. W 1526 r. stał się letnią rezydencją książąt pomorskich. Podczas najazdu szwedzkiego został w 1656 r. wysadzony w powietrze i już nie odzyskał dawnej świetności. Częściowo odbudowany był siedzibą urzędów, sądów, mieszkaniem urzędników, a nawet więzieniem. W czasach hitlerowskich planowano urządzenie tu ośrodka szkoleniowego, ale prace budowlane przerwał wybuch wojny. Dopiero w latach 60. XX w. rozpoczęto ratowanie zabytku. Dziś w kompleksie zamkowym mieszczą się biblioteki, hotel z restauracją oraz etnograficzne Muzeum Zachodniokaszubskie. W lipcu odbywa się tu Wielki Turniej Gryfa Pomorskiego. Zmagania rycerzy organizuje Bractwo Rycerzy Zamku Bytowskiego. ●

Muzeum Zachodniokaszubskie, ul. Zamkowa 2, 77-100 Bytów
tel. +48 59 822 26 23, sekretariat@muzeumbytow.pl, www.muzeumbytow.pl

Fot. UMiG Bytów/Polskaniezwykła.pl; shutterstock

Zamek w Chęcinach

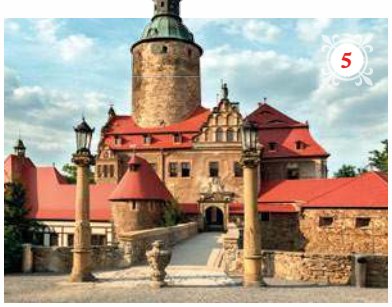


Zamek chęciński zbudowano w końcu XIII w. Szybko doceniono jego walory obronno-strategiczne, położenie na skalnej grani i z dala od granic państwa. Zaczął pełnić funkcje królewskiego, a więc państwowego, skarbca i więzienia. Można powiedzieć, że był też rezydencją królewskich żon. Mieszkały tu: żona Kazimierza Wielkiego Adelajda, jego siostra i zarazem królowa Węgier Elżbieta, żona Władysława Jagiełły Sonka oraz słynna Bona. Forteca przetrwała czasy Piastów i Jagiellonów. Zrujnowali ją dopiero Szwedzi – raz w czasie potopu, a potem podczas wojny północnej na początku XVIII w. Od kwietnia do listopada w godz. 9.00–17.00 turystów oprowadzają przewodnicy. Żeby tu zajrzeć poza sezonem, trzeba się zgłosić do strażników pilnujących zabytku. Z tarasu widokowego na szczycie wschodniej wieży wspaniale widać leżące w dole Chęciny, siostrzaną Górę Zelejową, kamieniołomy pod Sitkówką-Nowinami oraz sąsiednie pasma Gór Świętokrzyskich. ●

Zamek Królewski w Chęcinach, ul. Małogoska 7, 26-060 Chęciny
tel. +48 41 308 00 48, biuro@zamek.checiny.pl, www.zamek.checiny.pl

Fot. Shutterstock

Zamek Czocha



Zamek Czocha z pierwszej połowy XIII w., położony nad Jeziorem Leśniańskim, jest jednym z piękniejszych zamków w Polsce. W 1909 r. znalazł się w rękach drezdeńskiego bankiera Ernsta von Gütschowa. Na jego zlecenie dokonano rekonstrukcji, nadając obiektowi charakter romantycznej siedziby. Pełno tu elementów odpowiadających wyobrażeniom o wyglądzie „prawdziwej średniowiecznej warowni". Mury wieńczą kryte galerie, a na dziedzińcu straszy otchłań studni „niewiernych żon". W 1952 r. zamek przejęło wojsko, adaptując go na ośrodek wypoczynkowy. Obecnie obiekt jest otwarty, można tu urządzić wesele lub przenocować w Komnacie Książęcej z efektownym łożem z zapadnią do usuwania niewygodnych kochanków. W salach zamku nakręcono słynny przed laty film komediowy „Gdzie jest generał?". ●

Zamek Czocha, Sucha, 59-820 Leśna,
tel. +48 75 721 15 53, zamekczocha@rewita.pl, www.zamekczocha.com

Fot. shutterstock; Slar/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Krzyżacki relikt



Początki dziejów Lęborka nieodłącznie wiążą się z Krzyżakami. Ziemię lęborską zdobyli oni najpierw mieczem, a później szukali dyplomatycznego sposobu zalegalizowania grabieży. Dzięki sile militarnej i pieniądzom Krzyżacy władali Lęborkiem do 1454 r. Przywilej lokacyjny dla miasta wystawił wielki mistrz Dietrich von Altenburg w 1341 r. Dość szybko przystąpiono do budowy zamku. Powstał on na planie czworokąta. Przez środek założenia zamkowego przepływała rzeka. Siedziba krzyżackiego wójta była wielokrotnie burzona i odbudowywana. Ostatnia przebudowa miała miejsce w 1935 r. Do dziś zachowało się skrzydło mieszkalne zamku, w którym mieszczą się sąd i prokuratura. Klimatu średniowiecznej budowli nie zdołały zniszczyć wielokrotne przebudowy. Istnieją jeszcze fragmenty gotyckich ścian, strzelnic w miejscu niegdysiejszego ganku obronnego oraz wspaniałych sklepionych piwnic pod wschodnią częścią budowli. Masywne mury przeglądające się w nurtach Łeby robią imponujące wrażenie. ●

Zamek w Lęborku, Podzamcze 2, 84-351 Lębork

Fot. Jerzy Strzelecki/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

eprasa.pl 6f3e763147



Zamek Piastów Śląskich

POMNIK HISTORII

Najważniejszy zabytek Brzegu to bez wątpienia zamek książąt legnicko-brzeskich. Warto go zobaczyć, ponieważ jest zaliczany do najwspanialszych rezydencji doby renesansu nie tylko Śląska, lecz całej Polski. Zwiedzających wita wspaniała brama wjazdowa o niesłychanie bogatej dekoracji rzeźbiarskiej, z kamiennymi postaciami fundatorów, popiersiami 12 władców Polski i 12 piastowskich książąt śląskich. Dzieło wytrzymuje porównanie z kaplicą Zygmuntowską na Wawelu. Podobnie „wawelski" charakter ma zamkowy dziedziniec otoczony krużgankami. Obecną formę zamek w Brzegu zawdzięcza fundatorom: księciu Fryderykowi II i jego synowi Jerzemu II. W latach 1532–1560 zlecili oni gruntowną przebudowę wcześniejszej średniowiecznej budowli Włochom: Jakubowi i Franciszkowi Parrom oraz Bernardowi Niuronowi. Część zamkowych sal zajmuje Muzeum Piastów Śląskich. Szczyci się ono posiadaniem największego w Europie zespołu nagrobków przedstawicieli jednej dynastii. W piwnicach zamkowych urządzono wystawę kopii książęcych sarkofagów. W jednym z pomieszczeń wśród nagrobków znajduje się kamienny posąg psa – ulubieńca księcia Jerzego II (1532–1586). Wierne zwierzę zginęło, kiedy, witając pana, zeskoczyło z piętra krużganków. Wykonana na polecenie Jerzego II rzeźba ozdobiła dziedziniec brzeskiego zamku. Potem ustawiono ją w jednej z podoleśnickich rezydencji, a następnie w parku Zdrojowym w Szczawnie-Zdroju. W latach 80. XX w. oryginalny XVI-wieczny wizerunek książęcego ulubieńca powrócił do Brzegu. Psia wierność i oddanie zostały po kilku stuleciach wyjątkowo wyróżnione. Mastyf księcia Jerzego jako jedyny w Polsce został upamiętniony dwoma pomnikami. Kopię figury z Brzegu mogą w czasie spacerów oglądać kuracjusze w Szczawnie-Zdroju.

Zamek Piastów w Brzegu, uczestnicząc w akcji Muzeum za Złotówkę, umożliwia korzystanie z instytucji kultury za symboliczną opłatą. Dzięki biletom dla dzieci i młodzieży za 1 zł nauka historii oraz kontakt ze sztuką stają się łatwiejsze. Projekty inicjowane i współorganizowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego sprawiają, że instytucje i wydarzenia kulturalne są coraz bardziej dostępne. Brzeg – zamek Piastów śląskich z renesansową bramą i kaplicą zamkową pw. św. Jadwigi – nekropolią Piastów został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 10 grudnia 2018 r. ●

Zamek Piastów Śląskich w Brzegu
pl. Zamkowy 1, 49-300 Brzeg, tel. +48 77 416 32 57
e-mail: kasa@zamek.brzeg.pl, www.zamek.brzeg.pl

Fot. Jerzy Strzelecki/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Zamek Białej Damy

POMNIK HISTORII

Współczesna forma kórnickiego zamku to jeden z najlepszych w Polsce przykładów romantycznej architektury neogotyckiej, w rzeczywistości jednak jego początki sięgają XV w., kiedy wzniesiono w tym miejscu pierwszą murowaną warownię, siedzibę możnego rodu Górków. Po Górkach właścicielami Kórnika byli krótko Czarnkowscy, potem Grudzińscy, a od 1676 r. Działyńscy. W 2. poł. XVIII w. panią na zamku była Teofila z Działyńskich Szołdrska-Potulicka, zwana Białą Damą, o której krążą liczne opowieści. Za jej przyczyną zamek został przebudowany na wygodną barokową rezydencję, choć zachowano przy nim istniejący do dzisiaj relikt średniowiecznej twierdzy w postaci szerokiej, wypełnionej wodą fosy. W XIX w. zamek został jeszcze raz gruntownie przebudowany w duchu neogotyku angielskiego według projektu słynnego niemieckiego architekta Karola Fryderyka Schinkla, któremu ostateczny kształt nadał ówczesny właściciel Kórnika – hrabia Tytus Działyński (zm. 1861). Spadkobiercą Działyńskich po kądzieli był hrabia Władysław Zamojski (zm. 1924), który pod koniec życia cały swój ogromny majątek ziemski przekazał państwu polskiemu pod postacią fundacji Zakłady Kórnickie. Obecnie wspaniałe wnętrza zamku kórnickiego, wypełnione zabytkowymi sprzętami i pamiątkami po rodzie Działyńskich, są częściowo udostępnione do zwiedzania. Najbardziej okazale prezentuje się ogromna Sala Mauretańska na piętrze, przypominająca swoim wystrojem pałac emirów Grenady w Alhambrze. Wśród zgromadzonych w niej eksponatów uwagę zwracają liczne okazy rozmaitej broni, w tym zbroje i oryginalne kopie husarskie (jedne z nielicznych zachowanych), oraz portrety polskich hetmanów. Wokół zamku rozciąga się ogromny zabytkowy park w stylu angielskim, który już przez Działyńskich traktowany był także jako arboretum, czyli ogród naukowo-badawczy. Zajmuje on obecnie powierzchnię ok. 50 ha, na której zgromadzono ok. 3,5 tys. gatunków drzew i krzewów. Wnętrza zamku w Kórniku od maja do końca września można zwiedzać od wtorku do niedzieli w godz. 10.00–17.00. Po sezonie w godz. 10.00–16.00. Od połowy grudnia do połowy stycznia zamek jest zamknięty dla turystów. Kórnik – zespół zamkowo-parkowy wraz z kościołem parafialnym – nekropolią właścicieli został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 15 czerwca 2011 r. ●



Zamek Kórnicki, ul. Zamkowa 5, 62-035 Kórnik, tel. +48 531 990 142
e-mail: rezerwacja@bk.pan.pl, www.bkpan.poznan.pl/muzeumzamek/

Fot. marekpic/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl 6f3e763147



Na spotkanie z duchami i rycerzami

Jeśli wierzyć legendom, po golubskim zamku snują się tłumy duchów. Są wśród nich: krzyżacki komtur, Anna Wazówna, zakochany zakonnik i piękna golubianka, nie wspominając o duchach torturowanych w zamkowej katowni. Zamek wznieśli Krzyżacy w latach 1296–1306. Obecny, renesansowy kształt nadała mu Anna Wazówna – siostra króla Zygmunta III, w latach 1616–1623 gruntownie przebudowując gotycką warownię. Dziś znajdują się tu Muzeum Regionalne, hotel turystyczny i hotel o podwyższonym standardzie, a w zamkowych piwnicach – kawiarnia Rycerska. W całej Polsce golubski zamek słynie z lipcowych Międzynarodowych Turniejów Rycerskich i Sylwestrowych Balów Sław. Przy zamku działa Szkoła Rycerska – ośrodek jeździecki organizujący letnie obozy rycerskie. Bilet wstępu na dziedziniec uprawnia także do zwiedzenia niektórych pomieszczeń, będących w gestii Muzeum Regionalnego. Radzimy omijać zamkowe końskie schody – ponoć kto po nich przejdzie pieszo, zarży jak koń w najmniej odpowiednim momencie. ●

Zamek Golubski

ul. PTTK 13, 87-400 Golub-Dobrzyń, tel. +48 56 683 24 55
e-mail: zamek@zamekgolub.pl, www.zamekgolub.pl

fot. Adam Kumiszcza /Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Zamek wśród wzgórz



Goraj i okoliczne dobra od 1865 r. należały do pszczyńskiej gałęzi rodu Hochbergów. Książę Wilhelm Bolko von Hochberg w latach 1910–1913 wzniósł w Goraju piękny neorenesansowy pałac wzorowany na zamku Varenholz w Westfalii. W zamku do dziś zachował się częściowo dawny wystrój. Obecnie ma tu siedzibę Zespół Szkół Leśnych. Niezwykłą wizytówką szkoły jest Zespół Trębaczy Myśliwskich, który czasem koncertuje przed zamkiem. W 2007 r. podczas ogólnopolskiego festiwalu pobito tu rekord Polski w grze na rogach myśliwskich – jednocześnie dęło w nie blisko 500 sygnalistów. Warto odbyć spacer po okolicy. W odległości 600 m na wschód od zamku znajduje się kamień upamiętniający miejsce pochówku Wilhelma Bolka Emanuela von Hochberga (1886–1934), bardzo związanego z dobrami gorajskimi. Książę spoczął w miejscu, gdzie spędzał wiele czasu za życia i z którego widać było teren Niemiec (w okresie międzywojennym granica państwowa przebiegała na odległej o 1 km Noteci). ●

Zamek w Goraju, Goraj-Zamek 5, 23-450 Goraj

Fot. Zbigniew Domagalski

Francuski zamek

Zamki nad Loarą zachwycają ludzi z całego świata. Ale wystarczy pojechać do Gołuchowa, by doznać podobnych wrażeń. Tutejszy XVI-wieczny zamek Leszczyńskich, z inicjatywy Izabeli z Czartoryskich Działyńskiej został przekształcony w 2. poł. XIX w. w rezydencję wzorowaną na renesansowych zamkach francuskich. Aby nadać budowli charakter najbardziej zbliżony do realiów epoki, do jej dekoracji użyto oryginalnych renesansowych kominków, obramień okiennych i innych detali kupowanych przez Izabelę Działyńską w europejskich antykwariatach. Jej zamysłem była idealna rekonstrukcja siedziby Leszczyńskich z przełomu XVI i XVII w., z oryginalnymi obrazami, rzeźbami i tkaninami. Co ciekawe, tę kosztowną przebudowę rozpoczęto z zamiarem przeznaczenia zamku na muzeum, a do celów mieszkalnych Działyńscy adaptowali starą gorzelnię, przebudowując ją na zgrabny pałacyk. Zamek otoczony jest parkiem o powierzchni 160 ha, przekształconym w trakcie przebudowy zamku we wspaniałe arboretum z tysiącem gatunków drzew i krzewów, które warto zobaczyć. W zamku mieści się dziś oddział Muzeum Narodowego w Poznaniu, a w pałacyku Działyńskich ma siedzibę Muzeum Leśnictwa. ●



Muzeum Zamek w Gołuchowie

63-322 Gołuchów, tel. +48 62 761 50 94, e-mail: goluchow.info@mnp.art.pl
www.mnp.art.pl/muzeum/oddzialy/muzeum-zamek-w-goluchowie

Fot. gorofi/Polskaniezwykla.pl

Jak nad Loarą



Nad Kwisą pośród Borów Dolnośląskich stoi renesansowy XVI-wieczny zamek, przekształcony z warowni księcia świdnicko-jaworskiego Bolka I Surowego. Przebudowany w XIX w. w duchu romantycznym na neogotycką rezydencję, przypomina swoją architekturą i nastrojem miejsca francuskie zamki znad Loary. W otoczeniu znajduje się rozległy romantyczny park z częściowo zachowanym cmentarzem zwierzęcych pupili książąt zu Solms-Baruth, właścicieli Kliczkowa do 1944 r. Ocalały dwa końskie nagrobki, niestety bardzo uszkodzone. Obecnie w zamku mieści się luksusowy ośrodek konferencyjno-wypoczynkowy. ●

Zamek Kliczków

Kliczków 8, 59-724 Osiecznica, tel. +48 75 734 07 00
e-mail: recepcja@kliczkow.com.pl, www.kliczkow.com.pl

Fot. Archiwum Integer SA

eprasa.pl 6f3e763147



Zamek Królewski na Wawelu

Zamek Królewski – renesansowy z elementami gotyckimi – powstał w trakcie gruntownej rozbudowy budowli z XIV w., prowadzonej etapami na zlecenie Zygmunta I Starego: skrzydło zachodnie 1502–1507, skrzydło północne – 1507–1516, skrzydło wschodnie – 1524–1529, skrzydła południowe i bramne – 1530–1536. Po pożarze został przebudowany w latach 1599–1603. W 1609 r. król Zygmunt III Waza przeniósł ostatecznie stolicę z Krakowa do Warszawy – zamek opustoszał i zaczął niszczeć. Po trzecim rozbiorze Polski (1795) zamek przebudowano na koszary austriackie (od zachodu dobudowano szpital wojskowy, wykorzystując m.in. dawne kuchnie królewskie). Po odejściu wojsk austriackich (1905) przystąpiono do długotrwałej rekonstrukcji zamku. Tempo prac wzrosło po odzyskaniu niepodległości, a potem po 1945 r. Zamek jest budowlą dwupiętrową, pięcioskrzydłową, rozmieszczoną wokół nieregularnego dziedzińca krużgankowego (na trzeciej kondygnacji okapy podpierają wysokie, smukłe kolumny). Od wschodu znajduje się charakterystyczny ryzalit, tzw. Kurza Stopa, oraz wieże: od północnego zachodu – Sobieskiego, od północnego wschodu – Zygmunta III, od wschodu – Duńska i od południa – Senatorska. W zamku po licznych przebudowach zachowały się częściowo dawne dekoracje, np. renesansowe malowidła, słynny strop w sali poselskiej, barokowe sztukaterie. W podziemiach skrzydła zachodniego (kuchnie królewskie) zachowała się kaplica NMP, zwana też kaplicą świętych Feliksa i Adaukta – kamienna romańska rotunda (X/XI w.), jeden z najstarszych elementów zamku wawelskiego. Obecnie w zamku mieści się Muzeum – Państwowe Zbiory Sztuki na Wawelu. Do zwiedzania udostępniono m.in. prywatne apartamenty królewskie, sale reprezentacyjne, skarbiec, zbrojownię. Można obejrzeć wspaniałą kolekcję arrasów, wyroby złotnictwa, kolekcje porcelany i in. W ostatnich latach rezydencje królewskie zostały przywrócone do dawnej świetności m.in. dzięki środkom europejskim, pozyskanym przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Zamek Królewski na Wawelu otrzymał ze środków unijnych dotację w wysokości 25,2 mln zł przeznaczoną na projekt Wawel – Dziedzictwo dla Przyszłości. W ramach tego projektu zaplanowano m.in. uruchomienie nowej wystawy stałej, realizację prac konserwatorskich na Zamku, organizowane są ponadto lekcje muzealne. Zamek Królewski na Wawelu uczestniczy również w akcji Bezpłatny Listopad w Rezydencjach Królewskich. Kraków – historyczny zespół miasta został uznany za pomnik historii zarządzeniem prezydenta RP z 8 września 1994 r. ●

Zamek Królewski na Wawelu
Wawel 5, 31-001 Kraków, tel. +48 12 422 16 97
e-mail: bot@wawel.org.pl, www.wawel.krakow.pl

Fot. Arkadiusz Frankowicz/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Zamek Grodno



Zamek Grodno stoi na górze Choina w Zagórzu Śląskim. Pochodzi z XIII w. i należy do najlepiej zachowanych średniowiecznych zamków śląskich. Powstał jako jedno z ogniw systemu obronnego na południowej granicy księstwa świdnicko-jaworskiego. Początkowo znajdował się w rękach Piastów, potem Czechów, którzy w latach 1545–1588 przebudowali gotycki zamek w stylu renesansowym. Prace konserwatorskie podjęte w 1824 r. miały przystosować zamek na potrzeby ruchu turystycznego. Prowadzono je również w latach 1957–1958, kiedy umocniono wieżę, zabezpieczono mury i urządzono muzeum. Zespół zamkowy składa się z gotycko-renesansowego zamku górnego, wieży oraz zamku dolnego – najmłodszej części warowni. Zamek jest zbudowany z kamienia, a cegły użyto w późniejszych przybudówkach i renesansowych attykach. Wieża jest u dołu czworokątna, wyżej ośmioboczna. Górna część zamku jest w ruinie, a w ocalałych salach mieści się niewielkie muzeum Wałbrzyskiego Oddziału PTTK. Na szczególną uwagę zasługują renesansowe portale oraz sgraffitowe dekoracje budynku bramnego (1565). Kiedy zegar wskazuje północ, na zamkowej wieży ukazuje się biała dama. Zjawa powoli obchodzi mury i rzuca się w przepaść. Legenda głosi, że białą damą jest kasztelanka Małgorzata, która pokutuje za zamordowanie męża. Zamek leży na zielonym Szlaku Zamków Piastowskich. Zamek Grodno w 2017 r. otrzymał dotację na odtworzenie elementów części muru „zamku górnego". Celem realizowanych prac jest zabezpieczenie konstrukcji muru „zamku górnego", które uległy częściowemu zawaleniu. Przyznane przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowanie realizowane jest w ramach programu „Ochrona zabytków", którego celem jest zachowanie materialnego dziedzictwa kulturowego. ●

Zamek Grodno
Wzgórze Zamkowe, 58-321 Zagórze Śląskie, tel. +48 74 845 33 60
e-mail: biuro@zamekgrodno.pl, www.zamekgrodno.pl

Fot. Archiwum UG Walim/Poiskaniezwykla.pl

eprasa.pl 6f3e763147



15

Perła pogórza

Zamek w Krasiczynie to jedna z ciekawszych budowli renesansowych w Polsce. Jego ozdobą są ogromne sgraffitowe dekoracje na ścianach, m.in. z doskonale zachowanymi portretami królów i scenami myśliwskimi. Warto zobaczyć imponujący dziedziniec i cztery baszty: Boską, Papieską, Królewską i Szlachecką. W pierwszej mieści się kaplica, porównywana z kaplicą Zygmuntowską na Wawelu. Historia krasiczyńskiej warowni sięga XV w., choć obecny kształt uzyskała dwa wieki później dzięki rodzinie Krasickich. Spośród późniejszych właścicieli najlepiej znani są Sapiehowie. W ich rękach budowla pozostawała od 1835 r. do końca II wojny światowej. Wokół zamku sadzili oni lipy po narodzinach każdej córki, a dęby z okazji przyjścia na świat syna. Napisy na kamieniach umieszczonych przy pniach informują, które drzewa posadzono w takich okolicznościach. Krasiczyn leży blisko Przemyśla, dojeżdżają tu autobusy miejskie. Na terenie magnackiej posiadłości można przenocować – hotel działa w zabytkowej powozowni. Jest on także objęty programem ochrony zabytków przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W tym roku planowane są prace konserwatorsko-budowalne przy elewacjach, które objęte są dotacją resortu. Zespół zamkowo-parkowy w Krasiczynie został uznany za Pomnik Historii rozporządzeniem Prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 roku. ●

POMNIK HISTORII

Zespół Zamkowo-Parkowy w Krasiczynie
37-741 Krasiczyn 179, tel. +48 16 671 83 21 wew. 520
e-mail: hotel@krasiczyn.com.pl, www.krasiczyn.com.pl

Fot. Iwona Malicka (iwmal)/Polskaniezwykla.pl

Prawdziwy zamek

Najpierw był gród, potem murowany kasztel na szczycie stożka dawno wygasłego wulkanu. Przebudowany po 1470 r. stał się jedną z okazalszych śląskich rezydencji obronnych. Grodziec spełnia wszelkie warunki, by mówić o nim „zamek prawdziwy". Mieszkali tu książęta i rycerze rabusie, urządzano rycerskie turnieje, a w wojennej potrzebie stawano na murach, by odeprzeć napastników. W 1646 r. warownię wysadzono



16

i częściowo rozebrano. W XIX w. trwały prace przy rekonstrukcji obiektu. Od 1908 r. działały w nim muzeum oraz schronisko turystyczne. Spalony w czasie II wojny światowej przez Rosjan zamek odbudowano tylko częściowo. Działa tu jak dawniej schronisko turystyczne. Obiekt zwrócił też uwagę filmowców. W jego murach nakręcono kilka polskich filmów, a zagraniczne telewizje realizowały tu program „Królestwo" – rozgrywające się na żywo widowisko typu reality drama osadzone w średniowiecznych realiach. ●

Zamek Grodziec, Grodziec 111, 59-516 Zagrodno, tel. +48 76 751 50 35
e-mail: zamek@grodziec.net, www.grodziec.net

Fot. bartekkrakow/Polskaniezwykla.pl



17

Zamek, więzienie i Koryznówka

Zbudowany w XIV w. zamek Kmitów i Lubomirskich w Nowym Wiśniczu to jedna z największych zachowanych w Polsce rezydencji obronnych. Renesansowo-barokowy budynek na planie czworoboku ma cztery narożne baszty. Otaczają go fortyfikacje bastionowe wzniesione w XVII w. Legenda głosi, że budowali je jeńcy tureccy, pojmani w bitwie pod Chocimiem w 1621 r. przez ówczesnego właściciela zamku Stanisława Lubomirskiego. Podobno więzieni w jednej z baszt Turcy przez kilka lat konstruowali skrzydła z piór gołębi. W końcu czterech śmiałków zdecydowało się na lot. W miejscu ich tragicznej śmierci umieszczono kamienne obeliski. Nowy Wiśnicz może się jednak kojarzyć z ograniczeniem wolności jeszcze z innego powodu... Znajdujący się na wzgórzu nieopodal zamku dawny klasztor karmelitów bosych przekształcono w XVIII w. w działające do dziś więzienie. W Nowym Wiśniczu warto też zajrzeć do XIX-wiecznego dworku Koryznówka, gdzie mieści się Muzeum Pamiątek po Janie Matejce. W Wiśniczu mieszkała rodzina żony słynnego malarza, który często przyjeżdżał tutaj latem. W tym roku Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przyznało zamkowi dotację na remont pokrycia dachowego i remont konserwatorski wraz z częściowa rekonstrukcją muru bastionu wschodniego. Niebawem można się więc spodziewać rozpoczęcia prac. ●

Zamek w Wiśniczu
ul. Zamkowa 13, 32-720 Nowy Wiśnicz, tel. +48 14 612 83 41
e-mail: rezerwacja@zamekwisnicz.pl, www.zamekwisnicz.pl

Fot. Jerzy Strzelecki/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

eprasa.pl 6f3e763147

Zamek krzyżacki w Malborku

Budowę zamku malborskiego rozpoczęto w latach 80. XIII w. Pierwotnie składał się z zamku wysokiego – siedziby komtura i konwentu mnichów-rycerzy – oraz gospodarczego podzamcza. Kiedy w 1309 r. Malbork stał się siedzibą wielkiego mistrza, dotychczasowe podzamcze przebudowano na rezydencję zwierzchnika zakonu (tzw. zamek średni), a funkcje gospodarcze przeniesiono na nowe podzamcze (tzw. zamek niski).



Ostatni wielki mistrz krzyżacki opuścił warownię w 1457 r. Później była ona rezydencją królów polskich i królewskich starostów, a po I rozbiorze Polski została niemal całkowicie zniszczona przez władze pruskie, które przebudowały ją na koszary i magazyn. Dzisiejszy wygląd zamku to w dużej mierze efekt pracy kilku pokoleń niemieckich, a następnie polskich konserwatorów. Autentyczne pozostały główne mury obwodowe i część detali.

Z zabudowań zamku średniego najcenniejsze jest skrzydło zachodnie, mieszczące prywatne apartamenty wielkiego mistrza i reprezentacyjny wielki refektarz. W skrzydle wschodnim trzeba koniecznie zobaczyć wystawy stałe prezentujące zbiór militariów oraz unikatową kolekcję wyrobów z bursztynu.

Na zamku wysokim warto obejrzeć m.in. zrekonstruowane komnaty dostojników zakonnych ze sprzętami codziennego użytku, wspaniałą salę kapitularza oraz kaplicę św. Anny z płytami nagrobnymi wielkich mistrzów. Na Zamku Krzyżackim w Malborku organizowane są również zajęcia edukacyjne, m.in. lekcje muzealne, które przeznaczone są dla różnych grup wiekowych, a także grup o specjalnych potrzebach edukacyjnych. Lekcje muzealne przeznaczone są dla uczniów szkół podstawowych i średnich, a nawet grup przedszkolnych. Zajęcia odbywają się w formie kreatywnych warsztatów prowadzonych przez wykwalifikowanych, pełnych pasji muzealnych edukatorów. W 1997 r. zamek został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Malbork – Zespół Zamku Krzyżackiego został uznany za Pomnik Historii zarządzeniem prezydenta RP z 8 września 1994 r. ●

Muzeum Zamkowe w Malborku
ul. Starościńska 1, 82-200 Malbork
tel. +48 55 647 09 78
e-mail: rezerwacja@zamek.malbork.pl
www.zamek.malbork.pl

Fot. JPete/www.flickr.com

Książ – perła Śląska

Książ to jeden z największych zamków w Europie i trzeci pod względem wielkości w Polsce. Wzniesiony w latach 1288–1291, po licznych zmianach i przebudowach ma dziś ponad 400 pomieszczeń i jest niezwykłą mieszanką różnych stylów. Dwanaście tarasów (jakiż z nich widok!) zajmuje obszar ponad 12 ha. W parku stoją m.in. ruiny Starego Książa, który powstał w końcu XVIII w. jako romantyczna budowla udająca stare zamczysko. Zamek należał przez wieki do potężnego rodu Hochbergów. W 1941 r. rezydencję skonfiskowały władze III Rzeszy. Paramilitarna organizacja Todta zabrała się do przerabiania jej na kwaterę główną Hitlera. W 1945 r. reszty zniszczenia dokonali radzieccy żołnierze. Tylko nieliczne zamkowe wnętrza zachowały do dziś dawny wygląd, dlatego na terenie zamku prowadzone są systematyczne prace renowacyjne, aby przywrócić mu dawną świetność. W ostatnich latach przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego odbudowano etapami dach zamku i wyremontowano mauzoleum. Dzięki przeprowadzonym pracom konserwacyjnym można tu dziś podziwiać odrestaurowane freski F.A. Schefflera oraz podziemną kryptę, oryginalnie doświetloną przez 9 szklanych świetlików. Najlepsze lata zabytku przypominają wypielęgnowane tarasy ze strzyżonymi krzewami, kwietnymi rabatami i fontannami. W tym roku poddano renowacji trzy z nich: fontannę Flory wraz z rzeźbą, fontannę Trytonów i fontannę kaskadową. ●



Zamek Książ
ul. Piastów Śląskich 1, 58-306 Wałbrzych
tel. +48 74 664 38 34
e-mail: zwiedzanie@ksiaz.walbrzych.pl
www.ksiaz.walbrzych.pl

Fot. Iwona Malicka (iwmal)/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl 6f3e763147

Królewski zamek siedzibą diabła Boruty



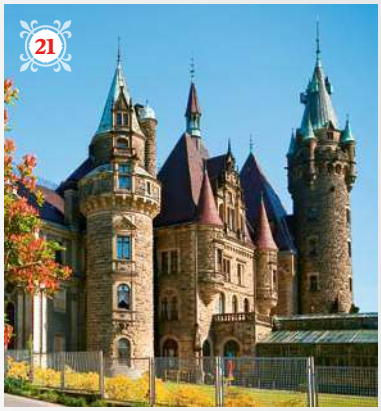
Zamek w Łęczycy, wzniesiony w XIV w. i rozbudowany w XVI w., po potopie szwedzkim stopniowo popadł w ruinę. Jego częściowej rekonstrukcji dokonano na przełomie lat 60. i 70. XX w., z przeznaczeniem na siedzibę muzeum. Zamek znany jest głównie jako siedziba diabła Boruty. Świadectwem pozycji, jaką cieszy się ten dawny słowiański demon w łęczyckiej warowni, jest największa w Polsce kolekcja ludowej rzeźby „diabelskiej", której część można oglądać na wystawie etnograficznej. W muzeum zamkowym znajdują się też działy archeologiczny i historyczny. Warto zwrócić uwagę na ogromny obraz olejny „Woły w zaprzęgu" pędzla Jana Styki, współautora słynnej „Panoramy racławickiej". W 1897 r. pod kierunkiem Styki powstało inne monumentalne dzieło – „Panorama siedmiogrodzka". Płótno wystawiano we Lwowie, Budapeszcie i Warszawie, po czym pocięto na kilkadziesiąt obrazów. Jego częścią są właśnie „Woły w zaprzęgu". Aby ochronić cenne zbiory łęczyckiego zamku, w ostatnim czasie dzięki środkom pozyskanym z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, zainstalowano nowoczesny system zabezpieczeń przeciwpożarowych i antywłamaniowych. ●

Muzeum-Zamek w Łęczycy, ul. Zamkowa 1, 99-100 Łęczyca
tel. +48 24 721 24 49, e-mail: info@muzeumleczyca.pl, www.muzeumleczyca.pl

Fot. Dariusz Krakowiak

Zamek z 99 wieżami

Z daleka zamek w Mosznej wygląda jak teatralna dekoracja. Zbudowany na przełomie XIX i XX w. przez pruskiego magnata kopalnianego i możnego ziemianina Huberta von Tiele-Wincklera nigdy nie pełnił funkcji obronnych. To wspaniała rezydencja pałacowa, zdaniem niektórych poziomem architektury graniczącą z kiczem. W zamku jest 365 pomieszczeń, a w jego sylwecie dominuje 99 wież i wieżyczek. Dziś działa tu placówka publicznego zakładu opieki zdrowotnej – Centrum Terapii Nerwic. Można zwiedzać wspaniałe wnętrza salonów: „białego" i „czarnego", jadalni oraz sali myśliwskiej. W palmiarni rosną egzotyczne, ciepłolubne rośliny. Wart spaceru jest piękny park ze starymi okazami azalii i rododendronów. Co roku w maju odbywa się też w Mosznej Muzyczny Festiwal Kwitnących Azalii. W stajniach von Tiele-Wincklerów od 1948 r. mieści się stadnina, w której hodowane są konie pełnej krwi angielskiej. Stadnina oferuje także naukę jazdy konnej oraz organizuje przejażdżki i zimowe kuligi. ●



Zamek w Mosznej, ul. Zamkowa 1, 47-370 Zielina, tel. +48 77 552 07 77
e-mail: recepcja@moszna-zamek.pl, www.moszna-zamek.pl

Fot. Jarosław Małkowski/bankfoto.pl

Zamek krzyżacki w Nidzicy

Gotycki zamek, ważna atrakcja turystyczna Nidzicy, powstał w latach 1381–1400. Przebudowano go w XIX w., a odbudowano ze zniszczeń w latach 1960–1965. Budowla z polnego kamienia i cegły wznosi się na rzucie prostokąta o wymiarach 62 x 44 m. Jest największym pokrzyżackim zamkiem rezydencyjno-obronnym na Mazurach. Zamek był siedzibą komturów, później urzędów miejskich (przed 1945 r. mieścił się w nim sąd obwodowy), wykorzystywano go również jako więzienie. Obecnie w zamku mieszczą się: Nidzicki Ośrodek Kultury, Miejsko-Gminna Biblioteka, trzygwiazdkowy hotel, restauracja, galeria malarstwa oraz pracownia rzeźby. W nidzickim zamku znajduje się także Muzeum Ziemi Nidzickiej. Pośród eksponatów zgromadzonych w kilku salach można znaleźć jedną z pierwszych drewnianych ręcznych pralek, a także poznać metody wznoszenia budowli na terenach podmokłych. Inną zamkową ciekawostką jest górna wielka sala zamkowa, która pełniła funkcję spichlerza. Jakże mądrzy byli średniowieczni budowniczowie, skoro bez skomplikowanych urządzeń mierniczych wiedzieli, ile zboża można nasypać na strop, aby ten się nie zarwał. Zboże leżało w ogromnej przewiewnej sali. Sala-spichlerz była otoczona podwójnym murem z wielkimi oknami usytuowanymi na przemian i korytarzem w środkowej części. Naprzemienne umiejscowienie okien chroniło zboże przed niekorzystnym wpływem opadów atmosferycznych czy przed pożarami rozniecanymi przez wystrzelenie zapalonych strzał. Nierzadko Krzyżacy wytrzymywali w swoich zamkach kilkumiesięczne oblężenia. Zamek warto zwiedzić z przewodnikiem. ●



Zamek w Nidzicy
ul. Zamkowa 2, 13-100 Nidzica
tel. +48 89 625 03 70, e-mail: zameknidzica@wp.pl

Fot. Iwona Malicka (iwmal)/Polskaniezwykła.pl

Nowocześni magnaci



Fot. Jerzy Strzelecki/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

Zamek w Łańcucie wznieśli w latach 1629–1641 ówcześni właściciele Lubomirscy. Była to nowoczesna rezydencja typu palazzo in fortezza, na którą składała się budowla z wieżami w narożach otoczona systemem fortyfikacji ziemnych. Wraz ze wzrostem znaczenia rodu Lubomirskich rosła też ranga łańcuckiej posiadłości. Dzięki przebudowie zainicjowanej przez księżnę Izabelę z Czartoryskich pod koniec XVIII w. gmach stał się wspaniałą magnacką rezydencją. Powstały wówczas m.in. ogród włoski i zwierzyniec, kupiono też wiele cennych obrazów i mebli. Po śmierci księżnej dobra odziedziczył jej wnuk Alfred Potocki. Do 1939 r. rezydencja była stolicą ordynacji łańcuckiej zarządzanej przez Potockich. W tym czasie pałac wyposażono m.in. w wodociągi, kanalizację i elektryczność. W parku założono ogród różany, palmiarnię i storczykarnię, wybudowano ujeżdżalnię, stajnię i kort tenisowy. W 1944 r., tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej do Łańcuta, ostatni ordynat Alfred III Potocki wywiózł do Wiednia najcenniejsze dzieła sztuki i pamiątki rodzinne. Zamek-pałac w Łańcucie to nadal jedna z najpiękniejszych i najlepiej zachowanych rezydencji w Polsce. Można tu podziwiać oryginalne wyposażenia wnętrz mieszkalnych i gospodarczych, a także największą w kraju kolekcję różnorodnych pojazdów konnych. Wielu wrażeń dostarcza spacer po ponad 30-hektarowym parku. Na terenie zespołu zamkowo-parkowego Muzeum Zamku w Łańcucie prowadzone są aktualnie prace remontowe Oranżerii i Ujeżdżalni. Oba obiekty zmienią swoją dotychczasową funkcję i przeznaczone będą głównie na cele edukacyjne. W przestrzeni ekspozycyjnej Oranżerii powstanie Centrum Edukacji Tradycji im. Jana Potockiego, którego głównym celem będzie ukazanie i promowanie wiedzy o kulturze, sztuce, tradycji staropolskiej i dawnym życiu codziennym polskiej arystokracji. Przygotowywane są również nowe przestrzenie ekspozycyjne. Projekt pod nazwą „Prace remontowo, konserwatorskie i budowlane Oranżerii oraz Ujeżdżalni w ramach przedsięwzięcia Ochrona i rozwój dziedzictwa kulturowego dawnej Ordynacji Łańcuckiej poprzez prace remontowo-konserwatorskie oraz wykreowanie nowych przestrzeni ekspozycyjnych" otrzymał dofinansowanie w wysokości ponad 22 mln zł ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Wartość inwestycji to prawie 32 mln zł. Realizacja projektu potrwa do końca 2020 r.

Muzeum-Zamek w Łańcucie po raz kolejny przyłączyło się również do projektu Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Kultura Dostępna", którego celem jest wspieranie zadań służących ułatwieniu dostępu do kultury, skierowanych do szerokiego grona odbiorców i sprzyjających integracji społecznej. Łańcut – zespół zamkowo-parkowy został uznany za pomnik historii rozporządzeniem prezydenta RP z 25 sierpnia 2005 r. ●

POMNIK HISTORII

Muzeum-Zamek w Łańcucie,
ul. Zamkowa 1, 37-100 Łańcut, tel. +48 17 225 20 08 do 10 w.154
e-mail: kasy@zamek-lancut.pl, www.zamek-lancut.pl

Renesansowy Zamek Książąt Pomorskich

Wybudowany został w 1507 r. za panowania najwybitniejszego władcy Pomorza Zachodniego – księcia Bogusława X. W latach 1580–1587 przebudowano zamek na dwupiętrowy budynek w stylu renesansowym, z dużymi oknami i ozdobioną hełmami wieżą. W drugiej połowie XVIII w. zamek przebudowano na koszary wojskowe. Po pożarze w 1815 r. obiekt ponownie przebudowano, likwidując wieże i wewnętrzne ściany. W 1821 r. urządzono tu magazyny zbożowe. W latach 1959–1965 zamek odbudowano po zniszczeniach wojennych, nadając mu dawną formę architektoniczną. Zamek w tym roku realizuje projekt przystosowania dwóch sal na potrzeby nowej ekspozycji stałej. Zaprezentowane zostaną na niej głównie wyroby rzemiosła i przemysłu artystycznego związane z szeroko rozumianą kulturą stołu: sztućce (w tym kolekcja sztućców specjalistycznych zakupiona w 2018 r., głównie ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego), naczynia, pojemniki do serwowania i przechowywania żywności oraz meble – łącznie ponad 1500 eksponatów z okresu od XVII do XX/XXI w. W salach tych od maja 1982 do października 2017 r. pokazywana była stała wystawa prac Witkacego; w 2018 r. oprawiano w nich pastele Witkacego przeznaczane na wystawę stałą w nowym budynku. ●



Opis: piotrek345/Polskaniezwykła.pl Fot. paris/Polskaniezwykła.pl

Zamek Książąt Pomorskich w Słupsku
Dominikańska 5-9, 76-200 Słupsk
tel. +48 59 842 40 81



Zamek Szydłowieckich i Radziwiłłów

Szydłowiecki zamek to jedna z najpiękniejszych wczesnorenesansowych rezydencji magnackich w Polsce. Została wzniesiona etapami przez właścicieli miasta, rodzinę Odrowążów (później Szydłowieckich). Należał do rodziny Szydłowieckich, następnie do Radziwiłłów. Według dokumentów już w 1427 r. istniał w miejscu obecnego zamku kamienny budynek dworu, należącego do Jakuba i Sławka Odrowążów. W wyniku wykopalisk archeologicznych zlokalizowano też resztki starszych konstrukcji drewnianych, datowanych na XIII w. Ze względów obronnych mury zamku wzniesiono na sztucznej wyspie w rozlewiskach rzeki Korzeniówki i otoczono fosą. Zamek powstawał etapami. Najstarszą część, tzw. dom zamkowy, czyli dzisiejsze północne skrzydło zamku, wybudował w połowie XV w. Stanisław Szydłowiecki. W następnym etapie powstała wieża bramna, połączona murem obwodowym z budynkiem mieszkalnym. Po śmierci Stanisława Szydłowieckiego zamek rozbudował w modnym wtedy stylu renesansowym jego syn Mikołaj Szydłowiecki. Dobudował on dzisiejsze skrzydło wschodnie z reprezentacyjnym wejściem. Skrzydło zachodnie, tuż obok wieży bramnej, wybudowała prawdopodobnie córka kanclerza wielkiego koronnego Krzysztofa Szydłowieckiego Elżbieta. Poprzez jej małżeństwo z Mikołajem Krzysztofem Radziwiłłem „Czarnym" zamek przeszedł w ręce bogatej rodziny Radziwiłłów. Współczesny wygląd zamku pochodzi właśnie z czasów „Hrabstwa Szydłowieckiego" Radziwiłłów. Po bezpotomnej śmierci ostatniego właściciela – Mikołaja Radziwiłła – zamek sprzedano Annie z Zamoyskich Sapieżynie. Ta z kolei w 1828 r. odsprzedała go razem ze wszystkimi dobrami szydłowieckimi rządowi Królestwa Polskiego. Zamek zamieszkany był do lat 40. XIX w. Uległ znacznej degradacji, kiedy trafił w ręce rodziny Engemanów, użytkujących go jako browar. W czasie II wojny światowej mieszkali w nim uchodźcy z ówczesnych terenów III Rzeszy (dzisiejsze Oborniki), następnie okupanci utworzyli tu getto dla ludności żydowskiej. W latach 60. XX w. przeprowadzono na terenie zabytkowego zamku gruntowne prace remontowe. Zamek jest znakomitym przykładem zastosowania miejscowego kamienia – piaskowca szydłowieckiego, z którego powstały nie tylko mury, lecz także wiele ozdobnych detali. Obecnie jest siedzibą Szydłowieckiego Centrum Kultury i Sportu oraz Muzeum Ludowych Instrumentów Muzycznych. ●

Szydłowieckie Centrum Kultury „Zamek"
ul. Józefa Longina Sowińskiego 2
26-500 Szydłowiec, tel. +48 48 617 10 29
e-mail: sekretariat@sckzamek.pl, www.sckzamek.pl

Fot. UM Szydłowiec/Polskaniezwykła.pl

Zamek w Tykocinie

W XVI w. tykociński zamek należał do najpotężniejszych w Polsce i mieścił główny arsenał Rzeczypospolitej. Zbudowany w połowie XV w. przez wojewodę Marcina Gasztołda i rozbudowany przez króla Zygmunta Augusta w latach 1550–1582 miał plan zbliżony do trapezu, dziedziniec oraz cztery cylindryczne baszty w narożach. W latach 1611–1632 został otoczony rozległymi, czworobocznymi fortyfikacjami bastionowymi o powierzchni ponad 6 ha. Podczas najazdu szwedzkiego zamek obsadziły wojska Radziwiłłów, które przez ponad dwa lata odpierały oblężenie wojsk Jana Pawła Sapiehy, aż do stycznia 1657 r., kiedy to wybuch prochu spowodował częściowe zniszczenie zamku. Po pożarze w 1734 r. zaczęto rozbiórkę zamku, dokończoną w czasie I wojny światowej przez wojska niemieckie. W 1965 r. na podstawie zachowanych fundamentów odtworzono jego przyziemie. Konserwator zabytków zatwierdził projekt autorstwa Agnieszki Dudy oparty na odnalezionych w archiwum w Petersburgu planach warowni. W trakcie budowy jej teren był nadzorowany przez archeologów. Odkryte znaleziska są eksponowane w zamkowym muzeum. Od 2011 r. zamek stał się kolejną atrakcją turystyczną miasta. Oprócz muzeum jest w nim restauracja i pokoje hotelowe. ●



Zamek w Tykocinie
ul. Puchalskiego 3, 16-080 Tykocin, tel. +48 85 718 73 72
e-mail: biuro@zamekwtykocinie.pl, www.zamekwtykocinie.pl

Fot. waa/Polskaniezwykła.pl

Pieskowa Skała



Zamek w Pieskowej Skale, pierwotnie gotycki, powstał na początku XVI w. Następnie został przebudowany w stylu renesansowym (w l. 1542–1544 i 1580) dla Stanisława Szafrańca. W 1640 r. rozbudowano go dla Zebrzydowskich. W l. 1780 i 1866–1870 (po zniszczeniach w czasie powstania styczniowego) był odbudowywany. W trakcie odbudowy powojennej (w l. 1948–1965) przywrócono mu renesansowy wygląd. Jest to jeden z najcenniejszych zabytków architektury renesansowej w Polsce. ●

Zamek Pieskowa Skała, 32-045 Sułoszowa
tel. +48 12 389 60 04 wew. 30, www.pieskowaskala.eu

Fot. zbyszekF60/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl 6f3e763147

Inkaska tajemnica – Zamek w Niedzicy

Przez długi czas niedzicki zamek wzniesiony w XIV w. przez rodzinę Berzeviczych strzegł polsko-węgierskiej granicy na Dunajcu. Jego największa tajemnica wiąże się z dalekim Peru. W połowie XVIII w. w poszukiwaniu majątku i przygód Sebastian Berzeviczy wyjechał do Ameryki Południowej, gdzie ożenił się z Indianką ze szlachetnego rodu. Ich córka Umina poślubiła bratanka przywódcy powstania Indian przeciwko hiszpańskim kolonizatorom. Kiedy rewolta została stłumiona, cała rodzina uciekła do Włoch, gdzie mąż Uminy zginął zasztyletowany. Sebastian Berzeviczy z córką i wnukiem przenieśli się do Niedzicy, jednak i tu odnaleźli ich mściwi Hiszpanie.



Umina została zamordowana, a schorowany Sebastian, w obecności indiańskich wodzów, przekazał wnuka Antonia do adopcji swemu bratankowi Wacławowi Beneszowi. W dokumencie adopcyjnym wspomniano o inkaskich skarbach zatopionych w andyjskim jeziorze Titicaca. Przez wiele pokoleń nikt nie interesował się historią skarbu, gdyż uważano, że wisi nad nim klątwa. Dopiero w 1946 r. Andrzej Benesz, praprawnuk Uminy, według planów zawartych w adopcyjnym pergaminie odnalazł w niedzickim zamku metalową tubę zawierającą kipu, czyli pęk rzemieni z węzełkami wykorzystywany przez Inków do przekazywania wiadomości. Niestety przekazu nie udało się odczytać. Sprawdziła się za to historia o klątwie – 30 lat po znalezieniu kipu Andrzej Benesz zginął w wypadku samochodowym... ●

Zamek w Niedzicy

ul. Zamkowa 2, 34-441, e-mail: shsniedzica@wp.pl, www.zamek-w-niedzicy.pl

Fot. Tadeusz Zabrzewski

Zamek Ogrodzieniec

Jest najpiękniejszym i największym zamkiem Jury Krakowsko-Częstochowskiej. Jego ruiny są jednym ze świetniejszych pomników wielkiej przeszłości Rzeczypospolitej. Gród wykorzystujący naturalne walory obronne formacji skalnej istniał tutaj co najmniej w XIII w., bowiem w 1241 r. został zdobyty przez Tatarów. W drugiej połowie XIV w. stanął na jego miejscu murowany zamek. W następnych latach był sukcesywnie powiększany. Najbardziej przysłużył się Ogrodzieńcowi Seweryn Boner, człowiek niezwykle bogaty i wpływowy: królewski bankier, burgrabia krakowski, kasztelan biecki i sądecki, starosta ojcowski, czchowski i rabsztyński, żupnik krakowski. Budowla stała się wówczas także wspaniałą renesansową rezydencją finansisty, w którego kieszeni często „siedzieli" król polski i cesarz niemiecki. Ogrodzieniec pod względem okazałości i przepychu bywał porównywany z królewskim Wawelem. Dzieło ojca kontynuował Stanisław Boner, a w połowie XVII w. prace na zamku prowadził także Andrzej Firlej, kasztelan lubelski. Ostatnim, który wpłynął na kształt warowni, był kasztelan krakowski Stanisław Warszycki – człowiek tak bogaty, że nawet posądzany o konszachty z diabłem. Ponoć do dziś strzeże wielkiego skarbu ukrytego w podziemiach, pojawiając się w księżycowe noce pod postacią złego ducha – czarnego psa ciągnącego trzymetrowy łańcuch. Dostojne ruiny można zwiedzać przez cały rok (w godz. 9.00–20.00 latem, do 15.00 zimą). W trakcie spaceru ogląda się



muzeum zamkowe i salę tortur w Katowni Warszyckiego. Warto także wstąpić do Karczmy Rycerskiej. Dla osób żądnych mocnych wrażeń są organizowane „Wieczory z duchami", czyli nocne zwiedzanie zamku zamieszkanego przez duchy i upiory. Od lat odbywają się tutaj Międzynarodowe Festiwale Studenckich Zespołów Folklorystycznych. Pod koniec maja Ogrodzieniec gości uczestników Najazdu Barbarzyńców, festiwalu prezentującego kultury wczesnośredniowiecznych Słowian i wikingów. Na przełomie lipca i sierpnia toczą boje uczestnicy turniejów rycerskich, a w pierwszej połowie września odbywa się impreza o nazwie Szwedzi na Zamku. W niedziele i święta w okresie letnim zwiedzanie uatrakcyjniają pokazy walk rycerzy. Zamek w Ogrodzieńcu jest objęty programem ochrony zabytków Dziedzictwo Kulturowe, w którego ramach przeprowadzono remont konserwatorski skrzydła północnego, dofinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. ●

Zamek Ogrodzieniec

ul. Zamkowa 28, 42-440 Ogrodzieniec Podzamcze, tel. +48 32 673 22 85
e-mail: biuro@zamek-ogrodzieniec.pl, www.zamek-ogrodzieniec.pl

Fot. Rysio212/Wikimedia Commons (CC BY-SA 3.0)

eprasa.pl 6f3e763147



Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie

W XII w. na Wzgórzu Zamkowym (Trzygława) książę pomorski Warcisław I wzniósł pallatium. W 1345 r. Barnim III rozpoczął budowę tzw. Kamiennego Domu. W 1474 r. władcą Pomorza Zachodniego został Bogusław X, który ustanowił Szczecin stolicą państwa, co pociągnęło za sobą konieczność rozbudowy książęcej siedziby. Za panowania Jana Fryderyka (1573–1582) dokonano renesansowej przebudowy rezydencji. Powstała okazała budowla składająca się z czterech skrzydeł okalających duży dziedziniec. Piąte skrzydło zamku, zwane muzealnym lub menniczym, to dzieło księcia Filipa II (1606–1618), dokończone przez Franciszka I (1618–1620). Filip II, wielki miłośnik sztuki, zamierzał w nim wyeksponować swoje zbiory. Po śmierci ostatniego z Gryfitów – Bogusława XIV (1637) – Pomorze przeszło w ręce Szwedów, a zamek stał się prowincjonalną siedzibą władców Szwecji. W 1721 r. Szczecin wykupił król pruski Fryderyk Wilhelm I. Podczas kolejnych przebudów zniszczono renesansowy wystrój zamku. W sierpniu 1944 r. naloty uczyniły z zamku ruinę. W powojennym polskim Szczecinie odbudowa siedziby Gryfitów, przypuszczalnie spokrewnionych z dynastią Piastów, stała się sprawą wagi państwowej. Współczesnemu zamkowi nadano renesansową formę z okresu jego świetności. Dziś budowla znów tętni życiem – jest siedzibą wielu instytucji kulturalnych, odbywają się tu liczne imprezy. Od września, w ramach dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dla programów promujących czytelnictwo, realizowany będzie tu m.in. cykl interaktywnych warsztatów czytelniczych dla dzieci „W krainie stuletnich baśni". Wprowadzi on najmłodszych w świat XIX- i XX-wiecznych polskich baśni i bajek znakomitych pisarzy, których twórczość kształtowała świadomość kulturową kilku pokoleń Polaków. ●

Zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie
ul. Korsarzy 34, 70-540 Szczecin, tel. +48 91 434 83 65
e-mail: zamek@zamek.szczecin.pl, www.zamek.szczecin.pl

Fot. Marcin Patalas

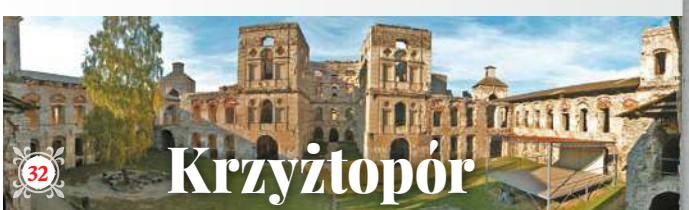
Zamek pokrzyżacki

Zamek w Sztumie został wybudowany w XIV w. przez Krzyżaków w miejscu wcześniejszych umocnień pruskich. Był letnią rezydencją wielkiego mistrza zakonu krzyżackiego oraz siedzibą wójta. Obecnie ten średniowieczny zabytek jest siedzibą Sztumskiego Centrum Kultury, Bractwa Rycerzy Ziemi Sztumskiej i Muzeum Kultury Prus Wschodnich, w którym można poznać historię Sztumu poprzez stałą wystawę „Dzieje miasta do 1945 roku". Zamek w Sztumie jest oddziałem Muzeum Zamkowego w Malborku. ●



Fot. polimerek/Wikimedia Commons (CC BY-SA 3.0)

Zamek w Sztumie, ul. Galla Anonima 16, 82-400 Sztum



Krzyżtopór

Wojewoda sandomierski Krzysztof Ossoliński wzniósł jedną z najwspanialszych rezydencji magnackich w Polsce, znaną jako zamek Krzyżtopór. Ponoć nazwę budowla zawdzięcza umieszczonym na bramie wjazdowej płaskorzeźbom: krzyża – symbolu wiary – i topora – herbu Ossolińskich. Wzniesiona w latach 1621–1644 łączyła elementy rezydencji i warowni. Budowniczym był pochodzący ze szwajcarskiej Gryzonii Wawrzyniec Senes. Rozplanowanie pałacu nawiązuje do kalendarza: miał 4 wieże (pory roku), 12 sal balowych (miesiące), 52 pokoje (tygodnie) i 365 okien (dni). Zamek był wyposażony w system wentylacyjny i grzewczy. W jednej z wież umieszczono akwarium z egzotycznymi rybami. W stajniach, mogących pomieścić 300 koni, nad marmurowymi żłobami zawieszono zwierciadła, które odbijając światło, dodatkowo rozświetlały pomieszczenia. W czasie potopu szwedzkiego rezydencja została podstępnie zdobyta i od tego czasu zaczęła popadać w ruinę. W maju odbywa się tu Turniej Rycerski o Szablę Krzysztofa Baldwina Ossolińskiego, a kilka razy w roku Krzyżtoporskie Konfrontacje Bractw Rycerskich. Ujazd – Ruiny Zamku Krzyżtopór został uznany za Pomnik Historii zarządzeniem prezydenta RP z 20 kwietnia 2018 r. ●

Fot. Paweł Cieśla Staszek Szybki Jest/Wikimedia Commons (GNU FDL 1.2)

POMNIK HISTORII

Zamek Krzyżtopór w Ujeździe
Ujazd 73, 27-570 Iwaniska, tel. +48 15 860 11 33
e-mail: krzyztopor@krzyztopor.org.pl, www.krzyztopor.org.pl/

eprasa.pl 6f3e763147

Rezydencja królewskiego rodu

Rydzynę założył w 1403 r. Jan z Czerniny, który nieco później wystarał się dla niej o prawa miejskie. W 1682 r. tutejsze dobra przeszły na Leszczyńskich, którzy na fundamentach i częściowo murach wcześniejszego zamku rozpoczęli budowę barokowej rezydencji – czteroskrzydłowej i trzypiętrowej okazałej budowli z narożnymi wieżami, otoczonej fosą. Przebudową zamku zajął się sprowadzony w 1696 r. z Rzymu architekt Pompeo Ferrari (ok. 1660–1736), który już do końca życia mieszkał w Wielkopolsce i stworzył tu wiele znakomitych dzieł. Stanisławowi Leszczyńskiemu (1677–1766), świetnemu humaniście, w latach 1704 i 1733 dwukrotnie wybieranemu na króla Polski, kariera polityczna niezbyt się udała – musiał się pozbyć majątków i wyjechać do Francji. W 1738 r. Rydzynę kupili Sułkowscy, którzy wykończyli zamek jako imponującą, podziwianą budowlę.


33

Okazałe wnętrza (m.in. ze wspaniałą dekoracją stiukową i polichromią) niestety zniszczył pożar w końcu stycznia 1945 r. W wyniku trwających aż 40 lat prac zostały pieczołowicie zrekonstruowane. Ciekawym miejscem jest zwłaszcza dwukondygnacyjna Sala Balowa, słusznie uznawana za jedno z najpiękniejszych pomieszczeń tego typu w polskich pałacach. Obecnie opiekę nad zabytkiem sprawuje Stowarzyszenie Inżynierów Mechaników Polskich, które prowadzi tu ośrodek szkoleniowo-konferencyjny i elegancki hotel. Założenie rezydencjonalno-urbanistyczne Rydzyna zostało uznane za Pomnik Historii zarządzeniem Prezydenta RP z 15 marca 2017 r. Zamek przechodzi w tej chwili remont, którego zakończenie planowane jest na koniec października. Prowadzone na szeroką skalę prace budowlane wschodniej partii wejściowej przyziemia oraz konserwację kominka, kotary i fresków rozpoczęto dzięki pozyskanym na ten cel funduszom z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, w ramach programu „Ochrona zabytków". Mimo prowadzonej inwestycji zamek cały czas jest dostępny dla zwiedzających. Można w nim również korzystać z usług gastronomicznych i hotelowych. ●

Zamek w Rydzynie
pl. Zamkowy 1, 64-130 Rydzyna
tel. +48 65 529 50 40
e-mail: zamek@zamek-rydzyna.com.pl
www.zamek-rydzyna.com.pl

Fot. WWAT/Polskaniezwykła.pl

Zamek królewski w Sandomierzu

Zamek zbudowano na miejscu warowni istniejącej na wzgórzu co najmniej od X w. Badania archeologiczne potwierdziły istnienie pierwotnego grodu. W 1139 r. Sandomierz został stolicą księstwa dzielnicowego, a gród rezydencją książęcą. W XIV w. Kazimierz Wielki wzniósł tu murowany zamek, który prawdopodobnie w tym okresie został też połączony z murami miejskimi. Wieża południowo-zachodnia, która króluje dziś nad ulicą Zamkową, została wybudowana w 1480 r. W 1525 r. zamek przekształcono w rezydencję renesansową według projektu Benedykta zwanego Sandomierzaninem. Później był jeszcze wielokrotnie przebudowywany z udziałem wybitnego architekta i rzeźbiarza Santi Gucciego. Zamek składał się z czterech skrzydeł otaczających kolumnowy dziedziniec. Niestety w 1656 r. został wysadzony w powietrze przez wycofujących się z miasta Szwedów. Ocalało jedynie skrzydło zachodnie, przebudowane na barokowe (1680–1686) i klasycystyczne (1825). Zamek jest czterokondygnacyjny,


34

na rzucie wydłużonego prostokąta, z dwiema wieżami. Od połowy XVII w. w zamku nie rezydowali królowie ani nawet starostowie sandomierscy. Zamek był przede wszystkim budynkiem użyteczności publicznej. Po 1795 r. Austriacy przeznaczyli go na sąd i więzienie. Dziedziniec zamkowy otoczono półkoliście biegnącym murem. Na dziedzińcu zachowała się stara studnia, a pod powierzchnią – fundamenty zamku kazimierzowskiego. Więzienie zlikwidowano w 1959 r. Obecnie zamek jest atrakcją turystyczną i siedzibą Muzeum Okręgowego, które warto zobaczyć. ●

Zamek w Sandomierzu
ul. Zamkowa 12, 27-600 Sandomierz
tel. +48 15 832 22 65
e-mail: edukacja@zamek-sandomierz.pl, www.zamek-sandomierz.pl

Fot. naturefan/Polskaniezwykła.pl

eprasa.pl 6f3e763147



Zamek arcybiskupów

Naprzeciw miasta, na lewym brzegu Warty, stoi okazały zamek, dawna własność arcybiskupów gnieźnieńskich. Wzniesiono go w drugiej połowie XIV w. W średniowieczu, w czasie niepokojów, w solidnie ufortyfikowanym zamczysku chroniono arcybiskupie archiwa, księgozbiory i kosztowności. Obiekt kilkakrotnie przebudowywano. W XVI w. nadano mu cechy rezydencji renesansowej, 200 lat potem odnowiono po zniszczeniach z okresu potopu szwedzkiego, a po 1836 r., gdy dobra uniejowskie za zasługi wojenne otrzymał od cara rosyjski generał Karol hrabia Toll, zamek przekształcono w duchu klasycyzmu. Rezydencja należała do Tollów aż do 1918 r. Jeszcze w XIX w. otoczyli ją rozległym parkiem krajobrazowym, dziś wspaniałym lasoparkiem z egzotycznymi cypryśnikami błotnymi, dębami kaukaskimi i klonami srebrzystymi (poprowadzono tu ścieżkę dydaktyczną). W dawnym zamku arcybiskupim działa obecnie hotel ze stylowo urządzoną restauracją (właścicielem obiektu jest rada naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich). Można zwiedzać zamkową kaplicę oraz wejść na taras widokowy na szczycie wieży. ●

Zamek w Uniejowie, Ujazd 73, 27-570 Iwaniska, tel. +48 601 440 931
e-mail: zamek@termyuniejow.pl, www.zamekwuniejowie.pl

Fot. Dariusz Krakowiak

Komandoria joannitów

Początki świdwińskiego zamku sięgają pierwszych lat XIV w. Jego właścicielami byli kolejno książęta meklemburscy, możny ród Wedlów, Krzyżacy, margrabiowie brandenburscy, wreszcie rycerze Zakonu Szpitalników św. Jana z Jerozolimy, czyli joannici. Zamek był w latach 1540–1808 siedzibą jedynej na Pomorzu komandorii joannitów, zwanych też kawalerami maltańskimi, co stało się podłożem wielu opowieści o skarbach, jakie zgromadzili i być może tutaj ukryli. W XVIII w. w wyniku przebudowy (wzniesiono dwa skrzydła zamykające dziedziniec) obiekt stracił charakter obronny i stał się nowożytną rezydencją. Po pożarze w 1945 r. został odbudowany. Dziś działa tu Świdwiński Ośrodek Kultury. Wnętrze zamku można zwiedzać z przewodnikiem z ośrodka. ●

Zamek w Świdwinie
ul. Niedziałkowskiego 17, 78-300 Świdwin, tel. +48 94 365 22 77
e-mail: zamekswidwin@wp.pl, www.zamek.swidwin.pl



Fot. Jerzy Tatoń

Tajemnicza płaskorzeźba

Ziemia chełmińska, którą Krzyżacy otrzymali od księcia Konrada Mazowieckiego w 1226 r., była najlepiej ufortyfikowanym skrawkiem państwa zakonnego. Na terenie tego stosunkowo niewielkiego obszaru założono w XIII w. aż 13 komturstw, czyli samodzielnych okręgów administracyjnych. Centrum każdego komturstwa stanowił zamek, będący siedzibą administratora i kilkuosobowej grupy zakonników-rycerzy, a jednocześnie pełniący ważne funkcje gospodarcze. Po wojnie trzynastoletniej dawne warownie krzyżackie użytkowano jako siedziby polskich starostów, natomiast po pierwszym rozbiorze Polski przeszły one we władanie króla pruskiego. Bierzgłowski zamek uniknął tego losu, ponieważ w 1520 r. został włączony do wiejskich posiadłości Torunia jako ekwiwalent za koszty poniesione przez miasto w czasie wojny z Krzyżakami. Od 1933 r. – z przerwą w czasach PRL – właścicielem zamku są władze kościelne, które przekształciły go w Diecezjalne Centrum Kultury. Twierdza bierzgłowska należała do zamków średniej wielkości, które nie miały pełnego, czteroskrzydłowego programu typowego dla krzyżackich zamków komturskich. Tutaj zbudowano ich tylko dwa; w jednym mieściły się izby mieszkalne, w drugim – pomieszczenia reprezentacyjne, czyli kaplica i kapitularz. W arkadzie nad otworem bramnym zachowała się mocno zniszczona kompozycja z ceramicznych płaskorzeźb, przedstawiających rycerza na koniu i dwóch pieszych, uzbrojonych we włócznie i miecz. Jest to prawdopodobnie najstarsza – bo pochodząca jeszcze z przełomu XIII i XIV w. – rzeźba, która powstała na terenie dawnego państwa zakonnego.

W 2018 r. dzięki dotacjom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w zamku przeprowadzono prace konserwatorskie i restauratorskie, których efektem jest naprawa zniszczeń oraz zabezpieczenie elewacji zamku wysokiego i muru fosy przed działaniem czynników niszczących, jak i przywrócenie walorów estetycznych. Zwiększa to atrakcyjność zabytku poprzez umożliwienie dostępu dla zwiedzających. ●



Fot. janosik/Polskaniezwykła.pl

Zamek Bierzgłowski
ul. Jagiellońska 2; 87-152 Łubianka
tel. +48 56 674 08 72
e-mail: zamek.centrumkultury@wp.pl
www.zamekbierzglowski.eu

Rembrandt w Warszawie

Początki warszawskiego Zamku Królewskiego sięgają XIV w., kiedy powstała tzw. Wieża Wielka (jej gotyckie ściany górują dziś nad Trasą W-Z). Jeszcze za czasów książąt mazowieckich wzniesiono kolejne murowane budynki – Dom Wielki i Dom Mniejszy. Później zamek wielokrotnie rozbudowywano. W jego dziejach przeplatały się lata, gdy lśnił prawdziwie królewskim blaskiem (np. w dobie stanisławowskiej), z okresami rabunku i zaniedbań (czas potopu szwedzkiego i rządów rosyjskich namiestników w XIX w.). Był też okres, gdy zamku... nie było. Jego ogołocone i zrujnowane mury Niemcy wysadzili jesienią 1944 r. Zamek odbudowano w latach 1971–1988. Dziś turyści mogą podziwiać odrestaurowane z pietyzmem wnętrza. W nowe mury wmontowano autentyczne fragmenty dekoracji, figur, kominków. W salach znalazły się oryginalne obrazy, meble i historyczne pamiątki ocalone we wrześniu 1939 r. z bombardowanego gmachu. Warto odwiedzić Galerię Lanckorońskich. Jej ozdobą są dwa obrazy genialnego holenderskiego malarza Rembrandta Harmenszoona van Rijna (1606–1669) – „Starzec przy pulpicie" i „Dziewczyna w kapeluszu". Niegdyś stanowiły własność króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, potem trafiły do kolekcji hrabiów



Lanckorońskich. W 1994 r. hrabina Karolina Lanckorońska przekazała je w darze Zamkowi. Odwiedzając Zamek Królewski w Warszawie, warto również zwrócić uwagę na teren od strony Wisły na wschód od Arkad Kubickiego. W połowie 2019 r. zakończyły się prace nad odtworzeniem Ogrodów Dolnych Zamku Królewskiego, na ten cel została pozyskana dotacja w kwocie przekraczającej 18 mln zł. Projekt rewaloryzacji ma na celu przywrócenie artystycznych i historycznych wartości zespołowi zamkowemu widzianemu od strony rzeki. Reaktywowanie ogrodu, przede wszystkim w ślad za ikonografią XIX- i XX-wieczną, pozwoli uzupełnić panoramę Warszawy od strony Wisły o ważny, a dotychczas brakujący element.

Zamek Królewski w Warszawie prowadzi lekcje muzealne i uczestniczy w akcjach upowszechniających kontakt ze sztuką, m.in. Muzeum za Złotówkę, Bezpłatny Listopad w Rezydencjach Królewskich. W bieżącym roku warszawski Zamek Królewski zaprasza również do udziału w wydarzeniach organizowanych pod hasłem Rok Wazowski 2019. Wśród propozycji wspólnego świętowania są m.in. koncerty, przedstawienia, sesje naukowe, wykłady, warsztaty oraz prezentacja wystaw okolicznościowych. ●

Zamek Królewski w Warszawie
plac Zamkowy 4, 00-277 Warszawa
tel. +48 22 35 55 338
e-mail: informacja@zamek-krolewski.pl
www.zamek-krolewski.pl

Fot. Jarosław Talacha

Zamek Kazimierza Wielkiego



Zamek (dziś na Szlaku Orlich Gniazd) został zbudowany w połowie XIV w. z inicjatywy Kazimierza Wielkiego jako kolejna warownia strzegąca południowej granicy państwa polskiego. W 1370 r. z okazji swej koronacji Ludwik Węgierski nadał zamek Władysławowi Opolczykowi. Ten z kolei przekazał Bobolice w ręce Węgra Andrzeja Sahonyego z Barlabas. W końcu XIV i w XV w. władali nim m.in. Szafrańcowie, Trestkowie, Krezowie, a później Chodakowscy, Męcińscy i Myszkowscy. Nie zawsze proces dziedziczenia przebiegał bezkonfliktowo. Ciekawy przypadek miał miejsce w 1427 r. Majątek bobolicki odziedziczyli Stanisław Szafraniec z Młodziejowic h. Starykoń oraz Mściwój z Wierzchowiska h. Lis. Obie strony zobowiązały się podzielić zamkiem po połowie, z czasem doszło jednak do gorących sporów. Wewnątrz budowli własność obu stron konfliktu znaczyły zapory, które w 1441 r. wyłamał syn Mściwoja Andrzej z Wierzchowiska, rabując bydło i zboże z części przynależnej przyrodniemu bratu. Integralność zamku przywrócona została cztery lata po tym przykrym incydencie. Upadek zamku rozpoczął się w 1587 r., kiedy najechał go i zdobył pretendent do polskiego tronu arcyksiążę austriacki Maksymilian Habsburg. W 1882 r. w wyniku parcelacji ziemię, na której stały opuszczone już mury, otrzymała chłopska rodzina. W 1999 r. ruinę kupili Dariusz i JarosławLaseccy, którzy zdecydowali o częściowej jej rekonstrukcji. ●

Zamek Bobolice
42-320 Niegowa; tel. +48 34 328 80 02, 317 10 38
recepcja@hotelzamekbobolice.pl, www.zamekbobolice.pl

Fot. shutterstock

eprasa.pl 6f3e763147



Telewizyjnym przebojem tego lata stała się kostiumowa „Zniewolona”. Opowieść o ludzkich namiętnościach i udręce głównej bohaterki. Zrealizowany po rosyjsku serial ukraiński zniewolił polskich widzów. Para głównych aktorów jeszcze w tym miesiącu odwiedzi Warszawę

W niewoli sukcesu

Fot. TVP

eprasa.pl 6f3e763147



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Czy sierpień zgotuje odtwórcom głównych ról „Zniewolonej" równie gorące powitanie, jak maj 1985 r., który na należał do gwiazd „Niewolnicy Isaury"? Wtedy Lucélię Santos i Rubensa de Falco witały tłumy. W Warszawie, Łodzi, Skierniewicach, Katowicach, Sosnowcu i Krakowie aktorzy odwiedzali szkoły, szpitale i zakłady pracy. Taki był styl i wymogi tamtych lat.

Na Katerinę Kowalczuk i Mychajłę Hawryłowa będą czekać rozgrzewający internetowe fora fani, ekipy i studia TVP, która wyznaczy też trasy i miejsca spotkań aktorów. Przede wszystkim z widzami, bo to za sprawą ich lawinowych komentarzy, maili i próśb aktorzy serialu przylecą w przedostatnim tygodniu sierpnia do Warszawy.

PONAD POPRZECZKĘ

Liczba aktywnych w sieci odbiorców „Zniewolonej" rośnie w imponującym tempie. Podobnie jak oglądalność produkcji. W pierwszych dniach sierpnia przekroczona została granica 3 mln. Tylu widzów zasiadło przed telewizorami, by oglądać drugi sezon produkcji. Co znaczące, emitowany w Polsce miesiąc przed premierą w telewizji ukraińskiej. Stale zwiększa się też liczba odtworzeń na innych nośnikach. Nawet najwięksi malkontenci muszą przyznać: taki wynik imponuje, a skala odbioru zadziwia.

Wystarczył miesiąc (emisja zaczęła się 1 lipca i już wtedy odnotowano ponad milion widzów), by „Zniewolona" wybiła się na pierwsze miejsce w rankingu oglądalności. 1 sierpnia wyprzedziła „Fakty" i rekordową transmisję „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki", zbliżając się do 3 mln. Trzy dni później pokonała tę poprzeczkę.

W początkowych analizach ośrodki monitorujące oglądalność zwracały uwagę, że wśród widzów przeważają starsi odbiorcy, z grupy 50+. Środek lata przyniósł przełom za sprawą gwałtownie rosnącej liczby młodych ludzi, którzy nie tylko śledzą losy tytułowej „Zniewolonej", lecz także żywo komentują to, co się dzieje na ekranie.

Ruch w internecie rozkręcił zainteresowanie w najbardziej pożądanej, a zarazem trudnej do przyciągnięcia (i zatrzymania na dłużej), grupie odbiorców. Sukces ukraińskiego serialu coraz częściej określany jest mianem fenomenu. Co za nim stoi?

W SIDŁACH UCZUĆ

Czy tylko wakacyjna posucha – wypełniająca programy powtórkami – sprawiła, że „Zniewolona" cieszy się takim zainteresowaniem? Celnym posunięciem okazało się szybkie rozszerzenie pasma emisji. Odbiór trzech pierwszych odcinków (nadawanych od poniedziałku do środy tuż po godz. 20) sprawił, że TVP podjęła decyzję wypuszczenia serialu także w piątki, soboty i niedziele.

Zrealizowana z rozmachem i zarazem dbałością o detal kostiumowa produkcja aż kipi od uczuć i namiętności. Co ważne, nie pozostawia pola dla obojętnych, tu trzeba komuś kibicować albo komuś współczuć. I przypomina stare emocje. Najpierw tych pamiętających klimaty związane z brazylijską telenowelą, przez wiele odcinków snującą historię niewinnej dziewczyny, która wpadła w opresję z powodu żądzy, jaką zapałał do niej niegodziwy Leoncio. I to oni pierwsi zauważyli podobieństwa brazylijskiej „niewolnicy" do ukraińskiej „zniewolonej".

LOS PEŁEN ŁEZ

Wypunktowali je w internetowych komentarzach. Bohaterkę graną przez Lucélię Santos prześladował okrutny właściciel. Niespełnioną namiętność Leoncia dopełniła chęć zemsty, gdy w tytułowej niewolnicy zakochał się młodzieniec z wyższych sfer. Z tarapatów ratowała Isaurę kucharka. W serialu „Zniewolona" znaleźć można wszystkie te elementy. Nie bez znaczenia dla wielbicieli Isaury są też fizyczne podobieństwa aktorów, bo choć Lucélia była ciemnowłosa i ciemnooka, a odtwórczyni roli Katii Katerina Kowalczuk jest niebieskooką blondynką o bardzo jasnej cerze, to jednak pozostali bohaterowie mogą przywoływać wspomnienia sprzed lat.

Grający ciemiężyciela Katii Mychajło Hawryłow – postawny, ciemnowłosy, pod wąsem – to nowa wersja Leoncia, a kucharka Pawlina (w którą

eprasa.pl 6f3e763147

wcieliła się Olesya Żurakivska), jak w brazylijskiej telenoweli jest tęga i pełna miłości do kruchej i tak poniewieranej przez los Katii.

Na tym jednak wyraźne podobieństwa się kończą. Pomysłodawczyni i producentka serialu Tala Pristajecka odwołuje się raczej do fenomenu tureckich produkcji, takich jak historyczne „Wspaniałe stulecie" czy rozgrywająca się współcześnie telenowela „Elif", gdzie przez los i zawistnych bliźnich poniewierana jest mała dziewczynka.

Pristajecka podkreśla, że „ludzie uwielbiają oglądać historie o pasji, intrygach, łzach i miłości". Pokazane z rozmachem, wystawnie, ale ważna jest też oprawa. Akcja „Zniewolonej" rozgrywa się w XIX w. – To czas ogromnych rozkloszowanych sukien, szytych z metrów tkanin, marszczeń i koronek – wylicza producentka. Dodając, że kostiumowe historie są piękne, nie tylko dzięki wspaniałej dekoracji. – Dotyczą miłości, szlachetności i walki wzniosłego z niskim, niegodnym – podsumowuje producentka.



SZERSZE SPOJRZENIE

Po internetowych wpisach sądząc, konwencję „Zniewolonej", w której nie brak też okrucieństw ani drastycznych scen, skłonni są zaakceptować również mężczyźni. Ci dojrzalsi, towarzyszący przed telewizorem swoim żonom, i bardzo młodzi, obeznani w produkcjach Netflixa, a więc produkcyjnie i technologicznie bardziej wymagający.

W głównym nurcie mieszczą się jednak widzowie przede wszystkim rozemocjonowani losami ślicznej chłopki, która – choć wychowana i wykształcona dzięki majętnej i szlachetnie urodzonej matce chrzestnej – nie należy do siebie. Zgodnie z ówczesnym prawem jest własnością swojego pana. Dodajmy: przewrotnego i podłego okrutnika.

Ci, którym dramatyzm losów głównej bohaterki nie przesłania innych wątków, dostrzegają m.in., że w ukraińskim serialu nawet chłopi mówią po rosyjsku. Spotkało się to zresztą z nie najlepszym przyjęciem ze strony ukraińskich widzów, choć tłumaczone jest producencką szansą na większy zasięg.

Tytułową „Zniewoloną" gra rosyjska aktorka (ponoć rolę dostała dzięki aktywności w sieci). Wielu widzów zachwyca się jej urodą i bezbronnością. Niektórzy znajdują inne rosyjskie czy raczej presowieckie tropy. Równolegle z nurtem romansowym i „opresyjnym" w fabule rozwijany jest wątek „budzenia się świadomości ludu pracującego" i zarzewia buntu przeciwko panom.

Części starszych widzów nie pobrzmiewa to zbyt dobrze, ale i oni dają się zniewolić „całokształtowi", w którym czuje się „słowiańską, kulturową bliskość". Są też pod wrażeniem scen zrealizowanych jak w kinie bez żałowania środków. Doceniają scenograficzną i kostiumową pieczołowitość. Przede wszystkim jednak dają się porwać romansowej opowieści, która tego lata towarzyszy im co wieczór.



WAKACYJNE STRATEGIE

Serial o pięknej i doświadczanej przez los Katierinie Wierbickiej – do którego zdjęcia kręcono przez 13 (!) miesięcy, począwszy od 2017 r. – ma w oryginale 48 odcinków. Podzielono je na dwa sezony i przedstawiono na tegorocznych targach w Cannes.

W Polsce pierwszy sezon miał premierę 1 lipca. Drugi rozpoczął się 3 sierpnia. Ukraińcy zaplanowali jego premierę na 2 września, czyli wtedy, gdy nasi widzowie będą już znali zakończenie tej historii, a specjaliści od mediów podsumują strategię wprowadzania serialu, który w tym czasie pozbawiony był właściwie konkurencji, wchodząc na podatny grunt (przygotowany m.in. przez emitowane w TVP tureckie telenowele). I wygrał, oczarowując stroną wizualną i realizacyjną, porwał nawet tych początkowo sceptycznych i opornych.

Fot. TVP (3)

eprasa.pl 6f3e763147

Kto się boi „Kaczora”

Posłuchaj, jak rzeszowski zespół śpiewa o irracjonalnym strachu części społeczeństwa przed prezesem PiS

Wielu pewnie myśli, że go zna,
słychać przecież o nim cały czas,
mówią, że gdy zechce, może pożreć świat.

Lewak kodomita roni łzy,
boi się bez gnata z domu wyjść,
barykady stawia, drażni głodne psy.

Po ulicach maszerują wraz
resortowe dzieci i ubecka brać,
sabat feministek, tęcza czarnych szmat.

W Sejmie targowica, sądy bastion zła,
Polak moralnego sięga dna,
kiedy na to patrzę, wolę się bać.

ref.
Boję się Kaczora,
bez serca potwora,
co dzieci porywa,
krew po piórach spływa.



JAROMIR KWIATKOWSKI

To dość przewrotny tekst piosenki „Kaczor”, wykonywanej przez rzeszowski zespół rockowy DST. Jego autorem jest lider grupy, wokalista Roger Kuś.

Kaczyńskiego można lubić lub nie, ale czasami chciałoby się krzyknąć do niektórych: „Co wam ten człowiek zrobił, że go aż tak nienawidzicie?”.

Taki też był zamysł autora tekstu piosenki.

– Nie da się ukryć, że ten numer jest zainspirowany osobą Jarosława Kaczyńskiego – opowiada Roger Kuś o piosence „Kaczor”. – A dokładniej, interesuje mnie socjologiczny aspekt zjawiska, jakim jest nienawiść do tego człowieka w części polskiego społeczeństwa. Nie mogę się pogodzić z tym, jak jest on traktowany. A gdyby ludzi zapytać, to nawet nie za bardzo wiedzą, za co go tak – w sposób zupełnie irracjonalny – nienawidzą. Poza tym, można się z kimś nie zgadzać, ale zupełnie czym innym jest przemysł pogardy, który dostrzegałem w odniesieniu zarówno do Jarosława, jak i Lecha Kaczyńskich. To wszystko pchnęło mnie do napisania tej piosenki.

Kilka zdań o autorze: Roger Kuś to muzyczny samouk, wokalista i gitarzysta po pięćdziesiątce, obecny na rzeszowskiej scenie rockowej – z przerwami – od początku lat 80. Wtedy też powstała i działała grupa DST, którą – w zupełnie zmienionym składzie – reaktywował kilka lat temu. Podkreśla, że gra swoją muzykę, starając się nie naśladować nikogo. Ale gdyby próbować te dźwięki zaszufladkować, byłby to klasyczny heavy metal w stylu utworu „51” TSA (Roger przyznaje, że bardzo lubi wolne utwory), Def Leppard czy Ronniego Jamesa Dio.

Wokalista przywiązuje ogromną wagę do tekstów piosenek. – Szukam jakiejś prawdy i buduję to na emocjach – wyjaśnia.

Lider DST mocno podkreśla, że jest to jedyny utwór w repertuarze grupy, który zahacza o politykę. – Mam poglądy polityczne, które można określić jako prawicowe, choć w Polsce te kategorie są bardzo wymieszane – tłumaczy. – Ale nie zajmuję się tym zawodowo. Przy pisaniu „Kaczora” interesował mnie – jak już wspomniałem – problem, jak można tak zmanipulować ludzi, że nienawidzą kogoś, nie bardzo wiedząc nawet za co.

Z odbiorem tekstu „Kaczora” miał różne doświadczenia. – Ważne jest, aby był on bardzo dobrze słyszalny, bo zwrotki wyjaśniają całość – podkreśla wokalista DST. – Dwa lata temu wykonywałem ten utwór na Święcie Paniagi przy fontannie multimedialnej w Rzeszowie. Po koncercie podszedł do mnie facet i zapytał, czy może sobie zrobić ze mną zdjęcie, bo świetnie przywaliłem temu s...synowi. A ja nie miałem już siły tłumaczyć mu, jaki jest sens tej piosenki, tym bardziej że zajeżdżał piwem. Ale potem przyszedł inny, który świetnie ten sens wyłapał, i rozmowa przebiegła już na zupełnie innym poziomie.

Roger Kuś ma wielki szacunek do Kaczyńskiego. – Wierzę mu, wiem, że to jest ideowiec, propaństwowiec, człowiek, któremu nie zależy na stołkach, a władza jest mu potrzebna do realizacji jego politycznych wizji. No dodatek, kiedy patrzę, kto jest po drugiej stronie, to mi ręce opadają.

Utwór „Kaczor” można posłuchać na kanale YouTube: https://www.youtube.com/watch?v=5ErpNvjI3hg&feature=youtu.be

eprasa.pl 6f3e763147

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Walkiria" – paradoksy Stauffenberga

TVN 7 przypomniał „Walkirię" Bryana Singera, film sprzed 11 lat. To historia zamachu na Hitlera z 20 lipca 1944 r., a w szczególności końcowe dzieje tego, który podłożył bombę w kwaterze w Kętrzynie, Clausa von Stauffenberga. Dobrze to nakręcono, nawet jeśli miejscami po hollywoodzku zbyt gładko, zdarzenia mniej więcej się zgadzają, a piszę to jako ktoś, kto już we wczesnym wieku się nimi pasjonował. Czytając wszystko, co było wtedy dostępne. Tom Cruise, bardzo sprawny aktor z charyzmą, bez wątpienia dobrze zagrał pułkownika. W taki sposób, że można się z nim utożsamić.

W Polsce film wzbudził jednak niechęć, zwłaszcza ludzi o prawicowych poglądach, którzy uznali, że o zamachowcach nie pokazano prawdy. Byli wcześniej nazistami, a w najlepszym razie niemieckimi nacjonalistami, i heroiczna pamięć, która z tego filmu wyziera, im się nie należy. Nikt specjalnie „Walkirii" zresztą u nas nie bronił. Znam jednego Polaka zafascynowanego Stauffenbergiem. Był nim, a może i jest, Stefan Niesiołowski, i to jeszcze ten z czasów ZChN. Ujęty osobistą dzielnością pułkownika, powtarzał z podziwem: „I wtedy Stauffenberg oznajmił: »Pojadę i zabiję tę świnię«" (mowa o Hitlerze).

Jakie jest moje zdanie? Przypomnę najpierw, że w 1944 r. spiskowcy z 20 lipca nie wzbudzili sympatii także prasy angielskiej i amerykańskiej. Także tam opinia publiczna, prawicowa również, uznała, że nie ma co współczuć pruskim junkrom, którzy wynieśli Hitlera do władzy, a potem się zbuntowali, chcąc ratować choć resztki pozycji Niemiec. Paradoks polegał na tym, że później to najbardziej konsekwentni, zachodni krytycy linii Roosevelta i Churchilla opartej na ugodzie ze Stalinem uważali, że takie podejście ich narodów do tego zdarzenia było błędem. Należało ich zdaniem nie żądać od Berlina bezwarunkowej kapitulacji, wspierać niemiecką opozycję – nawet jeśli była złożona w większości (bo byli tam również konserwatywni emigranci wewnętrzni) z tych, którzy kiedyś Hitlera wychwalali – to ich teza.

Oba stanowiska były uwikłane w sprzeczności. Kompromis z niemieckimi nacjonalistami byłby nie tylko niesprawiedliwy, ale i groźny, choćby dla Polaków, których kosztem pewnie by go zawierano. Z kolei linia bezwarunkowo twarda była na rękę Stalinowi. Z pewnością sam Stauffenberg wcześniej wierzył Hitlerowi, ba, uczestniczył w pacyfikowaniu SA w 1934 r. Był antysemitą i wrogiem Polski. To nie jest bohater z naszej bajki.

Tylko czy to oznacza, że musimy po latach reagować na ludzki wymiar tej historii, opierając się wyłącznie na racjach historycznych (do których mamy prawo). Pewnie „Walkiria" za słabo wydobyła paradoksy wcześniejszej biografii Stauffenberga. To uroki hollywoodzkiej dezynwoltury w mówieniu o historii, choć pewnie i ślady powojennej już rewizji stosunku do Niemców. Jednak poza jego osobistą dzielnością warto podkreślić coś jeszcze. My, Polacy, pamiętamy jego wcześniejsze przewiny. Za to w Niemczech w 1944 r. on i jego koledzy okazali się w końcu tragicznie samotni. Zbyt mocne było nawet wtedy nazistowskie szaleństwo i poczucie karności wobec władzy „pomazańca", który nam wydaje się postacią z ponurej operetki, Niemcom zaś nie.



Nawet po wojnie rodziny Stauffenberga i innych spiskowców, często zamordowanych w okrutny sposób, doznawały ostracyzmu od rodaków. Pomników bym tej późnej niemieckiej opozycji nie budował. Ale ludziom bym nie wygrażał.

Piotr Zaremba

Minotaur na Frascati

Chciałoby się skraść Amosowi Azowi tytuł i ogłosić: „Feluni" to opowieść o miłości i mroku



Wojciech Stanisławski

Dziecko zmuszone do przejęcia przerastających je funkcji dorosłego – ten motyw wprowadzano do literatury już dawno, wypełniając ją postaciami Dawidów Copperfieldów, sióstr wychowujących osierocone młodsze rodzeństwo, ośmioletnich tkaczek i górników w opowiadaniach Londona. Żaden wysiłek nie jest tak niszczący, jak ciężar odpowiedzialności za całość rodziny, wspierania lub zastępowania niedojrzałych, samolubnych, okrutnych dorosłych. Jeśli wolno zachęcać do lektury tego rodzaju „lektur nieprzyjemnych", to po to, by unaocznić, jakie krzywdy jesteśmy w stanie wyrządzić dzieciom, ustawiając je w roli spoiwa rodziny lub pośrednika w relacjach z jednym z jej członków.

Dla wytrwałych czytelników malarki, poetki i eseistki Ewy Kuryluk takie doświadczenia to nie pierwszyzna: bolesna anamneza, odtwarzanie pamięci rodzinnego dramatu trwa w jej książkach od chwili napisania „Goldiego"(2004) aż do obecnego, zamykającego trylogię tomu, opłakującego brata, lecz przecież nie tylko jego. Czasem mam wrażenie, że „Goldi", „Frascati" i „Feluni" tylko arbitralną decyzją wydawców traktowane są jako epitafia poświęcone zmarłym kolejno ojcu, matce i bratu artystki: wszyscy troje, wraz z kilkorgiem osób z najbliższego kręgu rodziny i przyjaciół, są obecni we wszystkich trzech książkach, pojawiając się w scenach i strzępach dialogów spisywanych z namacalnością przekraczającą granice konwencji i literatury.

To ta intensywność wyróżnia tryptyk Ewy Kuryluk spośród tysięcy „wspomnień rodzinnych", ba, dziesiątków wspomnień spisanych z ponadprzeciętną uważnością i czułością. „Feluni" to ciąg rozpoznań, olśnień, zapisów z różnych epok: autorka wspomina gomułkowski i stalinowski czas w Warszawie lub Nowym Jorku drugiej dekady XXI w., by nagle się zanurzyć w zapisany gęstą, drobną, niespotykaną gdzie indziej, dykcją dialog z matką, prowadzony przed dwudziestu laty, z ciotką – przed dziesięcioma, z przyjaciółką – przed blisko pół wiekiem, doprowadzić opowieść do końca, by z kolejnym rozdziałem znów ruszyć w głąb pamięci. Każdy akt przypomnienia dokonywany jest niejako wbrew sobie, staje się więc zarazem aktem odwagi, zanurzeniem się w ciemność jednocześnie odstręczającą i cenną. Trzeba się w niej pogrążyć, żeby poznać prawdę o sobie – i gdzieś w tle powieści majaczy wiersz Franza Wrighta o dziewczynce ufnie wyprowadzającej Minotaura z labiryntu na światło dnia. Czasem te skrytki pamięci otwiera, jak w ciemnej prozie Lebiediewa, skojarzenie sprowokowane sceną czy frazą, czasem list, w ataku paniki upchnięty przed laty w nosku buta.

Minotaurem jest schizofrenia, której kolejnych rzutów doświadczała matka autorki, która u progu dorosłości zaczęła pochłaniać jej brata. Ale nawet tak straszne doświadczenie nie rozbija rodziny Kuryluków ani nie redukuje bliskości – owszem, potężnej, pochłaniającej, tak totalnej, że mieści w sobie nawet ukazanie nieprzystojności i słabości ciała, wszystkich bez mała żenujących ułomności wieku podeszłego „podopiecznych" Ewy, od niepowstrzymanego łakomstwa do niełagodzonego już wychowaniem egotyzmu; książka nie staje się przez to, jak nieraz bywa, mściwym czy płaczliwym wyrównaniem rachunków, lecz ukazaniem tego, co jest silniejsze niż śmierć. To niesłychane, ale surowość tych opisów (w innych miejscach książki, usunąć np. w opisie znajomej literatki – żrącej, łypiącej, człapiącej ciężko – mordercza) nie pozbawia ich czułości.

Rodowody, doświadczenia rodzinne, talenty i kariery członków rodziny sprawiają zarazem, że „Feluni" (podobnie zresztą jak dwa poprzednie tomy tryptyku) jest zapisem historii wojennej i powojennej Polski. O tych rodowodach znów, jak tyle razy, można by mówić cytatami z Kleyffa: „niepokoje/kogoś,

eprasa.pl 6f3e763147

ort ekstremalny

kto przeżył tyle wojen", to wniesione do rodziny wiano matki, ocalałej z Zagłady i, jak tyle jej rówieśnic i przyjaciółek, nigdy już niewyzwolonej z lęku, groteskowo puchnącego w chorobie, ale czy tylko w chorobie? „Feluni" to zapis kultury czujności, obaw przed „złym wyglądem", odradzającym się w smolistych włosach Piotrusia, w plamce na powiece odziedziczonej po babce „hiszpańskiej urody" – obaw niedaremnych, skoro zawsze padnie w końcu palące słówko rozpoznania i napiętnowania. Ale Ewa i jej brat Piotr są „jak wina dwa zmieszane,/ jasno i ciemno jak nad ranem", bo ich ojciec, filar rodziny, to Karol Kuryluk, syn murarza, który drałował był boso 150 km na studia we Lwowie, żeby oszczędzić na bilecie i na butach, płowowłosy syn ludu polskiego, jak się patrzy.

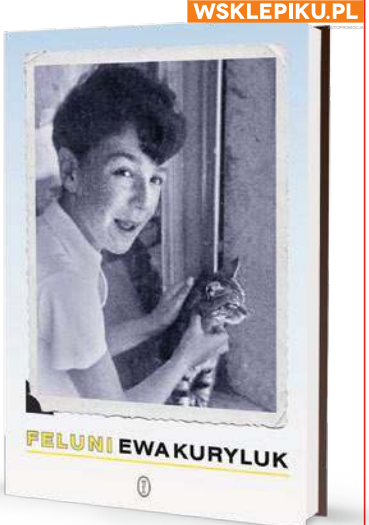
Poeta, współzałożyciel i redaktor naczelny „Sygnałów", wojenny konspirator szarpiący się między strukturami AK i AL poparł powojenny porządek, wydając tygodnik „Odrodzenie". W stalinizmie wielkiej kariery nie zrobił, został natomiast w 1956 r. odwilżowym ministrem kultury i sztuki, by półtora roku później, po ucieczce Hłaski na Zachód, doświadczyć dymisji i zesłania na placówkę w Wiedniu. Już wtedy gotów był, jak deklarował córce, „sypiać piasek w tryby partii". Tym bardziej po powrocie do PRL, gdzie aż do śmierci w roku 1967 stał na czele PWN, chroniąc pod swoimi skrzydłami ekipę „encyklopedystów".

Zakorzenienie wśród ochoczo współpracującej z władzą, pozwalającej sobie najwyżej na prywatny sarkazm inteligencji mogło się stać źródłem dziesiątków miniaturowych portretów lub scen z życia literatów i nomenklatury. I rzeczywiście biografowie znajdą ich bez liku, włącznie z szokującym obrazem znanej pisarskiej pary, Marii Dąbrowskiej i Anny Kowalskiej, latami gloryfikowanej przez entuzjastów erotycznej emancypacji, tu pokazanej przez pryzmat oschłego na granicy okrucieństwa traktowania kilkuletniej córki Kowalskiej, Tulci: traktujący o tym rozdział to wstrząsająca odtrutka na przesłodzony fałsz „Dzienników" Dąbrowskiej. Ale „Feluni" to proza zbyt dużego kalibru, by zredukować ją do roli zbioru anegdot. To opowieść o życiu w perspektywie zagrożenia (historycznego, politycznego, wreszcie zagrożenia chorobą), która sprawia, że pierwsze powojenne ćwierćwiecze wydaje się niemal czekaniem na odroczoną katastrofę. Ale też – o niesłabnącej gotowości zrozumienia cudzych lęków i obsesji, o morderczym wysiłku sięgania w głąb pamięci. Chciałoby się skraść tytuł Amosowi Azowi i ogłosić: to opowieść o miłości i mroku.

Kluczem do tej książki jest choroba matki i brata, opisana wprost w kilkunastu zaledwie scenach, uchylonych na otchłań. Czy można pisać o tym inaczej? Próbką mogą być „Psy ras drobnych" Olgi Hund, „młoda proza", co się zowie, zbiór zapisów ze szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie. Można czytać „Psy..." jako stylistyczny i poznawczy kontrapunkt „Feluniego", demitologizujący rewers książki Kuryluk: zamiast pielgrzymowania w głąb labiryntu mamy pojedyncze, ostentacyjnie oschłe zapiski z pustyni. Zamiast zanurzenia w pamięci zbiorowej, złoto-czarno-purpurowej, sięgającej Wiednia, Lwowa, Gomułki i getta, mamy zgiełk reklamowej gazetki z supermarketu, jedynej często lektury pacjentek Kobierzyna żyjących w wiecznym teraz, pozbawionych książek i korzeni: niższej klasy średniej, która trafia do szpitala dręczona nie wojną i absolutnym słuchem muzycznym, lecz chwilówkami, pracą na kasie, sytą i pstrokatą pustką.

„Psy ras drobnych" stanowią pendant dla książki Kuryluk, ale i dla „Obłędu" Krzysztonia, największej polskiej powieści traktującej o doświadczeniu choroby. Wydany przed 40 laty „Obłęd" był portretem zbiorowości umęczonej pamięcią wspólnych klęsk, od września 1939, przez Auschwitz, po masakrę na Wybrzeżu, powieścią, która stała się jednym z wielkich wstrząsów końca lat 70. Zbiorowość pacjentów Kobierzyna sprzed roku nie ma już problemów z pamięcią, lecz z bezbrzeżną nudą, sępieniem fajek, zaparciami, drżeniem rąk i rozpaczą: small talk w korporacyjnej stołówce zastąpiony został jeszcze bardziej powtarzalnym small talkiem na korytarzu oddziału zamkniętego, na którym można się mijać i po sto razy dziennie, niczym ryby akwariowe. Inna rzecz, że opisywana przez Krzysztonia tratwa szaleńców z Tworek wznosiła się na falach tylko w urojeniach chorego na historię narratora, don Kichota, który w alkoholikach i chronikach ze wspólnej sali chciał widzieć Poniatowskiego i Piłsudskiego. Z kim zmagają się w wyobraźni pacjenci Kobierzyna, kiedy odłożą już na bok wytłuszczony tygodnik „Party"?

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Ewa Kuryluk, „Feluni", Wydawnictwo Literackie, 2019



Olga Hund, „Psy ras drobnych", Korporacja Ha!art, 2018

eprasa.pl 6f3e763147



Stara dobra opowieść

Przepraszam, że ta recenzja pojawia się miesiąc po premierze, ale powolutku nadrabiam zaległości kinowe po urlopie. „Król Lew" to klasyka, której streszczać żadnemu kinomanowi nie trzeba. To jeden z tych Disneyowskich filmów, które na zawsze wgryzły się w świadomość nie tylko dzieciaków. Uniwersalna opowieść o zamordowanym przez zazdrosnego brata Skazę królu Mufasie, wypędzonym księciu Simbie i wymierzeniu po latach sprawiedliwości jest idealnym przykładem oparcia popkulturowego utworu na najważniejszych motywach literatury. Mamy tu szekspirowskie opowieści o królobójstwie, elementy mitologii i motywy chrześcijańskie (diabelsko kuszony zbawiciel powracający po latach do swego ludu). Możliwe, że „Król Lew" z 1994 r. był ostatnim tak jawnie opartym na chrześcijańskim przekazie filmem Disneya. Bałem się bardzo nowej wersji filmu, kręconego w czasach, gdy poprawność polityczna zastąpiła chrześcijański kod kulturowy.

Uspokoiły mnie pierwsze recenzje, w których również niektórzy polscy krytycy zarzucali wersji „Króla Lwa" z 2019 r. „niepodążanie za duchem czasu". Ich zdaniem Disney nie odrobił lekcji z postępowości ani nie pochylił się odpowiednio mocno nad feminizacją bohaterów. Bo jak może tak być, że lwice czekają na króla, by przepędził diabolicznego lwa otoczonego hienami? Dziwię się, że Skaza nie miał bardziej pomarańczowej czupryny à la Trump, a w polskim dubbingu nie pada częściej z jego ust stwierdzenie, że wprowadza „dobrą zmianę" w królestwie. Nie ma też żadnego wątku homoseksualnego (Netflixie, rób sequel!) ani antyrasistowskiego (bohaterowie nie zostali zamienieni w czarne pantery). Reżyser Jon Favreau („Iron Man", „Księga dżungli") nakręcił film zgodnie z duchem i przesłaniem oryginału Roba Minkoffa i Rogera Allersa.

Owszem, brakuje mi momentami klimatu oryginału. Nie wiem, czy dlatego że wyrastałem w latach 90. naznaczonych nie tylko tarantinowskim postmodernizmem, lecz również tak



Kino

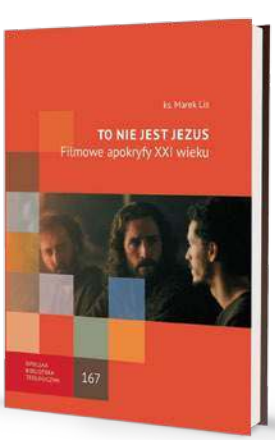
klasycznymi w wymowie bajkami jak „Król Lew" czy „Piękna i bestia". Jednak mój 10-letni syn film mocno przeżywał, więc uniwersalne przesłanie o rozbitej rodzinie, męstwie, odkupieniu i wojnie z jasno zdefiniowanym złem działa na emocjonalnej płaszczyźnie. Jedno was jednak na pewno w tej wersji nie zawiedzie. To techniczna strona filmu. Tzw. motion capture i VR/AR zostały doprowadzone do perfekcji. Zwierzęta w „Królu Lwie" naprawdę wyglądają, jakby były wyjęte z programów National Geographic. Oddają przy tym ludzkie emocje i rozmawiają z sobą bez rażącej sztuczności. Ten film miał budżet wysokości 250 mln dol. Widać to w każdym z pietyzmem dopieszczonym kadrze, a nie jest to przecież film statyczny. Pościgi, ucieczki po dżungli, sawannie i pustyni oraz część musicalowa wizualnie porywają i pozwalają zapomnieć o sentymencie do oryginału. Choć to przy nim zostało moje serce.

„KRÓL LEW", REŻ. JON FAVREAU, DYSTR. DISNEY

Książka

To nie jest Jezus?

Ks. prof. Marek Lis jest jednym z nielicznych polskich katolickich duchownych piszących zawodowo o kinie. Autor przenikliwych książkowych analiz kina Kieślowskiego, Zanussiego i członek jury ekumenicznego festiwalu w Cannes tym razem bierze na warsztat filmy pokazujące wizerunek Jezusa Chrystusa. Ks. Lis proponuje, by wszystkie filmy opowiadające o życiu i śmierci Jezusa nazywać apokryfami. Niezależnie od ich wierności Ewangelii. Autor pochyla się szczególnie mocno nad kinem religijnym powstałym po spektakularnym sukcesie „Pasji" Mela Gibsona (2004), co nadaje książce dodatkową atrakcyjność. Dostajemy analizę najnowszych filmów religijnych, nakręconych już w czasach dyktatu masowej kultury. Duchowny omawia też religijne filmy luźno oparte na Biblii bądź będące jej heretyckim wypaczeniem (mocna analiza coraz popularniejszych w Polsce protestanckich christian movies). Ks. Marek Lis jest nie tylko teologiem, lecz również rozkochanym w kinie filmoznawcą erudytą. To czyni jego prace unikatowymi.



„TO NIE JEST JEZUS. FILMOWE APOKRYFY XXI WIEKU", KS. MAREK LIS, WYD. UNIWERSYTET OPOLSKI

Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 6f3e763147

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Odciski palców De Palmy

Quentin Tarantino w ostatnich wywiadach zapewnia, iż nie żartował, zapowiadając, że po dziesiątym swoim filmie idzie na reżyserską emeryturę. Zdaniem reżysera, którego film nr 9 właśnie zadebiutował na amerykańskich ekranach, reżyserzy z wiekiem stają się coraz gorsi. Cóż, na pewno tych słów do serca nie wziął sobie jeden z mistrzów Tarantino, którego ten od początku kariery w swoich filmach cytuje. 78-letni Brian De Palma nakręcił ponad trzy dziesiątki filmów i nie zamierza zawieszać reżyserskiego klapsa na ścianie.

Ostatni wielki kasowy hit De Palma wyreżyserował ponad 20 lat temu („Mission impossible"). Ostatnią prawdziwą perłę kina dał nam ćwierć wieku temu („Życie Carlita"). Jego najnowsze filmy spotykają się z chłodnym przyjęciem albo wręcz szyderstwem krytyków. Tak jest w przypadku pojawiającego się u nas tylko na DVD i VOD duńsko-belgijskiego „Domino", od którego tuż po premierze De Palma lekko się dystansował! „Dla mnie była to szansa na eksplorowanie narracji wizualnej. Nie pisałem do niego scenariusza" – asekurował się w jednym z wywiadów. Film opowiadający o duńskim policjancie (Nikolaj Coster-Waldau), który szuka zabójcy swojego partnera mającego związki z ISIS, jest kuriozalny, irytujący i... zdu-


VOD

miewająco pociągający. Wszystko dzięki ręce De Palmy. Reżyser wybitnych klasyków jak „Carrie" i „Wybuch" w każdej scenie zostawia tak mocne odciski, że nie da się „Domina" pomylić z filmem żadnego innego reżysera. Gdyby nie De Palma, dostalibyśmy sensacyjny przeciętniak, który co najwyżej mógłby być jednym z pobocznych wątków kolejnego sezonu tasiemcowego już „Homeland". Policjanci z Kopenhagi, zamachy ISIS w europejskich miastach, komiksowo zły agent CIA (Guy Pearce), wiedzący wszystko o wszystkich bo, jak sam krzyczy: „CIA czyta wszystkie maile". Brakuje tylko Jacka Bauera wracającego z moskiewskiego więzienia.

A jednak ten film długo zostanie w mojej pamięci. Kilka scen przypomina o mistrzowskiej brawurze reżysera „Człowieka z blizną", bezczelnie zapatrzonego od zawsze w Hitchcocka. Gonitwa po dachach kopenhaskich kamienic to ukłon w stronę „Vertigo". Ma to wszystko momentami energię i pomysłowość ocierającą się o sceny na dworcach z „Życia Carlita" i „Nietykalnych". Podzielony ekran i perspektywa pierwszej osoby w ujęciach zamachu terrorystycznego na festiwalu filmowym w Holandii (De Palma wyobraża sobie, że strzela do branży?) oraz finałowa scena na hiszpańskim stadionie mają natomiast w sobie świeżość ujęć z wczesnych „Sióstr" albo „W przebraniu mordercy".

„Domino" to film przeznaczony dla fanów Briana De Palmy. Ma on wszystko, co definiuje jego kino – nieufność do władzy, spiskowe teorie, wszechobecny voyeryzm. Przede wszystkim ma jednak brawurę reżyserską amerykańskiego filmowca. Wolę oglądać bałaganiarski banał z muśnięciem mistrzowskiej ręki niż poprawnie nakręcony thriller, ale pozbawiony szaleństwa i pasji. Jeżeli jednak nie jesteście fanami De Palmy, możecie uznać ten film za sensację klasy B.

„DOMINO", REŻ. BRIAN DE PALMA. FILM DOSTĘPNY NA VOD I DVD

Słabiutki finał

Wygląda na to, że uniwersum „Obecności" nie stanie się dla horroru tym, czym dla komiksów są „Avengers". James Wan (jako producent wykonawczy i współscenarzysta) nie potrafił wznieść na poziom swoich dwóch „Obecności" reszty filmów. „Zakonnica" okazała się katastrofą, natomiast nierówna trylogia „Annabelle" jest dowodem na to, jak można zmarnować wielki potencjał. Choć wraca do serii słynne małżeństwo demonologów Warrenów granych przez Verę Farmigę i Patricka Wilsona, a do reżyserowania „Annabelle wraca do domu" wziął się Gary Dauberman, utalentowany scenarzysta pierwszej części, niewiele tutaj gra. Ograne i najbardziej wyświechtane schematy horrorów klasy B, przewidywalność, papierowi bohaterowie i zupełny brak świeżości. Szkoda, bowiem środkowy film „Annabelle. Narodziny zła" obiecywał ciekawy finał historii znajdującej się w muzeum Warrenów w Connecticut opętanej lalki. Oglądając tak infantylne horrory, trudno nie tęsknić za mistrzami gatunku, jak Wes Craven i John Carpenter.

„ANNABELLE WRACA DO DOMU"
REŻ. GARY DAUBERMAN, DYSTR. KINO ŚWIAT


Kino

eprasa.pl 6f3e763147



Fox News miażdży CNN

Niepoprawna politycznie, blisko zwykłych Amerykanów i robiona na luzie. Taka jest bijąca rekordy popularności Fox News, którą przez miesiąc codziennie oglądałem podczas ostatniego pobytu w USA



ŁUKASZ ADAMSKI

Lipiec był kolejnym świetnym miesiącem dla amerykańskiej prawicowej stacji Fox News. Kolejnym, bo już 37. miesiącem z rzędu, w którym założona w 1996 r. stacja triumfuje nad konkurencją. Stworzona przez magnata Ruperta Murdocha i kierowana do 2016 r. przez byłego szefa NBC i oddanego republikanina Rogera Ailesa jest nie tylko najchętniej oglądaną informacyjną telewizją w USA, lecz również miejscem, gdzie kreuje się politykę Partii Republikańskiej.

Dlaczego we wciąż będącej bliżej konserwatywnych wartości Polsce prywatna prawicowa stacja informacyjna nie może się poszczycić taką oglądalnością? To oczywiście temat do analizy dla medioznawców. Ja jednak mam swoją teorię na ten temat, którą opieram na miesięcznej obserwacji Fox News podczas mojego ostatniego pobytu u moich amerykańskich przyjaciół.

PIKOWANIE LEWICOWEGO CNN

Według ostatnich badań Nielsena Fox News była jedyną stacją informacyjną w USA, która w lipcu mogła się poszczycić ponad milionem widzów dziennie (średnio 1,4 mln). Konkurenci Foxa – liberalne MSNBC i coraz mocniej skręcające w lewo CNN – mieli oglądalność na poziomie 852 tys. i 557 tys. widzów. W prime time (między godzinami 20.00–23.00) Fox News gromadził w lipcu średnio 2,4 mln widzów. MSNBC miała widzów o milion mniej. CNN spadł w tym zestawieniu na dalekie 13. miejsce (za dziecięcym Nickelodeonem czy puszczającym soapoperowe telewizyjne filmy Hallmarkiem), mając tylko 797 tys. widzów. Podczas gdy Fox News miał delikatny wzrost oglądalności w lipcu, CNN i MSNBC straciły 10 i 11 proc. widowni.

Jeszcze lepiej dla Foxa wyglądają statystyki autorskich programów gwiazd stacji. „Hannity" konserwatywnego radiowca, publicysty i autora bestsellerowych książek Seana Hannity'ego ogląda średnio 3,3 mln osób. Tuż za nim z 3,1 mln widowni plasuje się Tucker Carlson ze swoim show oraz „The Ingraham Angle" Laury Ingraham, która przeszła drogę od pracy dla administracji Ronalda Reagana, przez komentowanie polityki w liberalnych mediach, aż do prowadzenia jednego z najostrzejszych i jednocześnie zabawnych autorskich show w Fox News. Czwarty na liście najchętniej oglądanych programów amerykańskich telewizji informacyjnych jest lekki w formie „The Five". Dopiero na piątym miejscu mamy „The Rachel Maddow Show" z MSNBC. Najpopularniejszy program CNN „Cuomo Prime Time" wylądował na kompromitującym dla lewicowej stacji 24. miejscu. Co najbardziej przeraża liberalno-lewicowy establishment, Fox

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. Shutterstock

News góruje nad konkurencją w przedziale wiekowym 25–54 lat, czyli wśród najbardziej aktywnych i świadomych wyborców.

Nie podejmuję się szczegółowej analizy sukcesu Fox News. Bez wątpienia proces odpływu widzów od liberalnych nadawców i rosnącej potęgi prawicowej stacji jest skomplikowany socjologicznie. Ja jednak uważam, że zamyka się w konserwatywnej kontrrewolucji, jaka ma miejsce nie tylko w USA. Sukcesu Fox News nie można oderwać od polityki, co pokazuje spadek oglądalności programu Rachel Maddow. To ta liberalna komentatorka szczególnie mocno eksploatowała spiskowe teorie łączące prezydenta Donalda Trumpa z Rosją. Po zeznaniach specjalnego prokuratora Roberta Mullera, które wysadziły w powietrze całą misternie budowaną teorię o „zdradzieckim rosyjskim prezydencie USA", jej reputacja została bez wątpienia wystawiona na szwank. Nie można zapominać, że dystans między Fox News a liberalnymi stacjami informacyjnymi powiększa się w czasie rządów Donalda Trumpa, atakowanego jak żaden inny prezydent USA w historii.

GŁOS LUDU

Pisałem już na portalu wPolityce.pl, że Partii Demokratycznej nie służy radykalny skręt w lewo nowej fali polityków próbujących zburzyć status quo. Radykalnie lewicowe wypowiedzi przyznającego się do umiłowania odrzucanego przez większość Amerykanów socjalizmu senatora Berniego Sandersa i awanturnictwo „squadu" przedstawicielek Kongresu (Alexandria Ocasio-Cortez, Ilhan Omar, Ayanna Pressley i Rashida Tlaib) odpychają od demokratów umiarkowanych wyborców. Ten proces zaczął się jednak dawniej, co znakomicie pokazano w jednym z odcinków liberalnego i krytycznego wobec Fox News serialu „Na cały głos", o którym szeroko pisałem dwa tygodnie temu w „Sieciach". „Przez 50 lat lewica budowała swoją narrację, by kontrolować przekaz. I wiecie, co to spowodowało? Możliwości" – mówi grany przez Russela Crowe'a szef Fox News, Roger Ailes. Chodziło mu o możliwość dania głosu milczącej większości i tym, którzy coraz bardziej alienowali się od liberalnych elit.

Ailes, poprzedzając erę Trumpa, dojrzał siłę populizmu. Zarówno lubujące się w łamaniu coraz bardziej totalitarnych norm poprawności politycznej Fox News, jak i mówiący językiem przeciętnego Amerykanina Donald Trump odpowiedzieli na potrzeby zapomnianych przez elity z Waszyngtonu Amerykanów. Zauważa to w przenikliwym reportażu „The New American Revolution" konserwatywna dziennikarka Kayleigh McEnany. Pochodząca z małego miasteczka (podobnie jak Ailes), będącego fundamentem amerykańskiej kultury, autorka zadała sobie trud i pojechała w głąb kraju porozmawiać z Amerykanami głosującymi na Trumpa. „Znalazłam Amerykanów, którzy doświadczyli na własnej skórze najgorszych plag naszych czasów: terroryzmu, przestępczości, problemów z opieką zdrowotną, imigracją i zatrutej wody we Flynt. Dojrzałam w nich siłę i nadzieję, która na zawsze mnie odmieniła. To niesamowite, ale gdy oni stawali twarzą

eprasa.pl 6f3e763147

w twarz z tymi problemami, odpowiedź była jedna: »Bóg, a nie rząd«. (....) To była podróż przez duszę Ameryki" – stwierdza autorka reportażu.

Nadzieja i zmiana. Takie hasła miał na sztandarach Barack Obama. Osiem lat jego prezydentury spowodowało, że na ich sentymentalnej wersji wziętej od Ronalda Reagana („Make America great again") do Białego Domu wszedł Donald Trump. Nie przez przypadek ten trzykrotnie żonaty i nieukrywający romansów libertyn z Nowego Jorku głośno krzyczał o potrzebie powrotu do chrześcijańskich wartości. To właśnie ten krzyk do Boga, o którym pisze McEnany. Jeden z najwybitniejszych konserwatywnych komentatorów i polityków Newt Gingrich zauważył w swojej bestsellerowej książce „Zrozumieć Trumpa", że Amerykanie w 2016 r. odrzucili liberalizm gardzący tzw. redneckami, czyli amerykańską wersją moherów. Hillary Clinton przecież nazwała wyborców Trumpa „godnymi pożałowania". Autor pisze, że patriotycznie nastawieni i wyznający konserwatywne wartości Amerykanie mieli dosyć bycia nazywanymi ksenofobami, homofobami, seksistami, islamofobami etc. Fox News właśnie na tym opiera swój przekaz. Nie tylko broni atakowanej przez lewicę religijności, ale wyśmiewa poprawność polityczną i utwierdza Amerykanów w przekonaniu, że ich kraj, demokracja, kapitalizm i konstytucja są najwspanialsze na świecie.

NIE TYLKO CO, ALE JAK MÓWIĄ

Fox News robił to jednak od początku swojego istnienia. Zacięcie atakował Billa Clintona i Baracka Husseina Obamę, szczególnie chętnie w dobie walki z islamskim terroryzmem, podkreślając jego drugie imię. Stacja stała przy administracji George'a W. Busha i jawnie wspierała kandydatów na prezydenta Johna McCaina i Mitta Romneya. Robiono to samo, co robi CNN, tylko nie zapomniano przy tym o zwykłych Amerykanach. Jak mówi filmowy Ailes: „CNN służy wszystkim na świecie. Fox służy Amerykanom i ich wartościom". W Fox na pierwszy miejscu jest Bóg i indywidualizm. Przestrogi przed „wielkim rządem" padają na antenie codziennie. Tak jak przed straszenie „europejskim socjalizmem", który według stacji chcą wprowadzić demokraci.

Jednak nie tylko przekaz polityczny stoi za sukcesem stacji. Fox News to nie tylko profesjonalnie robiony kanał (to tam wymyślono paski zwane tickerami), ale też telewizja rozrywkowa. Obserwowałem to, mieszkając w lipcu u moich przyjaciół.

Rodzina Bryce'ów to ciężko pracujący ludzie, którzy w ciągu kilkunastu lat zbudowali od zera prosperującą firmę. Głęboko wierzący protestanci, którzy „narodzili się na nowo" (tzw. born again) w wierze, są przykładem na istnienie starej i zmitologizowanej Ameryki dającej uczciwym i niebojącym się ciężkiej pracy bogactwo. Mój przyjaciel Andy na początku tego wieku był robotnikiem naprawiającym dachy. Dziś jego firma American Roofing działa w kilku stanach, a on posiada w małym miasteczku West Winfield w stanie Nowy Jork (tam kończyłem liceum) kilka domów na wynajem. Jest też od kilkunastu lat burmistrzem miasteczka. Bryce'owie zaczynają swój dzień od oglądania w kuchni przy kawie porannego programu „Fox & Friends", będącego połączeniem śniadaniowej telewizji z politycznym komentarzem. Oglądalność programu wynosi dziś 1,4 mln. Liberalna „Morning Joe" w MSNBC ma 968 tys. widzów. „New Day" na CNN raptem 427 tys. Poranek Fox News jest nieprzerwanie numerem jeden amerykańskich stacji informacyjnych od 213 tygodni. Fox News wygrywa więc w każdym paśmie oglądalności. Nie tylko dzięki podawanej treści, ale także sposobowi jej prezentowania.

> Co najbardziej przeraża liberalno-lewicowy establishment, Fox News góruje nad konkurencją w przedziale wiekowym 25–54 lat, czyli wśród najbardziej świadomych wyborców

Nie można zapominać o sposobie prowadzenia szczególnie wieczornych show Foxa. Tucker Carlson czy Laura Ingraham pracowali dla MSNBC i CNN, więc nabierali doświadczenia również w mediach liberalnych. Znają mentalność liberałów i lewicy. Wiedzą, jaką strunę pociągnąć, by uzyskać pożądaną przez nich reakcje lewicowych „salonów". Oboje charakteryzują się bezczelnością, luzem i specyficznym poczuciem humoru. Irytują nim i przyciągają w równym stopniu. Są po prostu wyraziści. W polskich telewizjach informacyjnych brakuje takiego rodzaju osobowości. Najbliższy jej jest Michał Rachoń z TVP Info. Polskie stacje informacyjne nie mają też odwagi, by wpuszczać na antenę tak kontrowersyjne postacie, jak prowadzący „The Five" (piątka komentatorów w luźniejszy sposób rozmawia o wydarzeniach politycznych dnia) Greg Gutfeld. Ten komik z niewyparzonym językiem potrafi uderzyć równie mocno w lewicę, jak i prawicę. Wszystko z pozycji libertariańskich. Sam siebie określa jako ateistycznego agnostyka. W 2010 r. postulował zbudowanie obok meczetu w Nowym Jorku przyjaznego dla muzułmanów gejowskiego baru. Z drugiej strony Fox News daje na antenie miejsce dla wyciszonych i sięgających głęboko do myśli politycznej, teologii i filozofii programów prawnika Marka Levina. Ta różnorodność stylów publicystyki Foxa jest bardzo intrygująca i magnetyczna. Upieram się jednak przy swojej tezie, że to głównie oddalenie się od elitarności stoi za sukcesem stacji Murdocha.

Brycy'owie od początku popierali Trumpa. Już w prawyborach republikanów, gdy większość nawet konserwatywnych komentatorów pukała się w czoło na wizję Trumpa w Białym Domu, oni wierzyli, że ekscentryczny milioner wygra wybory. Dlaczego oni mieli rację, a nie ja, choć zajmuje się od lat komentowaniem amerykańskiej polityki? Oni czuli wiatr zmian widoczny na ekranie ich Fox News, który mówił po prostu ich głosem.

eprasa.pl 6f3e763147

Johnson i co dalej?

Boris Johnson, nowy premier Wielkiej Brytanii, traktuje swoją misję jako życiową szansę zarówno dla siebie, jak i dla swojego kraju. To będzie go mobilizowało do twardej gry o wielkość Zjednoczonego Królestwa. Choć zadanie, jakie przed nim stoi, jest niesamowicie trudne – uważają mieszkający w Londynie Polacy



Fot. Stuart Boulton/Shutterstock.com



JAROMIR KWIATKOWSKI
z Londynu

Adrian Grzegorzewski, listonosz, w Londynie od 17 lat, podkreśla, że w dobie przytłaczającego wpływu mediów na postrzeganie przez ludzi rzeczywistości, szczególnie tej związanej z bieżącą polityką, mieszkańcy Wielkiej Brytanii skazani są na obraz serwowany im przez mocno lewicujące radio, telewizję, prasę oraz portale internetowe.

– Niestety polska społeczność nie jest od tego wolna. Dlatego nowy premier jest przez nią postrzegany jako głupawy nierozgarnięty karierowicz, który swoją pozycję zawdzięcza zakulisowym machlojkom i bezwzględnemu parciu na szczyt władzy – przekonuje pan Adrian.

Porównania z Donaldem Trumpem są aż nadto czytelne. – Tych analogii jest rzeczywiście sporo – dodaje Grzegorz Małkiewicz. – Temperament, masa ciała, niekontrolowane wypowiedzi – wylicza. Pan Grzegorz przyjechał do Londynu w 1981 r., w drugiej połowie lat 80. obronił doktorat z filozofii w Oksfordzie. Obecnie jest wydawcą i redaktorem miesięcznika „Nowy Czas". To człowiek z opozycyjną kartą w życiorysie – studiował filozofię na UJ w tym samym roku, co Stanisław Pyjas. Po śmierci Pyjasa zaangażował się w działalność opozycyjną w Studenckim Komitecie Solidarności w Krakowie, w latach 1979–1980 był jego rzecznikiem. W sierpniu 1980 r. był obecny w Stoczni Gdańskiej przy narodzinach Solidarności.

Małkiewicz postrzega Johnsona bardziej jako felietonistę niż polityka. – Często przeszkadza mu to na scenie politycznej, bo mówi zbyt kolorowo, bywa w swoich wypowiedziach niepoprawny politycznie. Choć niektórym wyborcom się podoba, bo są zmęczeni poprawnością polityczną – tłumaczy wydawca „Nowego Czasu".

Adrian Grzegorzewski uważa jednak, że Boris Johnson wymyka się łatwemu zaszufladkowaniu. – Dziennikarze, skupieni na jego rozwichrzonej fryzurze i wyrwanych z kontekstu wypowiedziach, zdają się nie dostrzegać, że jest on błyskotliwym, niezwykle skutecznym i asertywnym graczem – przekonuje.

Tak czy owak pewnie rację ma Sławomir Wróbel, dziennikarz programu „Magazyn z Wysp", emitowanego w TVP Polonia, a także działacz społeczny mieszkający w Londynie od 15 lat, kiedy twierdzi, że już pierwsze dni urzędowania Johnsona potwierdziły, iż rządy nowego lokatora Downing Street 10 będą wyjątkowo atrakcyjne dla mediów.

„MAKE BRITAIN GREAT AGAIN"

Wróbel podkreśla, że przed nowym premierem stoi kilka bardzo poważnych wyzwań, które można zawrzeć w haśle „Make Britain great again" (Uczynić

eprasa.pl 6f3e763147

Brytanię znowu wielką). Najważniejszym jest oczywiście brexit. Z niego wywodzą się kolejne zadania, jak choćby utrzymanie Szkocji i Irlandii Północnej w ramach Zjednoczonego Królestwa czy zachowanie jedności Partii Konserwatywnej.

Na problem z Irlandią, Szkocją, ale także Gibraltarem, zwraca uwagę Grzegorz Małkiewicz, który uważa, że jeżeli rzeczywiście nowy premier miałby jakiś pomysł na brexit, lub szerzej – na niezależność Wielkiej Brytanii od struktur europejskich – to powinien zacząć negocjacje od Irlandii.

– Moim zdaniem Boris Johnson powinien się udać do Dublina, a nie do Brukseli – przekonuje wydawca „Nowego Czasu". – Trzeba dać Irlandczykom jakąś ofertę. Jeśli to nie nastąpi, premier znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji, bo Bruksela będzie bronić interesów Irlandii, a także wspólnoty europejskiej, jako że wyjście Wielkiej Brytanii z UE na warunkach postawionych przez Londyn osłabi struktury Unii. A na to Bruksela sobie nie pozwoli.

– Nowy premier zapewnił, że jest zdeterminowany w kwestii wyjścia Wielkiej Brytanii z UE 31 października na podstawie nowo wynegocjowanej umowy – podkreśla dziennikarz „Magazynu z Wysp". – Szansę na wyjście bez porozumienia określił jako jedną na milion. Do swojego przemówienia inauguracyjnego wplótł jednak wątek w iście churchillowskim stylu: „Nasze porty, banki, fabryki, firmy i szpitale będą gotowe na »no deal«".

Zdaniem Sławomira Wróbla oznacza to, że Johnson wyraźnie wzmacnia pozycję negocjacyjną swojego rządu, torując mu drogę awaryjną. Jego nowy, ultrabrexitowy gabinet też potwierdza tezę, że nowy premier chce zmienić pozycję swego kraju w negocjacjach z roli zakładnika na bardziej partnerską.

Nasz rozmówca wskazuje jednak na cechę obecnego lokatora Downing Street 10, która nie pomaga w tych prognozach: – Przysłuchując się temu, co mówi Boris Johnson, trzeba pamiętać, że tak jak potrafi świetnie komunikować się z mediami i uwodzić wyborców, tak nigdy nie był nadmiernie przywiązany do swoich deklaracji.

Zdaniem Wróbla zasadne jest więc postawienie kilku pytań. Co jest zasłoną dymną? Czy zapewnienia o gotowości bezumownego wyjścia z UE są przykrywką do gry o większe ustępstwa Brukseli? A może same negocjacje będą tylko grą pozorów, bo Boris Johnson chce wyprowadzić Wielką Brytanię bez umowy?

– Te wątpliwości paradoksalnie wzmacniają pozycję negocjatorów brytyjskich – przekonuje Sławomir Wróbel. I dodaje: – Następczyni Junckera Ursula Von der Leyen już zadeklarowała możliwość wydłużenia czasu potrzebnego do rozmów. Nie zapominajmy też, że na stole negocjacyjnym leży 39 mld funtów brytyjskich, które mogą, lecz nie muszą, trafić do unijnej kasy. Do gry bardziej serio niż dotychczas mogą dołączyć też Stany Zjednoczone. To wszystko wskazuje, że bierna pozycja negocjacyjna, jaką przyjęła Theresa May, jest już przeszłością.

> Wpływ na to, że wielu Polaków wraca do ojczyzny, ma nie tylko brexit, lecz również słaby kurs funta oraz poprawa na rynku pracy w Polsce

Podobnie uważa Adrian Grzegorzewski. Jego zdaniem premier Johnson na pewno będzie dla kierujących Unią Europejską politykiem o wiele trudniejszym do zdominowania niż jego poprzedniczka.

A zatem, czy dojdzie do brexitu, a jeżeli tak, to na jakich zasadach?

– Nie stawiałbym dzisiaj śmiałych tez – podkreśla Sławomir Wróbel. – Nie wykluczam żadnego scenariusza. Osobiście na równi stawiam „no deal" z wyjściem na podstawie nowej umowy (niekoniecznie 31 października). Nie zdziwi mnie również, jeśli do brexitu nie dojdzie.

Grzegorz Małkiewicz zgadza się, że dziś bardzo trudno coś prognozować. – Brany jest pod uwagę niekonstytucyjny scenariusz, że Boris Johnson zawiesza parlament i w tym okresie, kiedy go nie ma, a funkcjonuje rząd, Wielka Brytania wychodzi ze struktur unijnych, po czym Johnson musi rozpisać nowe wybory – tłumaczy. Tyle że – zdaniem mojego rozmówcy – ich wynik trudno przewidzieć, bo kraj jest jeszcze bardziej podzielony, niż był krótko po referendum.

– Na pewno czeka nas kilka emocjonujących miesięcy – twierdzi Adrian Grzegorzewski. I dodaje: – Moim zdaniem jedno jest pewne. Czy brexit nastąpi, czy nie, czy będzie to rozwiązanie typu „no deal", czy za porozumieniem z UE, nowy premier traktuje swoją misję jako życiową szansę zarówno dla siebie, jak i dla swojego kraju.

Podobnie uważa Sławomir Wróbel: – Trzeba pamiętać, że Johnson nie jest wierny swoim przekonaniom. Ale dla brytyjskiego polityka funkcja premiera to ukoronowanie kariery, a Boris Johnson na pewno ma ambicję nie tylko pełnienia tej funkcji, ale także przejścia do historii. To będzie go mobilizowało do twardej gry o wielkość Wielkiej Brytanii.

– Czy jednak będzie w stanie wynegocjować z Unią Europejską lepsze warunki? – zastanawia się Grzegorz Małkiewicz. I odpowiada: – Moim zdaniem nie, bo UE musi bronić swoich struktur i integralności. Zadanie jest bardzo trudne. Nie widzę takiej możliwości. Wątpię też w zdolności negocjacyjne Johnsona.

KTO JEST KOMU BARDZIEJ POTRZEBNY

Co mieszkającym na Wyspach Polakom mogą przynieść zmiana premiera i perspektywa brexitu? Moi rozmówcy są zgodni, że nasi rodacy raczej nie powinni mieć powodów do obaw. Grzegorz Małkiewicz przypomina, że wcześniejsze deklaracje Theresy May i obecne Borisa Johnsona nie pozostawiają wątpliwości, że Polacy, którzy już mieszkają i pracują na Wyspach, zachowają swoje przywileje.

eprasa.pl 6f3e763147



W długofalowej perspektywie może się okazać, że wystąpienie Wielkiej Brytanii ze skostniałej i przeregulowanej gospodarki UE przyczyni się do szybszego rozwoju Zjednoczonego Królestwa, a to przełoży się na lepsze zarobki. Także Polaków tam mieszkających

Fot. J. Davidson/Shutterstock.com

– Trzeba pamiętać, że Wielka Brytania jest jednak krajem demokratycznym o dużych tradycjach i prawo nigdy nie działało tu wstecz – podkreśla wydawca „Nowego Czasu". – Jeżeli więc ktoś nabył prawo do pobytu, to zostanie ono zachowane.

– Boris Johnson w przemówieniu inauguracyjnym zapewnił o utrzymaniu wszystkich praw dla obywateli UE mieszkających na terenie Zjednoczonego Królestwa – przypomina Sławomir Wróbel. Lecz zaraz dodaje: – Najlepszym gwarantem dla Polaków jest jednak ekonomia. Nasza obecność i praca na Wyspach skarbowi Jej Królewskiej Mości po prostu się opłaca.

Zdaniem dziennikarza „Magazynu z Wysp" wyjście Wielkiej Brytanii ze wspólnoty europejskiej byłoby dla mieszkających tam Polaków rozwiązaniem gorszym.

– Zakres praw, jakie nam przysługują obecnie, na pewno się wtedy nie zwiększy, a wręcz może ulec delikatnej korekcie w dół – uważa Wróbel. – Dotyczyć to będzie szczególnie osób, które chciałyby dopiero przyjechać na Wyspy.

Jednak, jak podkreśla, obserwuje się obecnie trend odwrotny: Polacy z Wielkiej Brytanii wyjeżdżają. Oficjalna liczba naszych rodaków mieszkających nad Tamizą w ostatnim roku zmniejszyła się o ponad 100 tys., czyli o ok. 10 proc. A to nie koniec powrotów do ojczyzny.

Podobne zjawisko obserwuje także Grzegorz Małkiewicz: – Liczba Polaków przyjeżdżających do Wielkiej Brytanii utrzymywała się przed referendum na dość wysokim poziomie. Znam nawet przypadki osób, które wracały do Polski, spróbowały szczęścia w kraju przez rok czy dwa i wracały do Londynu. Jednak turbulencje polityczne w Wielkiej Brytanii spowodowały, że sporo Polaków wraca do ojczyzny.

Zdaniem mojego rozmówcy te powroty interpretuje się najczęściej jako konsekwencję zapowiedzi brexitu, choć niekoniecznie akurat to musi być ich przyczyną. Często o podjęciu decyzji o powrocie decydują np. względy osobiste.

– Wpływ na to, że wielu Polaków wraca do ojczyzny, ma nie tylko brexit, ale również słaby kurs funta oraz poprawa na rynku pracy w Polsce – uważa Sławomir Wróbel. – Wielka Brytania nie jest już mekką dla młodych Polaków. To Polacy są bardziej potrzebni Wielkiej Brytanii niż Wielka Brytania Polakom. Nie zmienia to faktu, że nikt nie lubi niepewności. Dlatego nie dziwi, że niektóry nasi rodacy mają jednak pewne obawy.

Adrian Grzegorzewski ma jeszcze inne obserwacje: Polacy zdają się nie przejmować zbytnio ani tym, co objęcie stanowiska premiera przez Borisa Johnsona oznacza dla nich samych, ani tym, czy w ogóle do brexitu dojdzie. Zgodnie z zasadą „jakoś to będzie".

– Tak naprawdę nie mamy większego wpływu na to, czy Wielka Brytania opuści UE, czy nie – podkreśla Grzegorzewski. – Jesteśmy skupieni bardziej na budowaniu codziennego życia i zapewnieniu sobie i bliskim jak najlepszych warunków egzystencji. Oczywiście odczuwamy na co dzień wzrost cen, udziela nam się niepokój o to, czy nasz status jest w jakikolwiek sposób zagwarantowany, ale nie łączymy tego z objęciem sterów państwa przez któregokolwiek konkretnego polityka. Chyba wciąż jednak interesuje nas sytuacja polityczna w Polsce, zwłaszcza że w większości naszych domostw dostępna jest polska telewizja satelitarna.

Jednak Grzegorzewski przyznaje, że Boris Johnson bardziej interesuje się polską społecznością na Wyspach niż jego poprzednicy: – Spotyka się z przedstawicielami polskich organizacji społecznych, pamięta o nas i jest na bieżąco z tym, co jest dla nas, mieszkających na Wyspach Polaków, istotne – wyjaśnia. I dodaje: – Wynika to chyba z faktu, że pełnił on wcześniej funkcję burmistrza Londynu, gdzie Polacy stanowią jedną z najliczniejszych mniejszości narodowych. Czy przełoży się to na konkretną dbałość o nasze sprawy? Czas pokaże. W mojej opinii jest na to większa szansa niż w przypadku objęcia teki premiera przez kogokolwiek innego.

Sławomir Wróbel zwraca uwagę na jeszcze jeden aspekt, który może mieć wpływ na sytuację Polaków w Wielkiej Brytanii: w przypadku bezumownego wyjścia z UE Wielka Brytania musi podpisać dwustronne umowy o współpracy z poszczególnymi krajami Unii.

– Jak na razie również te negocjacje idą jak po grudzie. Polska mająca z Wielką Brytanią od trzech lat partnerstwo strategiczne, w którego ramach dwa razy do roku spotykają się rządy obu państw, może się stać dla Wielkiej Brytanii w bliskiej przyszłości swoistym oknem na UE. Takie okazje nie są dostępne codziennie. Wykorzystajmy to – zachęca dziennikarz „Magazynu z Wysp".

Nie wyklucza także, że w długofalowej perspektywie może się okazać, iż wystąpienie Wielkiej Brytanii ze skostniałej i przeregulowanej gospodarki UE przyczyni się do szybszego rozwoju Zjednoczonego Królestwa, a to przełoży się na lepsze zarobki.

– Pytań jest więc wiele, a odpowiedzi na nie może przynieść dopiero przyszłość – podkreśla Wróbel.

eprasa.pl 6f3e763147



R jak rocznica Powstania Warszawskiego

Dr Hanna Karp, medioznawca

Tegoroczną 75. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego uczczono wyjątkowo. Były akcenty państwowe i religijne. Uroczystości rozpoczęły się już 27 lipca. W stolicy odbywały się liczne koncerty, uliczne gry, otwierano wystawy związane z powstaniem. Symbolicznym i poruszającym nieodmiennie momentem była godzina „W", gdy zamarł krwiobieg miasta wśród przejmującego dźwięku syren. Wielu dla tej jednej minuty przyjechało z daleka. Fenomen wstrzymującego oddech miasta od lat zdumiewa i porusza nie tylko zachodnich turystów, lecz również samych mieszkańców Warszawy. Stolica zanurzona przed chwilą w miejskim gwarze staje w środku zatrzymanego czasu. Scena wydawałoby się jak z filmowego scenariusza. Wymarzony moment dla fotografów i reporterów. Żeby zrozumieć współczesną Warszawę, trzeba tam wtedy być.

Powstanie to największa akcja zbrojna podziemia w okupowanej przez hitlerowskie Niemcy Europie. Ta prawda z trudem przebija się do światowej opinii publicznej. Wciąż trudno jest zagranicznym turystom odwiedzającym Warszawę uwierzyć, że walka zakończyła się kapitulacją dopiero po 63 dniach. Jeszcze trudniej przyjąć prawdę o tym, że zginęło w nim ok. 18 tys. powstańców i 150–200 tys. ludności cywilnej. Skąd mają jednak o tym wiedzieć, skoro o uroczystościach upamiętniających tamten bohaterski zryw nie mogą przeczytać w swojej prasie nawet sami Polacy? Wyobraźmy sobie czytelnika, który po latach będzie chciał poznać informacje o tegorocznych obchodach i sięga po wiadomości o wydarzeniu do ośmiu ogólnopolskich dzienników. Czego by się dowiedział? Odpowiedzmy sobie na to pytanie już dziś.

„NASZ DZIENNIK"

„Nasz Dziennik" poświęcił obchodom czołowe miejsce na jedynce, jest duża fotografia sprzed pomnika Powstańców Warszawy na pl. Krasińskich. Jest tekst „Ofiara Warszawy", który odesłał czytelnika na stronę czwartą do fotoreportażu i ciągu dalszego opisu uroczystości. Redakcja w dalszej części publikacji, prezentując fotoreportaż, podkreśliła, że sposób upamiętniania powstania przybiera formę niespotykaną na skalę światową.

„DZIENNIK GAZETA PRAWNA"

Tu ani na jedynce, ani nigdzie indziej nie ma śladu obchodów rocznicy powstania. Gazeta w wydaniu tzw. weekendowym prezentuje na okładce wielką grafikę: but biegacza w bloku startowym i tytuł obok: „Wyborcze przedbiegi". Nagłówki zapowiadają teksty w środku, w tym zajawkę obszernego dwukolumnowego wywiadu z Adą Willenberg pod tytułem: „Proszę spojrzeć, to jest życie Treblinki". Temat Powstania Warszawskiego w tej rozmowie jedynie przewija się w tle. Mowa jest głównie o niemieckim obozie w Treblince. Gazetę wydaje spółka Infor Biznes. Do 2018 r. 51 proc. udziałów w niej miał Ryszard Pieńkowski, a 49 proc. należało do niemieckiego wydawcy Axel Springer Polska. W marcu 2018 r. spółka Pieńkowskiego odkupiła od Axel Springer Polska resztę udziałów Infor Biznes. „Patrzymy obiektywnie. Piszemy odpowiedzialnie" – to motto pod logo gazety. W powyższym kontekście brzmi dziwnie. Raczej jak żart.

„TRYBUNA"

Jest taki tytuł. Po wielu metamorfozach, do 1989 r., ukazywał się jeszcze jako „Trybuna Ludu", dziś chce być postrzegany jak dziennik o profilu lewicowym. Wydawany przez bliżej nieznaną spółkę z o.o. o „polskiej" nazwie... Polish Scientific Group. Na pierwszej stronie, w tabloidowym stylu, owszem, jest jedna wielka fotografia... prezydenta Andrzeja Dudy z napisem: „My, pierwsza Brygada Świętokrzyska". O obchodach rocznicy wybuchu powstania próżno szukać. Jedynie zajawka wspomnień z powstania zatytułowanych: „W buraczkach". Tekst ma podtytuł „Mniej poważne wspomnienia z Powstania Warszawskiego". Do tej gazety warto będzie wrócić. Poziom propagandy, fascynujący z punktu widzenia poznawczego na poziomie putinowskiego Sputnika.

eprasa.pl 6f3e763147

„SUPER EXPRESS"

A co w tabloidach? Czy coś zauważyły? Cała okładka w wakacyjnym stylu: „Gwiazdy ekranu odpoczywają w Juracie", dalej Kamil Durczok i informacja, że „Zabiorą mu pistolety". Jest też jednak... w prawym dolnym rogu mała warszawska syrenka i niewielki napis: „Warszawa – oddali hołd powstańcom". W środku na dwójce już tylko Kamil Durczok. Na stronie czwartej felieton Tomasza Walczaka „Powstanie 44" – krótki powrót do sporu o sens powstania. Obok wywiad z Janem Ołdakowskim, dyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego. Więcej o obchodach tylko w dodatku warszawskim. Jest reportaż z tego dnia, krótki tekst i sylwetka Janiny Różeckiej, żołnierza AK z zgrupowania „Żywiciel". Wszystko schowano na kolumnach dodatku.

„FAKT"

A ten tabloid? Także nie zawraca głowy czytelnikom powstańczą tematyką. Na jedynce stary „kotlet" wakacyjny – wielki napis: „Rządowym samolotem na narty!" i fotografia marszałka Marka Kuchcińskiego w stroju narciarza na zimowym stoku. Temat, o którym w październiku już nikt nie będzie pamiętał. Co jeszcze na pierwszej stronie? Aktorka Elżbieta Zającówna i „Olszański zostaje w telewizji", a „Siwiec zaszokowała na plaży". Na stronie drugiej króciutki komentarz szefa działu „Warszawa" o obchodach powstania. Redaktor Burkiewicz bije na alarm! Trzy czwarte tekstu poświęcone temu, że za kilka dni prezydent RP zostanie patronem rocznicy powołania Brygady Świętokrzyskiej NSZ. O warszawskich obchodach powstania są informacje, owszem, w dodatku „Warszawa". Jest fotoreportaż i fotografia uczestniczki powstania Janiny Prusak (91 lat) z podpisem: „Nigdy więcej wojny!". A to znaczy, że czytelnik wydań krajowych nie przeczyta nawet zdania o obchodach rocznicy powstania.

„GAZETA WYBORCZA"

Jedynkę otwiera wielki tytuł: „Krucjata anty-LGBT". Autorka tekstu udowadnia spisek polskich „radykałów religijnych, skrajnej prawicy PiS i Rosji" przeciwko gejom, lesbijkom, transwestytom, biseksualistom etc. Na dole na podwale czarna zamazana dymem fotografia z młodzieżą i dzieckiem ciągnącym zapaloną racę na rondzie Dmowskiego. I tekścik zajawka – „Godzina »W« w stolicy". „O godz. 17 odśpiewano tu »Rotę«" – pisze na koniec przerażony redaktor, odsyłając na stronę dziewiątą gazety. Tam tekst o powstańcach, którzy występują „przeciw hejtowi i dyskryminacji". Na stronie drugiej fotografia z podpisem: „Powstaniec udziela wywiadu dla Euronews". Reporter klęczy przed powstańcem siedzącym na inwalidzkim wózku. Czytamy, że fotografia została wykonana 1 sierpnia 2019 r. przy ul. Filtrowej 68 w Warszawie. W dodatku warszawskim gazety jest tekst w „Rocznicę powstania" pod tytułem: „Nie wolno nienawidzić" i zdjęcie z grupką ludzi na tle Pałacu Kultury. Tekst jest o tym, jak Warszawa chciała przeciwstawić się narodowcom, ich hasłom i symbolom. Tekst nie jest podpisany, ma odsyłacz na strony cyfrowe gazety.

„GAZETA POLSKA CODZIENNIE"

Tu informacje kontrastują z przekazem „Gazety Wyborczej". Czytelnik nie może mieć wątpliwości, co działo się w Warszawie poprzedniego dnia: „Cześć i chwała Bohaterom!" brzmi wielki tytuł. Dalej informacja o ogólnopolskich uroczystościach upamiętniających 75. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Tekst jest na tle barwnej wielkiej fotografii z młodymi ludźmi na rondzie Dmowskiego w godzinę „W". Strona piąta gazety i cały „Dodatek Mazowiecki" poświęcone są także obchodom rocznicy. Znajdziemy tu opis godziny „W" na Mokotowie, który bronił się 57 dni, skutecznie zatrzymując napór niemieckich oddziałów od strony południowej i ich atak na Śródmieście.

„POLSKA THE TIMES. METROPOLIA WARSZAWSKA"

Na pierwszej stronie grafika, wielka klepsydra z przesypującym się piaskiem „Wakacje na półmetku. Nasz przewodnik po niesamowitych miejscach" – czytamy wielki tytuł. Jedyny element nawiązujący do obchodów powstania to „Biegajmy razem", czyli 29 bieg Powstania Warszawskiego, na stronie piątej. „Biegajmy razem" – „Biegacze oddali hołd bohaterom", obok fotografie biegnących zawodników. Autora tekstu brak. A co w specjalnym dodatku? Wakacje: „Ucieczka od miejskiego zgiełku. Piękno i mistyka Pomorza". O Powstaniu Warszawskim materiały historyczne na stronach 32 i 34. Rzecz o Batalionie „Parasol" i walkach powstańczych autorstwa Mariusza Grabowskiego. Brak jakichkolwiek odniesień do aktualnych obchodów rocznicy powstania. Wydawca? Verlagsgruppe Passau – niemiecka grupa medialna z Bawarii, w Polsce pod szyldem Polska-presse. Ta sama, która włada całą naszą prasą regionalną.

RELACJA TELEWIZJI PUBLICZNEJ

1 sierpnia szczególnie zapisała się w pamięci akcja muzyczna „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki", wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru. Na placu Piłsudskiego zgromadziło się ponad 50 tys. Polaków. Koncert transmitowała na żywo telewizja publiczna. Nadzwyczajny odbiór, ok. 3 mln widzów. Tylko dzięki tej relacji można było szeroko dowiedzieć się o koncercie i innych uroczystościach, uczestniczyć w nich na żywo.

KONKLUZJA

W ostatnim felietonie wspomniałam o poruszaniu się drogą, na której bezpieczeństwo informacyjne kraju to często nieuświadomiona fikcja. Myślę, że powyżej jest dobry, choć pierwszy z brzegu, mogący wyglądać na przypadkowy i pozornie niezbyt istotny tego przykład. Gdybyśmy chcieli z wysokonakładowej prasy drukowanej dowiedzieć się, co działo się w stolicy 1 sierpnia 2019 r., nie byłoby to możliwe. Na osiem dzienników ogólnokrajowych tylko dwa niskonakładowe zamieściły informacje o obchodach („Nasz Dziennik" i „Gazeta Polska Codziennie"). Trzy ogólnopolskie gazety („Wyborcza" i dwa tabloidy) zamieściły zredukowany, a „Wyborcza" bardzo pokrętny przekaz o tym, w jednym (warszawskim) dodatku regionalnym. Bez radia i telewizji publicznej o wielodniowych obchodach rocznicy powstania Polacy, poza Warszawą, właściwie niczego by się nie dowiedzieli. Nie do wiary, prawda?

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. NAC, Biblioteka Narodowa (2)

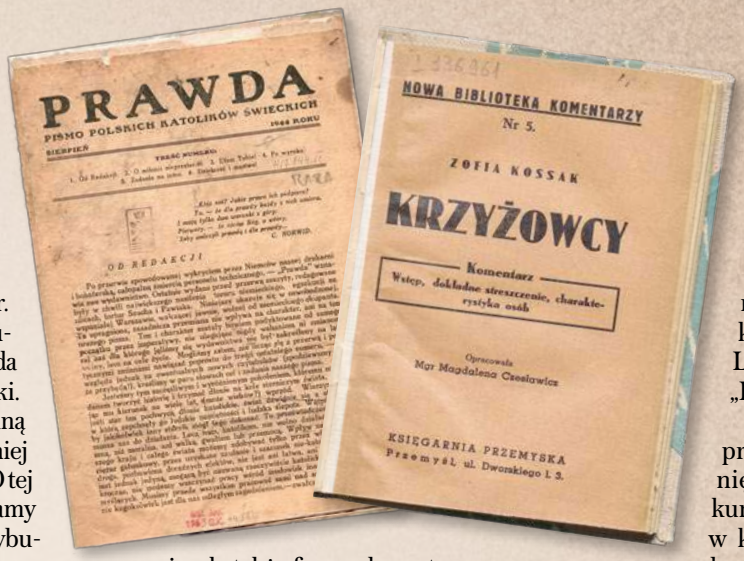
Świetlana postać

Wybitna pisarka i publicystka. Autorka wielu bestsellerów. W Hollywood bliskie ekranizacji były jej książki „Bez oręża" i „Przymierze", a za „Krzyżowców", najważniejsze swoje dzieło literackie, mogła dostać Nagrodę Nobla. Takie sukcesy były bliskie, ale zawsze pojawiały się jakieś przeszkody, jak w całym jej życiu, pełnym kontrastów i dramaturgii

Wcześnie zaczęła się ocierać o śmierć. Już w dzieciństwie straciła prawie całe rodzeństwo. W dorosłym życiu też musiała ją oswoić, aby się nie załamać i dalej żyć. W wieku 34 lat owdowiała. Wkrótce po śmierci pierwszego męża nagle zmarł jej 10-letni syn. Z kolei dorosły syn zaginął w czasie II wojny światowej. Chyba nigdy się nie dowiedziała, że w 1943 r. został stracony w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Zofię Kossak nazywa się kobietą „najdzielniejszą z dzielnych". Mężna wewnętrznie. Silna i wysportowana, dobrze jeździła konno. Nie bała się ryzyka ani w młodości, ani w dojrzałym wieku. Doskonale pasuje do niej określenie „niezłomna", ale również konspiracyjny pseudonim z okresu okupacji – bohaterska Weronika.

Jak zauważa biografka pisarki dr Joanna Jurgała-Jureczka, Zofia Kossak, która innych zapalała w imię dobra nawet do skrajnie niebezpiecznych działań, była zarazem bardzo kobieca i wrażliwa – niewysoka, czarnowłosa, czarnooka – po prostu śliczna. Wychowana w rodzinie malarzy i literatów, chciała być malarką i pójść śladami nestora rodu Juliusza Kossaka oraz wuja Wojciecha Kossaka, bliźniaczego brata swojego ojca Tadeusza. Studiowała nawet malarstwo w Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie (1912–1913) i rysunek w École des Beaux-Arts w Genewie (1913–1914). Na decyzję, aby poświecić się pisarstwu, wpłynął sukces jej pierwszej książki „Pożoga. Wspomnienia z Wołynia 1917–1919", wydanej w Krakowie w 1922 r.

eprasa.pl 6f3e763147



ZACHOWYWAŁA SIĘ, JAK TRZEBA

Przyszła na świat 10 sierpnia 1889 r. w Kośminie nad Wieprzem na Lubelszczyźnie. W tym roku przypada więc 130. rocznica urodzin pisarki. To okazja, aby przybliżyć „świetlaną postać pani Zofii Kossak" – jak o niej powiedział kard. Karol Wojtyła. O tej wielkiej polskiej pisarce pamiętamy również z okazji 75. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego.

Podczas II wojny światowej twórczość literacką zamieniła na działalność konspiracyjną. Z pisarza stała się żołnierzem, a w 1944 r. – warszawskim powstańcem. Śmiało wkroczyła w działalność polskiego podziemia, współtworzyła m.in. Front Odrodzenia Polski, który potem wszedł w skład Społecznej Organizacji Samoobrony. Jeżeli w czasie okupacyjnej zawieruchy siadała przy maszynie, to przede wszystkim w tym celu, aby przygotować teksty do prasy podziemnej. Pisała wieczorami i nocami, a w ciągu dnia znikała w zaułkach Warszawy, aby pomagać mieszkańcom stolicy, których życie było zagrożone, i działać w podziemiu. Zawsze „zachowywała się, jak trzeba".

PISARZ I ŻOŁNIERZ

Jej życie wplecione było w historię Polski zmagającej się z okrutnymi totalitaryzmami: bolszewizmem i hitleryzmem. To wszystko Zofia Kossak opisała w swoich historycznych książkach. A właściwie, jak mówiła: „Książki te pisały dzieje, a nie ja". Przez Niemców skazana na śmierć, przez komunistów – na zapomnienie.

W czasie niemieckiej okupacji służyła ojczyźnie przede wszystkim literackim i publicystycznym talentem. Podziemne organy prasowe, które Zofia Kossak prowadziła lub współredagowała, to: „Polska Żyje", „Orlęta", „Biuletyn Informacyjny", „Miecz i Pług", „Prawda", „Prawda Młodych", „Polska Zbrojna Moralnie", „Znak", „Rzeczpospolita Polska", „Barykada Powiśla". Teksty tam publikowane stanowiły odpowiedź na niemieckie gadzinówki zakłamujące okupacyjną rzeczywistość. Wśród konspiracyjnych publikacji Zofii Kossak były broszury, odezwy, reportaże, eseje, ale także formy dramatyczne, np. z cyklu „Dialogi o życiu i śmierci". Warto sięgnąć dzisiaj do „Dekalogu Polaka" Zofii Kossak z 1940 r., podtrzymującego morale społeczeństwa i mobilizującego do czynu patriotycznego.

> Za ratowanie Żydów pisarka pośmiertnie została odznaczona przez izraelski instytut Yad Vashem medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata

ŻYDOM NA RATUNEK

Zofia Kossak, w związku z eskalacją niemieckich zbrodni na Żydach w warszawskim getcie, przygotowała „Protest", opublikowany 11 sierpnia 1942 r. Wyręczyła w ten sposób międzynarodowe rządy, których stanowiska i konkretnej reakcji w obliczu ludobójstwa nie można się było doczekać. W „Proteście" napisała m.in.: „Świat patrzy na tę zbrodnię, straszliwszą niż wszystko, co widziały dzieje – i milczy. Rzeź milionów bezbronnych ludzi dokonywa się wśród powszechnego, złowrogiego milczenia [...]. Krew bezbronnych woła o pomstę do nieba. Kto z nami tego protestu nie popiera – nie jest katolikiem". „Protest" Zofii Kossak sprawił, że do publicznej wiadomości dotarły i zostały stanowczo potępione fakty dotyczące zagłady, którą Niemcy rozpętali na ulicach stolicy, szczególnie za murami getta, a także w innych europejskich miastach. Tekst „Protestu" został rozrzucony po całym kraju, dotarł również do Londynu. Żydzi, czytając „Protest", płakali.

Pomagała Żydom poprzez dostarczanie pieniędzy, fałszywych dokumentów, lokowanie ich w kryjówkach i doprowadzanie na noclegi. Przechowywała Żydów również w swoim mieszkaniu, u rodziny i znajomych. A wiadomo, że groziła za to śmierć.

Tragiczna sytuacja Żydów wymagała podjęcia natychmiastowych zorganizowanych działań ratunkowych. W porozumieniu z Delegaturą Rządu na Kraj i dowództwem AK, dzięki staraniom Zofii Kossak i Wandy Krahelskiej-Filipowiczowej, został powołany Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom im. Konrada Żegoty – pierwsza konspiracyjna organizacja ratująca ludność żydowską w okupowanej Europie. Komitet przekształcony został w Radę Pomocy Żydom. Konspiracyjny kryptonim Żegota, którym Rada się posługiwała, był pomysłem Zofii Kossak i nawiązywał do postaci z „Dziadów" Adama Mickiewicza. W strukturach Żegoty działała m.in. Irena Sendlerowa.

Z NARAŻENIEM ŻYCIA

Chociaż wiedziała, że widnieje na liście osób poszukiwanych przez gestapo – w związku z publikowaniem przed wojną tekstów, w których przedstawiała Niemców jako odwiecznych wrogów Polaków, germanizujących polską ludność – to jednak była zdecydowana poświęcić swoje życie, aby ocalić zagrożonych ludzi. A co odczuwało wtedy serce matki, dowiadujemy się z listu, który Zofia Kossak napisała po wojnie: „Pamiętam, jak kiedyś przeprowadzałam z Powiśla na Śniadeckich Żydówkę, Witold osobno na ten sam punkt prowadził jej męża, a Anna – córkę, swoją rówieśnicę. Cała rodzina miała typ jaskrawo semicki, bijący w oczy. Boże, jakże się bałam o te moje dzieci! Patrzałam z okna, jak Witold wychodził, prowadząc przyjacielsko pod rękę skulonego

eprasa.pl 6f3e763147

niskiego Żyda, pochylał się nad nim, jak śliczny anioł opiekuńczy, opowiadając »coś ogromnie ciekawego«. Potem Anna roześmiana, w podskokach, ciągnąc za rękę swoją niby koleżankę, słaniającą się ze strachu. Nigdy nie zapomnę tego okropnego uczucia lęku, tego poczucia, że własne najukochańsze dzieci narażam na śmierć prawie pewną. A z drugiej strony to przeświadczenie, że to przecież obowiązek. A potem ta radość szalona i wdzięczność Bogu, gdy po półtorej godzinie spotkaliśmy się na Powiślu cali i zdrowi, ze świadomością, że »podopieczni« zostali szczęśliwie doprowadzeni, gdzie należy".

A przecież w niektórych środowiskach Zofia Kossak uważana była za „antysemitkę" – bo przed wojną broniła interesów Polaków przed zalewem żydowskich towarów i usług. Te niesprawiedliwe głosy nieco ucichły, gdy za ratowanie Żydów pisarka pośmiertnie została odznaczona przez izraelski instytut Yad Vashem medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

W NIEMIECKIM PIEKLE

W 1943 r. Zofia Kossak przypadkowo została aresztowana na Tamce przez uliczny patrol, gdy jako Zofia Śliwińska niosła „bibułę". Trafiła do więzienia na warszawskim Pawiaku. Traktowana była okrutnie. W czasie przesłuchania wybito jej zęby. Z Pawiaka została przetransportowana do niemieckiego obozu zagłady Auschwitz II Birkenau. Gdy leżała chora na tyfus i była bliska śmierci, na obozowej desce napisała: „ Każdej chwili mego życia wierzę, ufam, miłuję".

W 1944 r., po odkryciu jej prawdziwego nazwiska, służby więzienne czyniły wszystko, aby śmiertelnie chorą więźniarkę uratować i przewieźć do Warszawy na przesłuchanie. Ale na gestapo nie chciała nic powiedzieć ani współpracować, została więc skazana na śmierć. Gdy wydawało się, że nadszedł moment egzekucji, ukradkiem dostała do spożycia okruch przemyconej do więzienia konsekrowanej hostii. A było to możliwe dzięki akcji, którą wcześniej osobiście zainicjowała. Otóż już w 1942 r., z pozwoleniem biskupa, zorganizowała ekipę do przenoszenia konsekrowanych komunikantów czy hostii dla więźniów zamkniętych na Pawiaku. Hostie, zabierane z kościoła Świętego Krzyża w Warszawie,



Zofia Kossak-Szczucka na kiermaszu książki, maj 1962 r.

Fot. DANUTA B. ŁOMACZEWSKA / EAST NEWS

były przeznaczone dla skazańców, którzy szli na rozstrzelanie. Przed egzekucją dostawali fragment hostii ukrytej w pudderniczce Zofii Kossak z podwójnym dnem lub w medalionie jej przyjaciółki Marii Kann. (Te damskie bibeloty można dzisiaj zobaczyć w jasnogórskim skarbcu, gdzie zostały złożone jako wota). Zachowała się komentująca to wydarzenie notatka pisarki ze słowami: „Kiedyś tą szczęśliwą byłam ja", czyli tą, która otrzymała ukradkiem dostarczoną komunię świętą.

Ostatecznie 29 lipca 1944 r. Zofia Kossak z więziennego dziedzińca została wyprowadzona do bocznego wyjścia na ulicę i odzyskała wolność. Udało się ją wydostać z Pawiaka po usilnych staraniach polskiego podziemia oraz przedstawicieli Delegatury Rządu na Kraj.

Zaraz po uwolnieniu z Pawiaka Zofia Kossak, ważąca zaledwie 47 kg, a więc skrajnie wychudzona, wraz ze swoimi dziećmi poszła do Powstania Warszawskiego. Pisała wtedy m.in. do „Biuletynu Informacyjnego" i „Barykad Powiśla". 16-letnia córka pisarki Anna Szatkowska działa jako sanitariuszka, a 18-letni syn Witold Szatkowski walczył w batalionie „Dzik" na Starym Mieście, a potem w Śródmieściu.

NIEZNANE ŚLADY

Po kapitulacji Zofia Kossak, jak wielu powstańców, musiała uciekać z płonącej Warszawy, będącej wtedy gruzowiskiem, a zarazem wielką kaplicą, z lasem pospiesznie ustawionych krzyży, znaczących miejsca pochówku powstańców i mieszkańców stolicy. Z córką Anną, którą odnalazła w Milanówku, dotarła do Częstochowy. Zabrała z sobą tylko obraz Matki Bożej Częstochowskiej, który w czasie okupacji za ostatnie pieniądze kupiła w sklepie z dewocjonaliami przy Krakowskim Przedmieściu. Długo częstochowski etap życia Zofii Kossak był mało znany, gdyż ukrywała się wtedy

eprasa.pl 6f3e763147

pod zmienionym nazwiskiem. Wiemy, że rano uczestniczyła we mszy świętej przed Cudownym Obrazem Matki Bożej na Jasnej Górze i była bardzo aktywna w konspiracji. Do Częstochowy dotarło wiele osób związanych z Polskim Państwem Podziemnym.

Zofia Kossak przyczyniła się do wznowienia „Niedzieli", zamkniętej podczas okupacji. W opinii powojennego redaktora naczelnego ks. Antoniego Marchewki była pierwszym i najważniejszym redaktorem „Niedzieli". Co tydzień publikowała swoje teksty, chociaż nie mogła ich jeszcze podpisywać własnym nazwiskiem. Systematycznie drukowała na łamach przede wszystkim „Lagier", wspomnienia więźniarki KL Auschwitz, które w wydaniu książkowym ukazały się w 1946 r. pt. „Z otchłani".

W lipcu 1945 r. Zofia Kossak musiała wyjechać na Zachód. Minister w komunistycznym rządzie Jakub Berman, zaufany człowiek Moskwy, który z pochodzenia był Żydem, wezwał ją do Warszawy i ostrzegł, że „jest spalona", musi więc uciekać z kraju. Osobiście pomógł jej załatwić formalności i zdobyć potrzebne dokumenty. Spłacił w ten sposób rodzinny dług, gdyż dowiedział się, że Zofia Kossak ratowała żydowskie dzieci z warszawskiego getta, z którego uszedł też jego brat Adolf Abraham Berman i potem włączył się w działania Żegoty.

NA EMIGRACJI

Po wyjeździe z Polski pisarka krótko przebywała w Szwecji, a następnie w Anglii – na początku w Londynie, gdzie wreszcie spotkała się z mężem i synem, którzy wyszli z niemieckiej niewoli. Przeżywała wiele trudnych chwil, gdy na emigracji zaczęto rozpowszechniać informację, że pracowała jako sekretarka Bolesława Bieruta, co było kompletną bzdurą. Ostatecznie porzuciła Londyn i udała się na prowincję, również ze względu na męża, który przeżywał powojenną depresję, a lekarstwem dla niego miała być m.in. praca fizyczna. Przez prawie 10 lat ciężko harowali na farmie Trossell w Kornwalii.

Pisarka tęskniła za Polską. W listach przesyłanych do Częstochowy nazywała „Niedzielę" swoim „kochanym dzieckiem". Z Anglii docierały również jej teksty do „Niedzieli", m.in. „Szaleńcy Boży" i „Gość oczekiwany". Warto wspomnieć, że ks. Karol Wojtyła, jako młody wikary w parafii w Niegowici, zainteresował się „Gościem oczekiwanym" i z grupą parafian przygotował ten utwór do wystawienia na scenie teatru.

Podczas pobytu w Kornwalii Zofia Kossak napisała powieść o Abrahamie pt. „Przymierze", która została wydana w języku angielskim w 1951 r. w Londynie, oraz „Rok polski", w którym zebrała swoje pogadanki na falach Radia Wolna Europa. Książki polskiej pisarki odnosiły na Zachodzie sukcesy i wychodziły w wysokich nakładach. W Polsce natomiast znajdowały się na indeksie książek zakazanych.

WRESZCIE W POLSCE

Do ojczyzny Zofia Kossak wróciła dopiero po 12 latach, w 1957 r. Już witana uroczyście na warszawskim Okęciu naraziła się komunistycznej władzy, bo odważyła się publicznie wypowiedzieć chrześcijańskie pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!". Pisarce przywrócono obywatelstwo, a jej książki znowu pojawiły się w księgarniach i bibliotekach.

Niezłomna i niepokorna, nadal nie przestawała walczyć o wolną Polskę. W 1964 r. podpisała „List 34". W 1966 r., gdy komunistyczne władze organizowały uroczystości konkurujące z kościelnymi obchodami 1000-lecia chrztu Polski, nie przyjęła literackiej nagrody państwowej pierwszego stopnia. Swoją odmowę uzasadniła na piśmie, wyjaśniając, że jako pisarka katolicka, żywiąca szczególną cześć do Maryi Królowej Polski, nie może przyjąć nagrody od władzy, która zakłóca milenijne obchody religijne, dopuszcza się znieważenia kultu Matki Bożej i wrogo odnosi się do spraw dla niej świętych.

ŻYCIE SPEŁNIONE

Ostatnie lata życia Zofia Kossak spędziła w rodzinnej posiadłości w Górkach Wielkich. Mówiła wtedy, że chce odejść jak zdmuchnięta świeca. I umarła niespodziewanie, po wizycie w byłym niemieckim obozie w Oświęcimiu, gdzie uczestniczyła jako matka chrzestna wraz z Franciszkiem Gajowniczkiem w uroczystości poświęcenia sztandaru z wizerunkiem o. Maksymiliana Kolbego. Zasłabła tam i miała atak serca. Potem już nigdy nie powróciła do sił.

Zmarła 9 kwietnia 1968 r. w szpitalu w Bielsku-Białej. Została pochowana na cmentarzu w Górkach Wielkich. Uroczystościom pogrzebowym przewodniczył biskup katowicki Herbert Bednorz, przyjaciel rodziny Kossaków. Przy trumnie pisarki przedstawiciel Związku Literatów Polskich Wojciech Żukrowski powiedział: „Ludzie, czy wiecie, kogo żegnamy? Znaliście ją ze sklepu, z autobusu, z drogi, z kościoła, przyzwyczailiście się do niej jako do współparafianki, do sąsiadki. A to był wielki pisarz! Z tych największych, na miarę Sienkiewicza". Telegram z kondolencjami przesłał m.in. kard. Stefan Wyszyński.

Gdy zastanawiamy się, skąd Zofia Kossak czerpała siłę na tak heroiczne i twórcze życie, niech wystarczy opinia jej wnuczki Anny Fenby Taylor, która wyznała: „Babcia była żarliwą katoliczką i kroczyła drogą Ewangelii w przekonaniu, że życie jest służbą Bogu". Więcej – traktowała chrześcijaństwo jako „najdoskonalszy system filozoficzny, jaki kiedykolwiek wydał świat". Wnuk pisarki François Rosset, profesor literatury na Uniwersytecie w Lozannie, uważa, że całe swoje życie, w tym literackie, zbudowała wokół wiary: „Była przekonana, że Królestwo Boże należy budować już tu, na ziemi, w Polsce, w Europie, a nie na Księżycu". Znawczyni życia i twórczości Zofii Kossak – prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach swoje wspomnienia o pisarce zatytułowała: „Zwyczajna świętość". To też ma znaczącą wymowę.

Dzisiaj, w wolnej Polsce, nie możemy pozwolić, aby zapomniano o Zofii Kossak, która dzieje swoje i swojego rodu opisała w sadze „Dziedzictwo". Jej książki powinny się znaleźć w wykazie lektur szkolnych. Prezydent Andrzej Duda zaliczył przecież pisarkę do grona wielkich Polaków. W ubiegłym roku, z okazji 100. rocznicy odzyskania przez naszą ojczyznę niepodległości, pośmiertnie uhonorował ją najwyższym odznaczeniem państwowym – Orderem Orła Białego. A w dniu 50. rocznicy śmierci posłał biało-czerwone kwiaty na grób pisarki w Górkach Wielkich, na którym widnieją słowa będące mottem jej życia: „Mowa wasza niech będzie: tak – tak, nie – nie" (Mat 5,37).

Lidia Dudkiewicz

eprasa.pl 6f3e763147



Hongkong

polityczna kwadratura koła

Liderzy ruchu demokratycznego w Hongkongu uważają, że nadszedł właśnie ostatni moment na ratowanie resztek jego swobód obywatelskich i autonomii, likwidowanej krok po kroku przez chiński reżim



JAN ROKITA

Hongkong rozpaczliwie próbuje bronić swojej wolności. Społeczna rewolta wybuchła wiosną, kiedy lokalny rząd postanowił zaprowadzić prawo legalizujące deportacje aresztowanych mieszkańców Hongkongu do komunistycznych Chin. Nic dziwnego, że w tej niby drobnej noweli prawa karnego powszechnie dostrzeżono sprytny i niebezpieczny podstęp, który miałby umożliwić rzeczywistą eliminację przeciwników politycznych. Wizja odsyłania przeciwników reżimu do kraju, w którym pokazowe procesy, tortury, obozy koncentracyjne i masowo wykonywane wyroki śmierci są normalnością, musiała wzbudzić realną grozę wśród działaczy opozycyjnych. Tym bardziej że Hongkong ma już doświadczenie „znikają-

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. John YE/Shutterstock.com

cych" wydawców nieprawomyślnych książek, którzy po dłuższym czasie odnajdują się w chińskich więzieniach albo na sądowych salach rozpraw.

FALA PROTESTÓW

Można przypuszczać, że pomysł zrodził się w kręgu kierownictwa Chińskiej Partii Komunistycznej. Oficjalnie forsowała go Carrie Lam, 62-letnia szefowa autonomicznego rządu Hongkongu, wskazana na tę funkcję w 2017 r. przez Komitet Elektorów. Ciało, które w tamtejszym dziwnym ustroju zapewniać ma, że połowiczna demokracja w Hongkongu nie wymknie się spod politycznej kontroli Pekinu. Zresztą nim elektorzy głosowali wówczas nad kandydaturą Lam, odbyli w Szenzen spotkanie z jednym z członków chińskiego kierownictwa, gdzie poinstruowano ich, iż ta kandydatura zyskała poparcie politbiura Chińskiej Partii Komunistycznej. Lam pomysł na taką zmianę prawa karnego też musiał się wydać atrakcyjny. Mogła ona bowiem liczyć, że strach przed ekstradycją do chińskiego więzienia ułatwi pacyfikację rosnącej w siłę demokratycznej opozycji przeciwko jej rządom.

Pokojowe z początku manifestacje z czasem zaczęły się przeradzać w coraz bardziej zaciekłe rozruchy. 4 czerwca w miejskim parku Wiktorii tłumy uczciły pamięć studentów pomordowanych na placu Tiananmen w Pekinie 30 lat temu. 9 czerwca na ulice Hongkongu wyległo milion przeciwników prawa o ekstradycji, a trzy dni później miasto ogarnęły zamieszki i walki z policją. Wieczorem w lokalnej telewizji Lam zapytana o to, czy „zdradziła Hongkong", rozpłakała się, przekonując o swojej miłości do miasta. 15 czerwca ogłosiła, że rząd bezterminowo zawiesza prace nad ustawą, po to by ponownie przeanalizować nowe rozwiązania prawno-karne. Reakcją następnego dnia stała się jednak niemal dwumilionowa pokojowa manifestacja z żądaniem całkowitej rezygnacji z pomysłów ekstradycyjnych.

Lam najwyraźniej zaniepokojona rozwojem zdarzeń zwołała 18 czerwca konferencję prasową, na której wygłosiła samokrytykę, ale ustawy ostatecznie nie odwołała. „Szef rządu – mówiła w trzeciej osobie – przeprasza lud Hongkongu i obiecuje przyjąć pokorną i szczerą postawę, tak by zaakceptować uwagi krytyczne i jeszcze lepiej mu służyć". 1 lipca agresywne tłumy zdobyły na kilka godzin parlament, niszcząc w nim symbole chińskiej supremacji nad miastem. Walki z policją rozlały się na kilka dzielnic, a w ich wyniku nastąpiły liczne aresztowania. Lam po tych zdarzeniach wyraźnie znów zmieniła ton, ostrzegając, iż rozruchy „sprowadzają Hongkong na skraj bardzo niebezpiecznej sytuacji". Zarazem kilka dni później zarzekała się, że parlament nie powróci do prac nad projektem ekstradycyjnym, który – jak mówiła – „został uśmiercony".

PIĘĆ LAT PO „REWOLUCJI PARASOLEK"

Rewolucje zazwyczaj rozpędzają się właśnie wtedy, kiedy władza wydaje się spełniać pierwsze ich żądania. I tak właśnie spektrum żądań manifestantów rozszerzyło się o dymisję coraz bardziej niepopularnej Lam (w sondażach ma ok. 70 proc. przeciwników), rozliczenie policji z brutalności akcji przeciw demonstrantom, a także – co najważniejsze – o powrót do w pełni demokratycznej metody wyłaniania władz Hongkongu. Ta ostatnia kwestia stała się pięć lat temu przyczyną niemal trzymiesięcznych protestów, manifestacji i starć z policją, które ogarnęły miasto jesienią 2014 r. Tamte zdarzenia zyskały miano „rewolucji parasolek", które stały się wtedy symbolem dążeń wolnościowych Hongkongu, a wkrótce potem zaadaptowane zostały jako rekwizyt przez różne ruchy protestu na całym świecie (w tym przez polskie feministki).

Inicjatorami tamtej rewolucji byli studenci, którzy gigantycznym sitingiem zablokowali wówczas dzielnicę wielkich banków i drapaczy chmur, żądając wypełnienia zobowiązania zawartego w Karcie praw podstawowych Hongkongu („Basic Law") do przeprowadzenia w 2017 r. pierwszych w pełni demokratycznych wyborów autonomicznych władz, w tym przede wszystkim szefa rządu. Pekin zablokował wówczas taką możliwość, oddając kontrolę nad wyłanianiem rządu powolnemu wobec siebie „komitetowi elekcyjnemu", a posłuszne władze lokalne doprowadziły po trzech miesiącach do wytłumienia protestów. Teraz, w kwietniu, po upływie pięciu lat od tamtej przegranej przez młodzież „rewolucji", premier Lam doprowadziła do skazania na 16 miesięcy więzienia dwóch uniwersyteckich profesorów, których uznano za sprawców buntu młodzieży: 60-letniego socjologa Chan Kin-mana oraz 54-letniego prawnika Benny'ego Tai. Ten wyrok nie był bez znaczenia dla obecnej fali protestów i zamieszek.

Z kolei w lutym 2016 r. gwałtowne zamieszki wybuchły w dzielnicy Mongkok, gdy tuż przed chińskim Nowym Rokiem władze postanowiły zlikwidować tradycyjny nocny bazar z nielicencjonowanym handlem. Choć wielu analityków skłonnych jest traktować tamte zdarzenia jako bunt o podłożu socjalnym, to jednak w Pekinie uznano je za rewoltę zorganizowaną przez „lokalne radykalne separatystyczne organizacje".

eprasa.pl 6f3e763147

Podejrzliwi chińscy komuniści politycyzują w ten sposób każdą formę protestu albo oporu w Hongkongu.

W 2018 r. Lam, na wyraźne życzenie Pekinu, przeprowadziła więc delegalizację Partii Narodowej, która w swoim programie zakłada pokojową i demokratyczną drogę dojścia do pełnej niepodległości Hongkongu. Wcześniej władze sparaliżowały działalność ruchu Autochtonów Hongkongu (Hong Kong Indigenous), postulującego bardziej radykalne metody walki o niezależność niźli uniwersytecka opozycja o liberalnym nastawieniu. Przywódcę ruchu, 26-letniego Raya Wonga, aresztowano, umożliwiając mu następnie emigrację do Niemiec. W ostatnich dniach aresztowano także przywódcę zdelegalizowanych narodowców – 29-letniego Andy'ego Chana.



Pokojowe z początku manifestacje z czasem zaczęły się przeradzać w coraz bardziej zaciekłe rozruchy

Fot. Dave Coulson Photography/Shutterstock.com

BITWA O WOLNY HONGKONG

Wszystko to sprawiło, że obecny przełom lipca i sierpnia stał się w Hongkongu czasem rosnącego rewolucyjnego napięcia. Od niedzieli 28 lipca manifestacje i rozruchy są w zasadzie permanentne. 3 sierpnia tłum otoczył komisariaty, przewracał radiowozy i używał przeciw policji koktajli Mołotowa. 5 sierpnia rozpoczął się proklamowany przez związki zawodowe polityczny strajk generalny, do którego (jak szacują władze) przystąpiło blisko pół miliona ludzi. W Hongkongu stanęły metro i komunikacja.

Komunistów w Pekinie, znanych ze szczególnej wrażliwości na punkcie chińskiej suwerenności nad Hongkongiem, Makao i Tajwanem rozzłościło zwłaszcza zerwanie przez manifestantów chińskiej czerwonej flagi górującej nad portem w Hongkongu. Coraz częściej przychodzą doniesienia o wykorzystywaniu przez władze lokalnych gangów do napadów na protestującą młodzież. Najgłośniejszy taki przypadek odnotowano na stacji metra Youen Long, gdzie pałkarze z kijami bejsbolowymi zaatakowali grupę manifestantów. Dowódca chińskiego garnizonu wojskowego w Hongkongu uznał za stosowne przypomnieć o „determinacji armii do obrony suwerenności, bezpieczeństwa, stabilności i pomyślności Hongkongu", co musiało zabrzmieć jak wyjątkowo cyniczna groźba.

W Pekinie 6 sierpnia po raz pierwszy w czasie obecnych zamieszek chińscy komuniści zwołali konferencję prasową, na której ostrzegli Hongkong, aby „nie mylił naszej powściągliwości ze słabością". Pekiński MSZ, który akurat prowadzi dyplomatyczną wojnę z rządem Trumpa, zażądał zaś od amerykańskiego prezydenta, aby „zabrał swoje brudne ręce z Hongkongu". W chińskiej polityce, skrajnie wyczulonej na niuanse dyplomatycznego języka, takie oficjalnie wypowiedziane słowa nie wróżą Hongkongowi niczego dobrego.

> Carrie Lam, 62-letnia szefowa autonomicznego rządu Hongkongu, w sondażach ma ok. 70 proc. przeciwników

Wolnościowy ruch demokratyczny jest silny i przy całej spontaniczności także nieźle zorganizowany. Zachodnie media (np. BBC) donoszą o ekipie specjalnie rozlokowanych w mieście „administratorów protestów", którzy zajmują się koordynowaniem masowych wystąpień. Aktywiści opozycyjni używają laserów do sparaliżowania kamer, dzięki którym policja mogłaby ich identyfikować, upowszechniona zaś wśród manifestantów aplikacja umożliwia rozpoznawanie wmieszanych w tłum funkcjonariuszy przebranych za cywilów. Wygląda na to, że liderzy ruchu demokratycznego uważają, iż nadszedł właśnie ostatni czas na ratowanie resztek swobód obywatelskich i autonomii Hongkongu, likwidowanej krok po kroku, odkąd pełnię władzy w Chinach objął twardogłowy Xi Jinping.

Zapewne wojskowa masakra w Hongkongu nie jest dla chińskiego tyrana wymarzonym sposobem ostatecznego rozwiązania kłopotów, jakie sprawia mu niegdysiejsza brytyjska kolonia. Ale wiele wskazuje na to, że jeśli nie teraz, to wcześniej czy później i tak dojdzie do krwawej konfrontacji pomiędzy komunistycznym reżimem a politycznie rozbudzoną i radykalizującą się opozycyjną młodzieżą. Ani bowiem reżim nie zamierza porzucić zamiaru wprowadzenia w Hongkongu swoich porządków, ani tamtejsza młodzież nie jest już w stanie bezsilnie pogodzić się z perspektywą definitywnej utraty wolności. Marginesy kompromisu jest więc wyjątkowo wąski. Idea wolnego Hongkongu pod władzą komunistycznych Chin sprawia coraz bardziej wrażenie politycznej kwadratury koła.

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. Archiwum prywatne

Ugotować białych jak żabę

W najbliższych latach w RPA wybuchnie wojna domowa. Natura konfliktów w Afryce jest dość gwałtowna. Jeśli pojawi się inflacja, ceny paliw wzrosną w sposób znaczący, a samotnych matek nie będzie już stać na leki ani żywność, wybuchnie przemoc. A my tu będziemy. My biali. Mamy nadzieję, że otrzymamy wtedy wsparcie od części wspólnoty międzynarodowej – mówi w rozmowie z Aleksandrą Rybińską rzecznik południowoafrykańskiej organizacji cywilnoobronnej ***Suidlanders Simon Roche***

Panel ekspertów powołany przez prezydenta RPA Cyrila Ramaphosę wydał pod koniec lipca tego roku raport, w którym odradza władzom wywłaszczenie białych farmerów bez rekompensat. Zdaniem ekspertów wywłaszczenia powinny dotyczyć wyłącznie ziem, które zostały porzucone przez właścicieli bądź służą do spekulacji. Czy to oznacza, że wywłaszczeń białych farmerów mimo wielokrotnych zapowiedzi polityków rządzącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego (ANC) w tej formie nie będzie?

Simon Roche: Bynajmniej. To tylko oznacza, że przed zmianami lub wobec braku zmian w konstytucji prawo pozwala tylko na wywłaszczenie części ziem. Nie oznacza to, że wywłaszczeń bez rekompensat w ogóle nie będzie. Nastawienie ANC do tej sprawy się nie zmieniło. On nadal do tego dąży, choć cały proces jeszcze się nie rozpoczął.

Zwolennicy tzw. reformy rolnej argumentują, że biali, czyli Afrykanerzy, ukradli czarnym ziemię, a ponadto stanowią dziś mniejszość w kraju, więc wywłaszczenie ich i oddanie ziemi czarnym byłoby sprawiedliwe. Burowie mówią o zemście i przekręcaniu historycznych faktów w celach propagandowych.

Po pierwsze, na Zachód od Great Fish River (afrikaans: Groot-Visrivier) nie było plemion Bantu, gdy pojawili się tam biali. Następnie zawarto porozumienie: wy pozostaniecie po zachodniej, a my po wschodniej stronie rzeki. Biali nie mogli więc ukraść tej ziemi, bo ona była niczyja. Ziemia otaczająca królestwo Suazi, niezależnej enklawy wewnątrz RPA, została zaś przekazana białym przez króla Suazi. Bał się inwazji Zulusów, więc oddał część swoich ziem w zamian za ochronę. Zaprosił białych farmerów do tego, by osiedlali się na granicach jego królestwa, oddając im ziemie. A więc także ta ziemia nie została skradziona.

Po drugie, nie jest prawdą, że biali posiadają dziś 70, a już tym bardziej 90 proc. ziem w RPA, jak można

eprasa.pl 6f3e763147

przeczytać w niektórych doniesieniach medialnych. 32 proc. ziem w prowincji KwaZulu-Natal należy do funduszu powierniczego kontrolowanego przez króla Zulusów i podlegających mu przywódców plemiennych. To nie jest ziemia białych i nigdy nią nie była. Przykładów jest więcej. W skrócie: biali nie mają większości ziem w RPA, szczególnie gdy odejmie się ziemie należące do państwa oraz czarnych. To, co pozostaje, należy do dużych korporacji i indywidualnych białych farmerów. A korporacje, szczególnie te największe, notowane na giełdzie, są zarządzane przez czarnych. Przez fundusze emerytalne należące do związków zawodowych. W 1988 r. RPA liczyła 120 tys. komercyjnych farm. Dziś mamy 33 tys. farmerów obsługujących 40 tys. komercyjnych farm. Z tych 33 tys. farmerów 8 tys. to czarni. Białych farmerów jest więc już tylko 25 tys. Nikt nie wie dokładnie, ile ziem posiadają, rząd nie chce bowiem publikować statystyk na ten temat. Bo wtedy wyszłoby na jaw, że kłamie. Ponadto między 1999 a 2018 r. nastąpiła redystrybucja ziem w RPA, wsparta ogromną kampanią w mediach. Każdy czarny mógł u władz centralnych zgłosić roszczenie do ziemi. 19 lat to trwało. Każde zgłoszone roszczenie zostało rozpatrzone. W RPA żyje dziś 45–50 mln czarnych. 100 lat temu były ich 3 mln. Co oznacza, że nie było za bardzo komu ukraść tych ziem. To są wszystko propagandowe opowieści ANC, partii głęboko skorumpowanej, która nie potrafi rządzić krajem. Bezrobocie wynosi prawie 30 proc. wśród czarnej ludności. Biali farmerzy są więc wygodnym kozłem ofiarnym dla rządzących.

ANC znajduje się w trudnym położeniu – z jednej strony wśród czarnej większości są coraz silniejsze oczekiwania, by przyspieszyć reformę rolną, z drugiej – wywłaszczanie farm bez odszkodowania odstraszy inwestorów, co jeszcze pogorszy sytuację gospodarczą kraju. Katastrofa gospodarcza w sąsiednim Zimbabwe, która nastąpiła po przymusowym wywłaszczaniu białych farmerów, powinna być dobitną przestrogą. Po co powtarzać ten błąd?

To, co teraz powiem, będzie bardzo niepoprawne politycznie. Różne kultury mają różne sposoby rozumowania. Ludzie Zachodu mają tendencję do tego, by oceniać innych przez pryzmat własnych wartości i doświadczeń. Nie widzą, a raczej nie chcą widzieć, różnic kulturowych. Oceniają według własnych standardów. Tymczasem w czarnej kulturze lepiej mieć 100 proc. z 10 niż 20 proc. ze 100. Innymi słowy: lepiej by wszystko się zawaliło, aż nie zostanie nic, by potem być szefem, niż mieć jakiś udział w dobrze funkcjonującej całości. Ten schemat powtarza się w całej Afryce. ANC robi to, co gwarantuje mu utrzymanie się przy władzy i pozwala się wzbogacić. „Oni nigdy nie zabiją kury znoszącej złote jaja" – argumentują niektórzy. Oczywiście, że zabiją! Bo ta kura, tak uważają, robi z nich idiotów. Uporczywie znosząc te złote jaja. ANC realizuje model rządów społecznych, który dla ludzi z Zachodu jest trudny do zrozumienia. Nieważne, że farmy upadną, bo oni wciąż będą mieli co jeść. Nieważne, że gospodarka się zawali. Zachód dostarczy fundusze i pomoc. Wiem, że ciężko to zrozumieć i jest to kontrowersyjne, ale to najbardziej szczera odpowiedź na pani pytanie.

> Dlaczego w RPA jest taki poziom przemocy? Taka ilość brutalnych przestępstw? Bo ta przemoc została rozpętana przez siły rewolucji i trwale zainstalowana w społeczeństwie. ANC uczynił przemoc akceptowalną

Suidlanders, organizacja, którą pan reprezentuje, mówi o ludobójstwie białych i szykuje się do wojny domowej, budując schrony, szkoląc się w walce i gromadząc żywność. Biali farmerzy są mordowani, ale „ludobójstwo"? Czy to nie przesada?

My nie używamy słowa „ludobójstwo". My tylko cytujemy innych, którzy się nim posługują w odniesieniu do RPA, jak choćby dr. Gregory'ego H. Stantona, szefa organizacji Genocide Watch, który przewidział ludobójstwo w Ruandzie. Stanton twierdzi, że zabójstwa białych farmerów w RPA to wstęp do ludobójstwa. Początek skoordynowanego programu działań w celu pozbycia się białej ludności. Najpierw oczyszczasz ziemie wokół miast, a potem do nich wkraczasz – dokładnie tak to u nas wygląda. To jest bardzo metodyczne działanie. Mordy, gwałty, także na starszych kobietach. Ataki na farmy, gdzie nic nie jest kradzione. Przecinanie maczetą ścięgien u zwierząt hodowlanych. To nie jest działanie przypadkowe, tylko zorganizowana kampania terroru.

To dlaczego biali farmerzy zostają? W ubiegłym roku Peter Dutton, minister spraw wewnętrznych Australii, rozważał wprowadzenie ułatwień dla białych farmerów z Afryki Południowej, by dać im dostęp do szybko przyznawanych wiz pobytowych z przyczyn humanitarnych.

Nie zostają. Wielu wyjeżdża. Liczba wniosków o wizy do Australii wzrosła o 1,4 tys. proc. między styczniem 2015 r. a czerwcem tego roku. Mamy też poważny drenaż mózgów. Kto może, przenosi się do Nowej Zelandii, Australii, Kanady lub Wielkiej Brytanii. Ale są dwie kategorie ludzi, które zostają. Pierwsza to ludzie tacy jak ja, którzy uważają, że ucieczka nie jest rozwiązaniem, że trzeba walczyć o to, co jest dobre i właściwe. W końcu nasi przodkowie kultywowali ideę samopoświęcenia. A drugą kategorię stanowią ludzie, których zwyczajnie nie stać na wyjazd. Ale to jest mniejszość. Liczby są naprawdę zatrważające. Przejeżdżając przez zdominowane przez białych przedmieścia, widać same puste domy wystawione na sprzedaż. Przeżywamy ogromny exo-

eprasa.pl 6f3e763147

dus z RPA ludzi wysoko wykształconych i wykwalifikowanych. To oczywiście musi się odbić na gospodarce. Ostatnia dekada to okres powolnego upadku. W najbliższym czasie nastąpi zapaść. Mamy drenaż mózgów, kryzys w rolnictwie, nasze górnictwo odnotowuje słabe wyniki. Brakuje zagranicznych inwestycji, jednocześnie wiele rodzimych koncernów opuszcza kraj i przenosi swoje siedziby gdzie indziej. Tam, gdzie jest bezpieczniej. Tak jak spółka Anglo American. Koncern South African Breweries jest dziś zarejestrowany poza RPA. Niedawno w czarnej gazecie „The Sowetan" była relacja ze spotkania dziennikarzy z dyrektorem generalnym skarbu, który mówił, że pieniądze się skończyły i konieczne będą poważne cięcia w budżecie, zaczynając od pensji pracowników służby publicznej. Wisi nad nami widmo bankructwa. Uważamy, że za góra dwa lata będziemy mieli poważny kryzys gospodarczy. Zapaść i recesję.

Z jaką reakcją spotyka się pan, gdy mówi o tym szczególnie na Zachodzie?

Z niedowierzaniem. To wynika z tego, że mainstreamowe media na Zachodzie mają silne lewicowe inklinacje i uczestniczyły w szerzeniu kłamliwej narracji na temat sytuacji w RPA. Dziś nie mogą się z tej narracji wycofać, bo straciłyby wiarygodność. Chodzi mi o legendę Nelsona Mandeli, jako dobrodusznego polityka, i ANC, jako formacji walczącej o sprawiedliwość. Stek bzdur. „Jak tylko upadnie apartheid, będzie cudownie. RPA zamieni się w krainę mlekiem i miodem płynącą" – przekonywali. Nic z tego nie wyszło, więc Zachód odwraca wzrok. Trudno się przyznać do błędu.

Wiązano też pewne nadzieje z obecnym prezydentem Cyrilem Ramaphosą. Miał wprowadzić nową jakość do południowoafrykańskiej polityki po latach rządów skorumpowanego Jacoba Zumy. Te nadzieje się nie ziściły?

Cyril Ramaphosa to wilk w owczej skórze. Gdy został wybrany w 2017 r. na przewodniczącego ANC, a rok później na prezydenta, wszyscy na lewicy i w centrum się zachwycali, że to właściwy człowiek na właściwym miejscu. My byliśmy, delikatnie mówiąc, mniej entuzjastyczni. Ramaphosa od 1992 do 1997 r. był sekretarzem generalnym ANC, w chwili gdy kongres uwikłał się w skandal korupcyjny w związku z dużym kontraktem zbrojeniowym. To związkowiec wychowany w komunistycznej szkole myślenia. Złodziej i gangster. Zaledwie kilka dni po przejęciu prezydentury ogłosił wywłaszczenie ziem białych bez rekompensat. A oni mu wcześniej gratulowali, pozowali z nim do zdjęć. Zachwycali się. Cyril Ramaphosa zasłynął z wywiadu udzielonego włoskiemu dziennikarzowi dr. Mario Oriani-Ambrosiniemu, który pisał wtedy książkę o południowoafrykańskiej polityce. W tym wywiadzie Ramaphosa wyznał, że ANC ma 25-letni plan dla białych. „Ugotujemy ich jak żabę" – powiedział. „Wsadzimy żabę do garnka z zimną wodą i powoli będziemy zwiększać temperaturę. Jak woda się trochę ociepli, żaba będzie zachwycona. Pomyśli, że jest w niebie. Woda będzie się robić coraz cieplejsza, aż się zagotuje i będzie za późno. Ugotujemy ich żywcem". Jest też nagranie wideo sprzed 1994 r., gdy negocjacje ws. zniesienia apartheidu już się zakończyły. W nim Ramaphosa mówi, że nie rozumie, dlaczego biali się tak cieszą. „Ja bym walczył do śmierci, by zachować ten kraj" – podkreślił. Ramaphosa nie jest więc człowiekiem, za którego się podaje. To nie jest żadna nowa jakość. Korupcja i nepotyzm nadal trawią ANC. Nic się nie zmieniło. Ktoś musi się temu przeciwstawić. Być gotowym walczyć, a nawet umrzeć. Dlatego nie zamierzam opuszczać RPA. To mój kraj i jestem mu to winien.

To dość dramatyczne słowa.

Bynajmniej. My uważamy, że w najbliższych latach w RPA wybuchnie wojna domowa. Natura konfliktów w Afryce jest dość gwałtowna. To niezaprzeczalny fakt. Jeśli pojawi się poważna inflacja, ceny paliw wzrosną w sposób znaczący, a samotnych matek nie będzie już stać na leki ani żywność, wybuchnie przemoc. My wtedy tu będziemy. My biali. Oczywiście nie wszyscy, pewnie tylko niektórzy z nas. Mamy nadzieję, że otrzymamy wtedy wsparcie choćby od części wspólnoty międzynarodowej. RPA produkuje niemal 100 proc. chromu na świecie. Gdy produkcja stanie i zginie tylu białych, że nie będzie można tego dłużej ignorować, może wówczas Zachód przyjdzie nam z pomocą. Mam nadzieję, że nie będzie wtedy za późno. Ale farmerzy już teraz giną. Sam mam ślady na twarzy po atakach czarnych. Bliznę od maczety na głowie, kolejną od siekiery wzdłuż nosa. Sąsiadka moich rodziców została zgwałcona i zamordowana podczas napadu rabunkowego. Mój syn został pobity w drodze do szkoły. Dwa razy. Mój ojciec o mało nie zginął. Przystawili mu pistolet do głowy i przycisnęli spust. Pistolet się zaciął, dzięki temu przeżył. Przemoc to nasza codzienność.

Zachodni eksperci twierdzą, że przemoc w RPA wobec białych to wynik biedy i nierówności społecznych pozostałych po apartheidzie.

RPA nie jest biednym krajem. Inne są o wiele biedniejsze, a nie ma w nich takiej przemocy. Sąsiedni Mozambik do niedawna był jednym z najbiedniejszych krajów na świecie. Nie było tam jednak nigdy takiego poziomu przemocy. Zimbabwe jest o wiele biedniejsze niż RPA, a takiej przemocy jak u nas tam także nie ma. Demokratyczna Republika Konga to mało radosne miejsce, gdzie jest dość niebezpiecznie, ale nawet tam nie ma takiego poziomu przemocy. Podobnie jak w Nigerii. Bieda gdziekolwiek się spojrzy. A przemocy, przestępstw jest mniej. Dlaczego więc w RPA jest taki poziom przemocy? Taka ilość brutalnych przestępstw? Bo ta przemoc została rozpętana przez siły rewolucji i trwale zainstalowana w społeczeństwie. ANC uczynił przemoc akceptowalną. Przed 1994 r. ta przemoc istniała w czarnej społeczności. Różne frakcje się bezlitośnie zwalczały. Teraz jest skierowana przeciwko białym. Między 1994 r. a czerwcem 2019 r. doszło w RPA do 523 tys. zabójstw. Według oficjalnych statystyk. W ciągu 25 lat. Za rządów ANC. Taka jest nasza południowoafrykańska rzeczywistość.

eprasa.pl 6f3e763147

Polska na Wschodzie, czyli o co idzie gra

Na Kremlu coraz silniejsze jest przekonanie, że to polityka Warszawy i stolic państw bałtyckich spowodowała przesuwanie się NATO na Wschód i trwałość antyrosyjskich sankcji. Teraz Polska staje się hubem energetycznym dla naszej części Europy. Moskwa nie może być z tego zadowolona



MAREK BUDZISZ

Rosja wydaje co roku na swój propagandowy kanał Biał-Ros, oficjalnie mający za cel „rozpowszechnianie obiektywnych informacji" o wspólnym państwie związkowym Rosji i Białorusi, spore pieniądze. W 2018 r. było to 11,5 mln euro. Audycje tego nadawcy, rozpowszechniane w sieciach kablowych zarówno w Rosji, jak i na Białorusi, mogą dotrzeć do 35 mln widzów. Zadanie wydaje się tym łatwiejsze, że oficjalnie Mińsk nie ma nic przeciw obecności na swoim terenie tego rosyjskiego kanału.

A jak jest z widownią w rzeczywistości? Rosyjscy dziennikarze policzyli, że w kwietniu 2018 r. audycje Biał-Ros subskrybowały na YouTubie 303 osoby, a średnia widownia jednego materiału wynosiła 10 osób. Na popularnej w Rosji platformie internetowej Vkontaktie strona telewizji Biał-Rus ma 50 abonentów, na Facebooku liczba jej przyjaciół osiągnęła oszałamiający poziom 750 osób, a stronę internetową stacji, według pomiarów rosyjskich firm analitycznych, odwiedza miesięcznie niewiele ponad 5 tys. osób. Innymi słowy, „robota polityczna", jak dawniej się mówiło, a dziś zapewne w użyciu byłby termin soft power, nie idzie najlepiej. Komu się więc udaje?

Dziennikarze z rosyjskich „patriotycznych" mediów przywołują w charakterze przykładu godnego naśladowania nadający z Polski za



eprasa.pl 6f3e763147

pośrednictwem satelity Biełsat. Stacja nie tylko jest sporo tańsza (4,8 mln euro w 2018 r.) niźli jej rosyjski konkurent, lecz również cieszy się znacznie większą popularnością. Jej białoruska wersja ma 58 tys. obserwatorów, rosyjska 44 tys., a polska ponad 12 tys. 120 tys. osób subskrybuje Biełsat na YouTubie, co w 2018 r. dało 47-milionową widownię jej audycji, tylko za pośrednictwem tej jednej platformy. Liczba wejść na internetową stronę kanału osiąga poziom miliona miesięcznie.

Rosyjski dziennikarz piszący o słabościach rosyjskiego nadawcy i sukcesach polskich inicjatyw zastanawia się też, na co idą 2 mld rubli rocznie, czyli ponad 28 mln euro, które konsumuje administracja wspólnego państwa, skoro w tym pojedynku oddziaływania miękkiej siły Moskwa wydaje się przegrywać z Warszawą. Nie tylko zresztą na polu informacyjnym.

NA STUDIA

Jeszcze gorzej jest, jeśli idzie o to, gdzie studiuje białoruska młodzież, przynajmniej ta, która wybiera edukację poza granicami ojczyzny. Zdaniem Moskwy powinna w Rosji, jej ściągnięciu ma służyć specjalny budżet stypendialny, który corocznie zasilany jest kwotą 180 mln rubli, czyli 2,5 mln euro. Ale wyniki tej akcji – jak argumentują media rosyjskie – są dalekie od zadawalających. Na kierunkach dziennych uczelni rosyjskich studiuje średnio 3,5 tys. osób z Białorusi rocznie, podczas gdy każdego roku w ramach Erasmusa na uczelnie Unii Europejskiej jedzie ich 1 tys. Jeszcze gorzej statystyka ta wygląda, jeśli wziąć pod uwagę, ilu Białorusinów studiuje w Polsce, niezależnie od unijnych programów wymiany młodzieży. W 2016 r. polskie uczelnie wybrało ponad 6 tys., czyli 1,7 raza więcej, niźli zdecydowało się jechać do Rosji. I to bez specjalnych zachęt i programów polskiego rządu.

Jeszcze gorzej wyglądają te statystyki, jeśli weźmiemy pod uwagę to, że w naszym kraju studiuje niemal 40 tys. młodych ludzi z Ukrainy, co zdaniem wielu rosyjskich obserwatorów w przyszłości będzie tylko umacniać orientację Kijowa na Zachód.

ZA PRACĄ

Podobnie postrzegane jest w Moskwie to, że ponadmilionowa rzesza Ukraińców pracuje w naszym kraju. Zdaniem wielu rosyjskich obserwatorów to, że przyjeżdżają oni do Polski, korzystnie wpływa na sytuację naszej gospodarki. Ta zmiana kierunku wyjazdów zarobkowych naszych sąsiadów, którzy wcześniej chętnie jeździli pracować na Wschód, zaczyna być problemem dla Rosji. Jej gospodarka traci dziś średnio miesięcznie 160 tys. rąk do pracy i nowi pracujący zaczynają być na gwałt potrzebni. Nie pomogła zeszłoroczna „reforma emerytalna", która sprowadzała się do tego, że Rosjanie mają później odchodzić na emeryturę. Nie dały także pożądanego efektu namowy, aby Rosjanie pracowali dłużej, nie wzrósł znacząco napływ gastarbeiterów z republik Azji Środkowej. Nic nie jest w stanie wypełnić luki, jaka powstała na tamtejszym rynku pracy po 2014 r., kiedy to obywatele Ukrainy przestali tak chętnie jeździć na Wschód i dziś pracuje ich w Rosji przeszło milion mniej niźli jeszcze kilka lat temu.

Niepokój w Moskwie budzą nie tylko kwestie ekonomiczne. Aby to stwierdzić, wystarczy obejrzeć zamieszczane w sieci filmiki i przeczytać relacje o Polsce przybyszów ze Wschodu. W dość zgodnej – a dla nas chyba zaskakującej – opinii nasza ojczyzna jawi się im jako kraj sukcesu, dobrze zarządzany, zamieszkiwany przez kulturalnych ludzi, kulturowo im bliski i przyjazny, do którego warto przyjeżdżać i z którym warto handlować.

NA ZAKUPY

Inny element naszego soft power jest chyba najsłabiej w Polsce rozumiany i doceniany. Ale znów posłużmy się przykładem. W maju ubiegłego roku władze Kaliningradu postanowiły wypowiedzieć wojnę ulicznym sprzedawcom handlującym towarami z Polski. Bo trzeba wiedzieć, że tak jak w wielu polskich miastach zobaczyć można szyld „chemia z Niemiec", tak podobną reputacją cieszą się w rosyjskiej enklawie polskie towary. W mieście Kanta, jak relacjonowała lokalna telewizja, z bagażników samochodów handluje się tym, co można przywieźć z Polski, ale są też całe ulice straganów, których właściciele wyspecjalizowali się w sprzedaży importowanych z naszego kraju i objętych sankcjami towarów. Akcja zakończyła się niepowodzeniem, mimo że lokalna policja nakładała każdego dnia na handlujących mandaty po 4,6 tys. rubli (65 euro), co w rosyjskich realiach nie jest małą kwotą. Jeden ze sprzedających powiedział nawet indagującej go dziennikarce telewizji, że mimo kar i najść policji będzie sprzedawał towary z Polski, bo ludzie zwyczajnie ich potrzebują. W tym kontekście blokowanie przez Polskę małego ruchu granicznego z rosyjską enklawą wygląda raczej na działanie w interesie Moskwy, a nie realizację polskiej strategii.

Gdyby odwołać się do danych statystycznych publikowanych regularnie przez rosyjskie służby celne, to okazałoby się, że nasz handel z Rosją, wbrew potocznemu mniemaniu, wcale nie ma się źle. Wśród państw eksporterów do Rosji, według danych tamtejszych służb celnych, Polska znajduje się na 11. miejscu. W okresie od kwietnia 2018 r. do kwietnia 2019 r. wyeksportowaliśmy towary o wartości 5,49 mld dol. Z państw Unii Europejskiej wyprzedzają nas Niemcy (26,8 mld), Włochy (11,2 mld) oraz Francja (9,46 mld). Ale jeśli dane te skorygujemy o wielkość gospodarek, to okazuje się, że mając ją siedmiokrotnie mniejszą niźli Niemcy, eksportujemy do Rosji towary o wartości tylko pięciokrotnie mniejszej. Podobnie jest w przypadku Francji (gospodarka większa 4,9 razy od polskiej) i Włoch (3,69). A zatem relatywnie do wielkości naszego potencjału przemysłowego jesteśmy obecnie największym eksporterem do Federacji Rosyjskiej z grona państw Unii. Jest to efekt nie umizgiwania się w stylu prezydenta Francji do obecnych władców Rosji, ale tego, że polskie firmy w ubiegłych latach zbudowały sobie dobrą pozycję w międzynarodowych łańcuchach kooperacyjnych.

KILKA KROKÓW DO NIEZALEŻNOŚCI

Nadal mamy z Rosją niekorzystny bilans wymiany handlowej, co jest związane z importem tamtejszej ropy, gazu i węgla.

Fot. Bumble Dee/Shutterstock.com

eprasa.pl 6f3e763147



Tramwaje wyprodukowane w bydgoskiej PESIE kupuje m.in. kaliningradzka komunikacja miejska

Fot. Joymsk140/Shutterstock.com

Ale to właśnie winno się stać naszym atutem, bo rządy w takich sytuacjach rozmawiają o zmniejszeniu dysproporcji, co musi oznaczać wzrost polskiego eksportu. W Moskwie dostrzeżono również to, że – jak poinformowała w oficjalnym komunikacie ukraińska Państwowa Służba Statystyki – Polska staje się największym rynkiem eksportowym dla tamtejszych towarów. W pierwszym kwartale tego roku udział naszego kraju w ukraińskim eksporcie wyniósł 6,7 proc., zaś rynku rosyjskiego 6,2 proc. O skali zmian, jakie zaszły, świadczy i to, że jeszcze w 2013 r. 23,8 proc. ukraińskiego eksportu kierowało się na Wschód, podczas gdy do Polski zaledwie 4 proc. Zapowiadana przez prezydenta Zełenskiego masowa prywatyzacja jest być może szansą poszerzenia polskiej obecności gospodarczej na Ukrainie.

Jak argumentuje w jednym ze swych ostatnich opracowań Dmitrij Oficerow-Bielski, analityk wpływowej Rosyjskiej Rady Spraw Międzynarodowych, Polska, którą do tej pory traktowano w UE jak państwo drugorzędne, ma szansę stać się po brexicie „kluczowym partnerem amerykańskim w Europie". Decydują o tym podobne spojrzenie na kwestie bezpieczeństwa w naszym regionie oraz narastające sprzeczności między Waszyngtonem a Berlinem i Paryżem.

Przykładem tych ostatnich jest francuski podatek, którym Paryż ma zamiar obłożyć wielkie koncerny technologiczne. Jest on tak skonstruowany, że obejmie jeden podmiot francuski i kilkadziesiąt amerykańskich. Prezydent Trump już zapowiedział retorsje.

Warto jednak zwrócić też uwagę na fundamentalne różnice w zapatrywaniach europejskich społeczeństw. Otóż z opublikowanych wiosną badań wynika, że dla większości Francuzów i Niemców to Stany Zjednoczone i ich prezydent są głównym zagrożeniem dla światowego pokoju, znacznie większą estymą i szacunkiem cieszą się tam Rosja i Władimir Putin. Zupełnie inaczej jest, państwach stanowiących wschodnią flankę NATO, wśród których Polska, ze względu na wielkość naszej gospodarki, siłę armii i poziom relacji z Waszyngtonem, staje się naturalnym liderem. W Moskwie coraz silniejsze jest przekonanie, że to polityka Warszawy i stolic państw bałtyckich spowodowała przesuwanie się Sojuszu na Wschód i trwałość antyrosyjskich sankcji. Teraz Polska staje się hubem energetycznym dla naszej części Europy. Nie chodzi wyłącznie o możliwości związane ze świnoujskim gazoportem, choć jego rangi nie można nie doceniać, skoro jest on jednym z dwóch, obok rozbudowy interkonektorów gazowych, czynników pozwalających budować niezależność Ukrainy od rosyjskiego gazu ziemnego.

Innym przykładem tej polityki, tak przynajmniej uważa się w Moskwie, jest podpisana w 2018 r. przez państwa bałtyckie, Komisję Europejską i Polskę umowa przewidująca, że do 2025 r. państwa bałtyckie wyjdą ze wspólnego systemu energetycznego, jaki od czasów sowieckich łączył te kraje z Rosją i Białorusią. Odpowiadający w rosyjskim rządzie za sektor paliwowy i energetyczny minister Nowak nazwał to działanie „projektem politycznym". Zdenerwowanie rosyjskiego polityka wywołało najprawdopodobniej to, że sejm Litwy zatwierdził 13 czerwca tego roku harmonogram odłączania systemu energetycznego kraju od Rosji i synchronizacji swoich sieci z Europą. Swoją rolę odgrywają też programy integracji infrastrukturalnej krajów naszego regionu, w tym rozbudowy sieci połączeń drogowych i kolejowych. W Moskwie dostrzeżono też, iż nowy prezydent Litwy Gitanas Nausėda za rzecz naturalną uznał, iż swą pierwszą oficjalną wizytę złoży w Warszawie. Podobnie nie umknęły uwadze rosyjskich analityków ciepłe deklaracje i brukselskie spotkanie prezydenta Zełenskiego z Andrzejem Dudą.

CZAS NA ZMIANĘ

W Polsce częściej niźli o pozycji naszego kraju w regionie słyszy się o błędach, zaniechaniach i straconych możliwościach. Sporo z tych słów krytyki, jak choćby dotyczących dwuznacznej postawy naszej dyplomacji w sprawie przywrócenia praw Rosji w Radzie Europy, trzeba uznać za trafne. W wielu obszarach, np. dziedzinie promowania kultury polskiej, jesteśmy zbyt pasywni. Niektóre kraje kulturowo i historycznie nam bliskie, takie jak Armenia, wydają się przez nas zapomniane. Za zaniedbanie uznać wypada relatywnie słabą obecność rosyjskich emigrantów politycznych w naszym świecie akademickim, a przecież wiedza o tym, co się na Wschodzie dzieje, i rozumienie zachodzących tam procesów mogłyby się stać jednym z naszych atutów na europejskim rynku idei. Wydaje się błędem doprowadzenie do sytuacji, że opozycjoniści rosyjscy organizują swe kongresy i zjazdy w Wilnie czy Pradze, a omijają Warszawę. Wiele wątpliwości budzi też polityka wizowa polskiego MSZ wobec emigrantów politycznych z Rosji. Ostatnio np. Svoboda informowała o tym, że statusu uchodźcy politycznego nie uzyskał w Polsce Tumso Abdurachmanow, niezwykle popularny w Czeczenii bloger i opozycjonista wobec rządów Kadyrowa.

Niezadowolenie polskich „specjalistów od Wschodu", i to niezależnie od ich politycznej afiliacji, z tego, co osiągnęliśmy do tej pory, jest, jak można przypuszczać, pochodną dostrzegania wielkich możliwości i rosnącej pozycji Polski, a następnie skonfrontowania tego z relatywnie pasywną polityką naszego państwa. Możemy robić w tym zakresie więcej i lepiej, a co ważniejsze, kształt naszej polityki wschodniej może być jednym z niewielu obszarów łączących skłócone obozy polskiej polityki.

Nadszedł czas, aby zacząć to zmieniać.

eprasa.pl 6f3e763147



Hit tygodnia

Po tuningu – jeszcze silniejsze BMW M850i

Jeśli ktoś uważa, że jego auto jest nieco za słabe, zawsze może skorzystać z pomocy tunerów, np. Manhart Performance, który wziął na warsztat BMW M850i. Po drobnych poprawkach, jak obniżenie o 30 mm podwozia i dodanie nowych felg, wzięto się za silnik, dzięki czemu teraz 4,4-litrowy V8 ma moc do 621 KM i 870 Nm maksymalnego momentu obrotowego. Nie dość, że znacznie lepiej niż zwykłe BMW M850i, to wygląda na to, że model ten po przeróbkach Manharta jest... mocniejszy od M8!

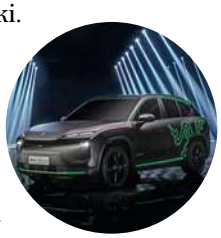
AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Netflix, znany z produkcji, czasem lepszych, czasem gorszych filmów i seriali telewizyjnych – ostatnio głośno jest o „Wiedźminie" przygotowywanym przez tę stację, postanowił stworzyć swój własny show motoryzacyjny. Nazywa się „Hyperdrive" i jak możemy przeczytać na jego stronie w sieci: „Elitarni uliczni rajdowcy z całego świata testują swoje zdolności w doładowanych na maksa modyfikowanych autach na największym samochodowym torze przeszkód w historii". Wśród uczestników ma się pojawić Karolina Pilarczyk, podwójna mistrzyni Europy w driftingu. „Niesamowita przygoda, fantastyczna adrenalina, rewelacyjni kierowcy. Wariactwo na całego – jedna z najfajniejszych rzeczy, jakie przydarzyły nam się w życiu!" – napisała na swoim Facebooku pani Karolina.

Do czego mogą się przydać drony? Oprócz oczywiście frajdy z filmowania czy fotografowania z wysokości? W hiszpańskiej fabryce Seata w miejscowości Martorell drony dostarczają komponenty. Zysk? Czas dostaw skrócił się z 1,5 h do 15 min.

16 sierpnia może dojść do ustanowienia rekordu w sprzedaży używanych samochodów. Mowa o McLarenie F1 z 1994 r., który ma komorę silnika pokrytą cienką warstwą złota. Jeżeli dojdzie do sprzedaży, będzie to najdroższe brytyjskie auto, które kiedykolwiek sprzedano na aukcji. No tak, nie zapominajmy o cenie: 23 mln dol.

Źle się dzieje w Mercedesie? Na to wygląda. Firma postanowiła ciąć koszty, co odbije się na gamie produkowanych modeli. Zagrożone są podobno: 2 Gran Tourer, 2 Cabrio, 3 Gran Turismo, 6 Gran Turismo, 8 Coupe i Cabrio. Nie wiadomo, co dalej z BMW X2, który sprzedaje się znacznie słabiej niż X1. Bezpiecznie nie może się czuć BMW Z4 oraz seria 7. A wszystko to ze względu na mniejsze zyski.



Firma Razer, wiodąca na świecie marka lifestyle'owa dla graczy, oraz NIO, globalny producent inteligentnych pojazdów elektrycznych, poinformowały o podjęciu współpracy. Jej pierwszym owocem będzie premierowy model NIO x Razer ES6 Night Explorer, dostępny w liczbie 88 egzemplarzy wyłącznie na rynku chińskim. Poza limitowaną edycją ES6 Night Explorer NIO i Razer będą razem pracować nad wyposażeniem przyszłych modeli pojazdów elektrycznych w oświetlenie zasilane przez Razer Chroma RGB. Razer Chroma RGB to największy na świecie ekosystem podświetlenia dla graczy, obsługujący ponad 500 urządzeń i zintegrowany z ponad 130 najpopularniejszymi grami komputerowymi. Oświetlenie Razer Chroma dla samochodów inteligentnych pozwoli na dostosowanie efektów oświetlenia w kabinie pojazdu, wizualizację dźwięku oraz synchronizację i integrację gier. Wszystko za pośrednictwem wbudowanego panelu kontrolnego samochodów NIO.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 6f3e763147



Fot. Maciej Luczniewski/REPORTER

Plan Zdzisława

Zainicjowane przez Andrzeja Jakubiaka i Zdzisława Sokala działania syndyków wobec SKOK-ów niszczą reputację sektora próbującego odbudować się po dywanowych nalotach Platformy z 2014 i 2015 r. Dlaczego, zamiast dbać o spokój i stabilizację rynku, ktoś próbuje go destabilizować?



PIOTR FILIPCZYK

Dlaczego członkowie spółdzielczych kas oszczędnościowo-kredytowych, które ogłosiły upadłość, są ścigani przez syndyków ich mas upadłościowych? Dlaczego starsi, często schorowani i nieumiejący się bronić ludzie muszą płacić za niejasne rozgrywki i urzędniczą bylejakość? I w końcu: w imię czego ludzie odpowiedzialni za spokojny, udany rejs polskiego systemu finansowego dopuszczają, by tą łajbą wciąż kołysano?

To pytania, które należy zadać Zdzisławowi Sokalowi, w niedawnej przeszłości prezesowi Bankowego Funduszu Gwarancyjnego i członkowi Komisji Nadzoru Finansowego. W międzyczasie jednemu z bohaterów afery Leszka Czarneckiego. Wciąż doradcy prezydenta Andrzeja Dudy...

„Afera SKOK-u Wołomin trwa. Poszkodowani płacą, przestępcy pozostają nieuchwytni". „Dostałeś taki list? Mamy złą wiadomość! Musisz zapłacić!". „Byłeś członkiem SKOK-u? Możesz zapłacić za jego bankructwo!". Wystarczy chwila, by znaleźć w internecie dziesiątki tego typu tytułów. O problemie piszą małe lokalne portale, ale też wielkie, najczęściej nieprzychylne obecnemu rządowi me-

eprasa.pl 6f3e763147

dia. Niektórzy dziennikarze z pewnością rzeczywiście chcą pomóc bezradnym i zdziwionym czytelnikom. Inni z nieukrywaną radością wracają do tematu, przy którym można grillować nielubianych polityków prawicy.

O co chodzi? W skrócie o to, że członkowie kas, które upadły, są wzywani przez syndyków mas upadłościowych, by zwracali pieniądze w wysokości dwukrotności udziałów, jakie wnieśli, wchodząc do spółdzielni. Wielu ekspertów twierdzi, że jest to działanie bez jasnej podstawy prawnej. Według licznych obserwatorów – zupełny bezsens, który nie przynosi żadnych korzyści, powoduje zaś wiele nieodwracalnych szkód.

OFIARY I ZWYCIĘZCY

By wytłumaczyć rzecz nieco obszerniej, musimy się cofnąć co najmniej do 2009 r. To wtedy zdominowany przez PO i PSL parlament przyjął nową ustawę o SKOK-ach. Autorami jej zapisów byli politycy w przeszłości lub nawet w momencie tworzenia wspomnianego prawa pracujący w bankach, a więc podmiotach konkurencyjnych wobec SKOK-ów. Pełna wad, chaotyczna i bardzo restrykcyjna ustawa znacznie utrudniła funkcjonowanie kas. Do tego doszły coraz częstsze ataki na spółdzielnie finansowe. A to w swoim stylu obrzucił je błotem Palikot, a to z sejmowej mównicy oczernił Tusk, a to przywaliły czołowe pióra lewicowo-liberalnych gigantów medialnych. W rytm tej potężniejącej melodii w jednej z ważniejszych kas, SKOK Wołomin, rozlokowała się grupa przestępców związanych z postkomunistycznymi Wojskowymi Służbami Informacyjnymi. Gangsterzy z WSI rozpoczęli rabunek, który paradoksalnie znacznie przyspieszył, kiedy Wołomin przeszedł pod nadzór KNF, dowodzonej wówczas przez nominata Platformy Andrzeja Jakubiaka. Kulminacja agresji nastąpiła wiosną 2015 r. Ktoś uznał, że za pomocą „afery SKOK-ów" można skutecznie uderzyć w Andrzeja Dudę, ówczesnego kandydata PiS na prezydenta. Rozpętało się piekło – sprawa nie schodziła z czołówek serwisów informacyjnych, powstała speckomisja, politycy PO robili wszystko, by stanął przed nią Duda.

SKOK-i przetrwały burzę, choć sektor przypłacił ją upadkiem w sumie 10 kas, w tym sporej Wspólnoty i wyczyszczonego doszczętnie przez „wojskówkę" Wołomina. Ale były też inne ofiary i inni zwycięzcy. Histeria z wiosny 2015 r. uderzyła rykoszetem w Bronisława Komorowskiego, który nie dość, że w przeszłości bronił WSI, to jeszcze fotografował się z uśmiechniętymi szefami wołomińskiej kasy. Andrzej Duda odparł atak, nie dał się wplątać w wymyśloną aferę, został prezydentem Rzeczypospolitej i właśnie obchodzi czwartą rocznicę udanych rządów.

Tym bardziej paradoksalnie brzmi dzisiaj teza, że za obecnymi kłopotami wizerunkowymi starających się wyjść na prostą SKOK-ów w dużej mierze stoją działania (oraz ich brak) prezydenckiego doradcy Zdzisława Sokala.

UDZIAŁY I SYNDYCY

W powszechnej świadomości SKOK-i odbierane są jako „takie trochę inne banki". Rzeczywiście jest sporo podobieństw: można w nich ulokować pieniądze, zaciągnąć kredyt, wyrobić kartę płatniczą, założyć internetowe konto. Ulokowane środki są, identycznie jak w bankach, gwarantowane przez Bankowy Fundusz Gwarancyjny do kwoty 100 tys. euro. A różnice? SKOK-i nie spekulują, są oparte na polskim kapitale i operują przede wszystkim w lokalnych społecznościach. Istotna jest też kwestia strukturalna: SKOK-i są spółdzielniami, dlatego żeby skorzystać z usług kas, trzeba być więc ich członkiem. Pociąga to za sobą m.in. konieczność wykupienia udziału w kasie. Szczegółowe zasady tej przynależności regulują poszczególne SKOK-i w swoich statutach. Wartość udziału jest zazwyczaj niewielka (np. kilkadziesiąt złotych), a w niektórych przypadkach wręcz symboliczna.

Syndykom, wyznaczonym przez sądy, by spieniężali majątek upadłych kas, długo nie przychodziło do głowy, żeby wyciągać ręce po te pieniądze. Nie tylko dlatego, że to niewiele znaczące środki, które często należałoby odzyskiwać od starszych, schorowanych osób. Przede wszystkim nie ma bowiem podstawy prawnej pozwalającej na obciążanie członków dodatkową odpowiedzialnością za straty kas po ogłoszeniu ich upadłości. Jednak w pewnym momencie windykacyjno-sądowa maszyna ruszyła pełną parą. Przyjrzyjmy się datom, dokumentom, ludziom.

JAKUBIAK PYTA

19 sierpnia 2016 r. do syndyków trafia pismo z Komisji Nadzoru Finansowego. KNF pyta, czy syndycy żądają od członków kas pokrycia strat z tytułu dodatkowej odpowiedzialności członkowskiej (w wysokości dwukrotności wpłaconych udziałów). Syndycy, co w sumie dość zrozumiałe, traktują pytanie jako ponaglenie. I zabierają się do roboty – wysyłają do dziesiątek tysięcy członków kas pisma z żądaniem wpłaty odpowiednich kwot. Przewodniczącym KNF jest wówczas kończący kadencję Andrzej Jakubiak, dawny bliski współpracownik Hanny Gronkiewicz-Waltz i twarz krucjaty administracji Platformy przeciwko SKOK-om. Zdzisław Sokal pełni funkcję członka Komisji, został w niej obsadzony przez prezydenta Andrzeja Dudę. Sokal jest już wtedy także prezesem Bankowego Funduszu Gwarancyjnego. To BFG, z którego środków pokryto straty Wołomina i innych kas, jest w tej sprawie najważniejszym wierzycielem.

Akcja syndyków budzi popłoch wśród członków kas. Niektórzy płacą, inni próbują się jakoś bronić. W drugiej połowie 2016 r. mnożą się już skargi kierowane do prokuratury, Rzecznika Praw Obywatelskich czy reprezentującej sektor Krajowej Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej, a także do Biura Interwencyjnej Pomocy Prawnej, działającego przy Kancelarii Prezydenta RP.

PROKURATURA ODPOWIADA

19 czerwca 2017 r. głos w sprawie zabiera Prokuratura Krajowa. Treść komunikatu jest jednoznaczna jak jej tytuł: „Prokuratura staje w obronie członków SKOK Wołomin".

„W związku z licznymi pismami członków SKOK Wołomin, kwestionującymi uprawnienie syndyka masy upadłości

eprasa.pl 6f3e763147

do wzywania członków kasy do uzupełnienia przez nich udziałów do podwójnej wysokości, Departament Postępowania Sądowego Prokuratury Krajowej polecił dokonanie szczegółowej analizy tej sprawy oraz stanu prawnego" – czytamy w komunikacie.

Analiza, o której mowa, wykazała, że syndyk nie ma kompetencji do podejmowania takich działań.

„W konsekwencji Prokuratura Okręgowa Warszawa-Praga w Warszawie, działając na polecenie Departamentu Postępowania Sądowego Prokuratury Krajowej, skierowała pismo do Sędziego – Komisarza Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie X Wydział Gospodarczy do spraw upadłościowych i naprawczych, który sprawuje nadzór nad czynnościami syndyka, wskazujące, iż czynności podjęte przez syndyka, związane z dochodzeniem od członków SKOK Wołomin roszczeń związanych z ich odpowiedzialnością za straty kasy do podwójnej wysokości wpłaconych udziałów, są nieuzasadnione".

ZDZISŁAW I JEGO PLANY

Zgodnie z ustawą o SKOK-ach strata kasy powinna być pokryta w tym samym roku, w którym wystąpiła. Najpierw bierze się pieniądze z funduszu zasobowego, a gdy to nie wystarcza – z funduszu udziałowego. Dopiero dalej mamy możliwość wystąpienia dodatkowej odpowiedzialności członków kasy. I tu ważne uściślenie: Prokuratura Krajowa wyraźnie wskazuje, że aby wykorzystać tę możliwość, potrzebne jest podjęcie stosownej uchwały przez walne zgromadzenie danej kasy. Co oczywiste, ani w przypadku Wołomina, ani żadnej innej kasy, które ogłosiły upadłość, takiej uchwały nie podjęto.

Sprawa zamknięta? Nic z tych rzeczy. Mimo kolejnych interwencji, np. Kasy Krajowej, syndycy nadal robili swoje, wysyłając wezwania do zapłaty i idąc do sądu z tymi, którzy płacić nie chcą. Większość sądów odrzuca te żądania, ale zdarzają się też rozstrzygnięcia niekorzystne dla członków kas. Część z nich nie potrafi się bronić, inni nie wiedzą, że mogą się przeciwstawić, jeszcze inni po prostu nie chcą „być ciągani po sądach".

Szef Bankowego Funduszu Gwarancyjnego i członek KNF Zdzisław Sokal przyglądał się tym harcom z pozycji niemal wszechwładnego „supernadzorcy" polskiego systemu finansowego. A może nie tylko się przyglądał? Nasze rozmowy z syndykami nie pozostawiają wielu wątpliwości: to BFG jako wierzyciel naciskał na nich, by kasowali schorowanych staruszków. Bez względu na konsekwencje. I bez większego sensu, bo wpływy z tej działalności mogą wynieść, według różnych szacunków, kilka, może kilkanaście tysięcy złotych. Jedynym efektem operacji było wzbudzenie strachu wśród członków SKOK-ów w upadłości oraz niekończący się serial publikacji prasowych. Każda z nich to z kolei uderzenie w wizerunek także kas, które działają, często z sukcesem próbując odbudować pozycję sprzed zmasowanego ataku, jaki na sektor przypuściła w ostatnich latach swych rządów Platforma.

> Członkowie kas, które upadły, są wzywani przez syndyków mas upadłościowych, by zwracali pieniądze w wysokości dwukrotności udziałów, jakie wnieśli, wchodząc do spółdzielni. Dzieje się tak mimo stanowiska Prokuratury Krajowej, która uznała, że takie czynności syndyków są nieuzasadnione

13 listopada 2018 r. „Gazeta Wyborcza" publikuje artykuł, od którego zaczyna się afera Leszka Czarneckiego. Leci głowa szefa KNF Marka Chrzanowskiego, miliony Polaków dowiadują się o istnieniu Zdzisława Sokala, którego „plan" miał według opowieści miliardera zaszkodzić jego biznesowi. W tej historii do dzisiaj trudno oddzielić ziarna od plew (tych ostatnich jest zapewne bardzo dużo, skoro narrację snuli Roman Giertych i dziennikarze Michnika), ale faktem jest, że Zdzisław Sokal został przesunięty do poczekalni. 17 grudnia 2018 r. prezydent odwołał go z KNF. 6 kwietnia 2019 r. Sokal przestał być prezesem Bankowego Funduszu Gwarancyjnego – zastąpił go na tym stanowisku były współpracownik Pawła Szałamachy Mirosław Panek.

Wszystko wskazuje jednak na to, że syndycy nadal działają zgodnie z „planem Zdzisława". 29 czerwca w Sopocie odbywało się walne zgromadzenie Krajowej SKOK. Jednym z ważnych tematów była, a jakże, kwestia dodatkowej odpowiedzialności. Tuż po zamknięciu obrad głos zabrał syndyk jednej z małych kas znajdujących się w upadłości. Był zdenerwowany, bo spółdzielcy powiedzieli parę gorzkich słów o tym, do czego prowadzą nagłaśniane przez media ruchy syndyków.

– Zostałem tu chyba uznany za wroga publicznego numer jeden, a proszę również zrozumieć stanowisko syndyków, oni też mają swoje obowiązki. Żadnemu syndykowi nie uśmiecha się wytaczanie tysięcy procesów przeciwko członkom SKOK-ów, są to ludzie niejednokrotnie starsi, schorowani. Na syndyków po prostu naciska BFG, bo kwota wyegzekwowana przecież idzie do BFG – wyznawał syndyk, a jego słowa znalazły się w sporządzonej przez obecnych na sali notatce, do której udało nam się dotrzeć.

Zapytaliśmy o to zdarzenie Krajową SKOK

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć. Poza tym nie prowadzimy dialogu z naszymi interesariuszami poprzez media – powiedział nam rzecznik Krajowej SKOK Mariusz Wielebski. – Nie jest tajemnicą, że wyrażaliśmy krytyczną opinię na temat działań syndyków, ponieważ ich skutki wpływają negatywnie na wizerunek sektora. Stanowisko Kasy Krajowej zawarte jest w komunikacie nr 5 z 18 paź-

eprasa.pl 6f3e763147

dziernika 2018 r., w którym można przeczytać m.in., że dochodzenie przez syndyków od członków SKOK-ów zapłaty kwot z tytułu dodatkowej odpowiedzialności jest pozbawione podstaw prawnych, nie mamy wpływu na decyzje i działania syndyków i nie ponosimy odpowiedzialności za ich skutki dotykające członków kas, a różne medialne doniesienia o tym, że syndyk może się domagać od członków kas dodatkowych kwot, po prostu pomijają te okoliczności – dodał Wielebski.

(DE)STABILIZACJA I IRYTACJA

29 lipca br. oświadczenie w sprawie, którą opisujemy, składa Grzegorz Bierecki, przewodniczący senackiej komisji budżetu i finansów publicznych. W piśmie adresowanym do prezesa BFG Bierecki przedstawia fakty, przytacza interpretację przepisów oraz wskazuje na fatalne konsekwencje, jakie dla sektora SKOK-ów mają zainicjowane przez spółkę Jakubiak–Sokal i godzące w wizerunek kas działania syndyków.

„Przekłada się to na zmniejszenie efektywności funkcjonowania kas i realizacji przez nie programów postępowania naprawczego, a w konsekwencji prowadzi do osłabienia kondycji finansowej sektora SKOK-ów. Zwiększa to niewątpliwie ryzyko dokonania przez BFG kolejnych wypłat na pomoc bankom przejmującym kasy albo na wypłatę depozytów" – przekonuje Grzegorz Bierecki. Senator mówi wprost: wywierając nacisk na syndyków, BFG nie działa na rzecz stabilności rynku finansowego (do czego jest powołany), ale przeciwnie, destabilizuje ważny sektor tego rynku. Czy BFG „nie powinien, w odniesieniu do działań syndyków nakierowanych na dochodzenie od członków dopłat z tytułu dodatkowej odpowiedzialności, dążyć raczej do wyhamowania takich działań? Czy w swoim postępowaniu nie powinien się kierować wynikami przeprowadzonych analiz, służących zbadaniu wpływu dochodzenia dopłat od członków kas w upadłości na kondycję finansową sektora SKOK-ów oraz porównaniem skali ewentualnych korzyści, płynących z dochodzenia tych dopłat z ryzykiem dla stabilności sektora kas oraz dla stabilności poszczególnych kas?" – pyta Grzegorz Bierecki.

„Czy [BFG – przyp. red.] nie powinien także, wskazywać raczej na zgodną z sensem i celem dodatkowej odpowiedzialności interpretację tej instytucji prawnej, zamiast poszukiwać ekstremalnej interpretacji, zgodnie z którą obowiązek dopłat miałby powstawać bez wiedzy i zgody członków, gdy strata kasy przewyższy sumę funduszy zasobowego i udziałowego?[...]" – czytamy w oświadczeniu.

Zadaliśmy Zdzisławowi Sokalowi wiele pytań, dając mu szansę odniesienia się do wszystkich wątpliwości. Gdy Sokal się z nimi zapoznał, bardzo zmienił się ton naszego dialogu – były szef BFG nie ukrywał irytacji, mówił podniesionym głosem.

– Jestem zdziwiony formą pytań, odpowiem na nie w sposób globalny – powiedział nam Zdzisław Sokal. – Jako prezes BFG działałem zawsze w celu wywoływania dobra dla tej instytucji i nie rozumiem w ogóle pytań w tej formule.

Sokal zapewnił, że nie miał żadnego wpływu na działania syndyków. Dopytywaliśmy jednak, czy naprawdę nie miał on żadnego zdania w tej kwestii.

– Nie rozumiem pana pytań, że pan jak gdyby pyta o moje stanowisko, ja nie mam swojego stanowiska, BFG działa w obrębie aktywnego zarządu. Zarząd podejmował uchwały i uchwały były realizowane. Moje osobiste nastawienie miało istotny wpływ oczywiście taki, że miałem zawsze głos. Natomiast jeśli chodzi o kwestie dotyczące podwójnej odpowiedzialności, to myślę, że powinien pan się zapoznać z kwestiami w różnych SKOK-ach, zachęcam do wejścia na różne fora, gdzie są różne informacje, ja nie będę panu ich udzielał – powiedział Zdzisław Sokal, kilkukrotnie podkreślając, że działał na podstawie prawa i w granicach prawa oraz miał na względzie stabilność rynku.

– Zwracam panu uwagę, ze stabilność całego sektora to zupełnie inny poziom niż same SKOK-i. SKOK-i to jest w tej chwili 0,65-0,8 sumy bilansowej całego sektora bankowego. A my działaliśmy w BFG w zakresie stabilności całego sektora finansowego – dodawał Sokal.

W tej sprawie jest jeszcze jedno pytanie. Czy Zdzisław Sokal to właściwa osoba w otoczeniu prezydenta Rzeczypospolitej? Z pewnością opinie mogą tu być różne. O działania Sokala zapytaliśmy Andrzeja Derę, sekretarza stanu w Kancelarii Prezydenta. Do chwili zamknięcia tego wydania tygodnika „Sieci" odpowiedzi nie otrzymaliśmy.

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

40/0719/F

eprasa.pl 6f3e763147

Każda droga prowadzi do ludzi



LECH DYBLIK AKTOR

Zdarzało mi się zbaczać z życiowego szlaku, ale nie działo się to za sprawą kryminalnej komedii „Na bank się uda", która właśnie wchodzi do kin (uśmiech). Co prawda, mogłoby się wydawać, że mój bohater razem z dwoma kolegami rówieśnikami – których grają Marian Dziędziel i Adam Ferency – schodzi na złą drogę. Przecież organizują napad, i to na bank. Jednak w tej historii liczy się coś więcej niż tylko zaskakująca akcja. Przesłanie jest w sumie szlachetne. To dla mnie ważne.

Dużo ciekawych rzeczy robię dziś w Kościele, spotykam się z ludźmi w kryminałach, w schroniskach dla bezdomnych, wspomagam alkoholików, którzy rozpoczynają swoją drogę trzeźwienia... Ta część mojej działalności jest dla mnie niezwykle ważna. Widzę w niej sens i poświęcam jej dużo czasu. Bo mogę.

Jeżdżę po Polsce – przemierzam rocznie jakieś 90 tys. km – ale nie jest to żadna określona trasa. Niczego nie planuję ani nie proponuję. Ludzie do mnie dzwonią, zapraszają. Ostatnio np. w Międzywodziu k. Międzyzdrojów na czterech kolejnych niedzielnych mszach miałem swoje wystąpienia zamiast homilii, a po ostatniej mszy dałem przed kościołem recital. Śpiewałem, coś też opowiadałem, odwołując się do tego, o czym mówiłem w czasie Eucharystii.

Bywam w bardzo różnych ciekawych miejscach. Lubię małe, wręcz wiejskie domy kultury, biblioteki. Lubię Polskę ściany wschodniej, Podkarpacia, niewielkich miejscowości. Tam się dobrze czuję. Życie toczy się tam według zasad, które są mi bliskie.

Mieszkam w Łodzi, ale od 20 lat mam też łemkowską chałupę w Beskidzie Niskim. Chociaż muszę przyznać, że byłem zły na żonę, kiedy wynalazła to miejsce. Jednak przez kolejne lata dbałem o nie, remontowałem... aż w końcu dotarło do mnie, że moim punktem dojścia w życiu są gumofilce, drewniana chałupa i studnia. To jest kierunek mojego rozwoju. Nieograniczany zbędnymi dobrami. Tego się trzymam.

Grywam na ulicy. Lubię być ekstrawagancki. Kiedyś wysłałem koledze, który robi szaloną karierę w show-biznesie, esemesa, że zarobiłem prawie 500 zł właśnie na ulicy. Dostałem odpowiedź, że w tym samym czasie on dał dwa recitale, tyle że za 15 tys. Odpisałem: „Gdybyś potrafił się cieszyć z tych 15 tys. tak, jak ja ze swoich pięciu stów, toby cię rozerwało".

Wożę w samochodzie gitarę i piecyk (wzmacniacz gitarowy – przyp. red.). Kiedy mam ochotę, to wyciągam je i gram. Lubię stawać przed uliczną widownią w Krynicy, w Kudowie-Zdroju, w Polanicy, ale też w Międzyzdrojach, gdzie byłem podczas tegorocznego festiwalu gwiazd. Planowałem taką prowokację już od paru lat. Teraz się udało. Usadowiłem się dość daleko od hotelu Amber, żeby nie być kojarzonym z tamtą rzeczywistością, ale i tu trafiali moi koledzy. Mogłem poobserwować ich reakcje.

Młodzi aktorzy przyglądali się z oddalenia – z ciekawością, ale i życzliwością, natomiast moi kumple mijali mnie tak skupieni, że nie zauważali, co się obok dzieje. Myślę, że w krótkiej chwili nie byli w stanie zracjonalizować, o co tu chodzi. Czy robię to z nędzy, czy z głupoty. Śpiewając na deptaku w Międzyzdrojach, zderzyłem dwie rzeczywistości: tych, którzy dotarli na bulwar gwiazd, i tych, którzy zatrzymali się na ulicy. Myślę, że happening się udał.

Z obecnej perspektywy szerzej patrzę na swoją najdalszą wyprawę. Sprzed bardzo wielu lat, kiedy trafiłem do Ladakhu, w hinduskiej części Kaszmiru, gdzie mieszka Dalajlama i gdzie miałem okazję obserwować buddyjskich mnichów. Ludzi gór, choćby żyli w odległych od siebie miejscach świata i wyznawali odmienną religię, wiele łączy.

Nie jestem typem turysty. Raczej podróżnika. Dużo przebywam z ludźmi, rozmawiam z nimi, ale też lubię być sam. Jeśli nie zabiorę autostopowicza, w trasie mam czas na przemyślenia, na nowe pomysły. Moje podróżowanie jest dziś pełne treści.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 6f3e763147



SŁODKO-SŁONY

Przygoda z mango

ANNA MONICKA

Ananasy, pomarańcze, melony, arbuzy, kiwi – nikogo nie dziwią na sklepowych półkach, traktujemy je niemal jak owoce z własnego ogródka. Egzotyka nam spowszedniała. Mango jednak wciąż zadziwia, zwłaszcza tych, którzy nie byli na wycieczce w Indiach, Pakistanie, Tajlandii czy Wietnamie.

Moja przygoda z tym niezwykłym owocem zaczęła się od mango lassi. Na ten pyszny, pożywny, cudownie pachnący koktajl namówiła mnie koleżanka buddystka, która zjeździła pół Azji. Nie będę ukrywać, że była to miłość od pierwszego wejrzenia. Mango – w różnych postaciach – mam zawsze w domu. A to pulpę w wielkiej puszce, a to kandyzowane, a to suszone. Błagam o nie każdego, kto jedzie na Wschód. Ostatnio dostałam chińskie i było absolutnie genialne, bo wciąż soczyste.

Słodko-kwaśny i lekko żywiczny smak tego owocu sprawia, że można go jeść i jako deser, i jako dodatek do pikantnych czy słonych dań. Spróbujcie podać pokrojonego w plastry indyka czy wieprzowe polędwiczki przełożone plastrami mango, całość na rukoli, a przekonacie się, jak wygląda i smakuje ten owoc. Na wierzch parę ziaren czerwonego pieprzu i pestek granatu, a gwarantuję, że wasi goście zaniemówią z wrażenia.

A jeśli chcecie smak mango zamknąć w słoiku, zróbcie chutney, jeden z podstawowych hinduskich sosów. Przepisów na niego jest mnóstwo, ale ja lubię to, co proste, a więc mało składników. Potrzebujecie więc pół kilograma miąższu mango, 3 papryczki chili, 3 ząbki czosnku, łyżkę nasion gorczycy, świeżo starty imbir, garść wymytych rodzynek, półtorej szklanki octu z białego wina, tyle samo cukru trzcinowego. Zmieszajcie mango z posiekanymi i wypestkowanymi chili oraz imbirem, odstawcie, żeby smaki się zmieszały, a w tym czasie zagotujcie ocet z cukrem, czosnkiem i gorczycą, odparujcie go trochę, żeby zgęstniał, dodajcie mango, podgotujcie kilka minut, na koniec dodajcie rodzynki. Sos możecie doprawić odrobiną soli i mielonego kardamonu. Przelejcie na gorąco do słoików. Podawajcie do mięs, serów, sałat, a nawet owoców, którym chcecie nadać pikantną nutę. Mnie taki chutney – wyjadany prosto ze słoja – stawia na nogi, gdy nadchodzi jesienna chandra.



WILCZYM OKIEM

Oborywanie przepiórki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

„Ostatnią kępę żyta zostawiają niezżętą »dla przepiórki«. Związują takową u góry, a u dołu opielają, w środku kładą na płaskim kamyku kęs chleba; i wszystko to zowią przepiórką, bo przepiórka jest ptakiem żniwa i tajemniczo opiekuje się polem. Gdy zbliża się pora żniwa, lud słyszy w jej głosie »pójdźcie żąć«, a po żniwach »nie ma nic«" – tak o jednym z polskich żniwnych zwyczajów pisał Zygmunt Gloger, nasz znakomity XIX-wieczny etnograf, zasłużony dla utrwalenia dziejów i zwyczajów ziemi ojczystej.

Jednocześnie zwracając uwagę, że w czasopismach „rozwielmożył się romans zagraniczny", zapisał słowa, które i dzisiaj warto pamiętać: „A jednak rzeczy swojskie obchodzą dziś nasz ogół nie mniej serdecznie jak zawsze, leży w nich wiecznie dla serca słowiańskiego tajemniczy talizman, mile przypominają tak samo te niwy, woń gajów, krzyże wioskowe i piosenkę matki nad kołyską […]".

Na czym polegał zwyczaj przepiórki? Podczas żniw pozostawiano niezżętą kępę zboża, często przy miedzy. Przewiązywano ją i przystrajano, a pośrodku kładziono kamień z kawałkiem chleba lub trzema groszami. Kępę opielano lub oborywano dookoła, aby ułatwić obsiew zboża z pozostawionych kłosów; chodziło też o to, aby wyróżnić kępę na ściernisku i ochronić ją przed przypadkowym zaoraniem, które następowało po żniwach.

Trudno o lepszy przykład gospodarowania z szacunkiem dla przyrody i plonów ziemi, które powinny być nie tylko udziałem ludzi, lecz i wszelkiego stworzenia, które z nich korzysta, a swoją obecnością przysparza nam pożytków. Dziś nazywamy to ochroną bioróżnorodności, dawniej zwyczaje takie, pod różnymi pięknymi, malowniczymi nazwami, praktykowane były przez lud, nie tylko przydając kolorytu pracom i życiu rolnika, lecz także sprzyjając ochronie przyrody. Pozostawienie kępy zboża istotnie daje bowiem schronienie i pożywienie wielu gatunkom, które odwdzięczają się rzeczywistą pracą na rzecz człowieka, czego znakomitym przykładem są ptaki niepozwalające na nadmierny rozwój owadów czy gryzoni.

I znów oddam głos Glogerowi: „Myśl tego starożytnego zwyczaju jest piękną, gdy bowiem pola zostają ze zboża ogołocone, chce ona przepiórce (mającej u ludu pewne znaczenie) zostawić garstkę tego zboża, ptak ten bowiem w zbożu gnieździ się i żyje".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 6f3e763147

Aktor, który był księdzem



Kazimierz Orzechowski przeniósł swoje aktorstwo w kapłaństwo, oddał w darze. Ale i kapłaństwo przenosił w aktorstwo. Zagrał role księży w kilkudziesięciu filmach, w setkach odcinków seriali

Wracam z pięknego pogrzebu ks. Kazimierza Orzechowskiego. Bo pogrzeby bywają piękne i wcale nie dlatego, że pogoda ładna. Pogrzeb Księdza był piękny, bo wszyscy czuliśmy, że pięknego człowieka żegnamy, że wszyscy wiele mu zawdzięczmy.

Kazimierz Orzechowski – pierwszy ksiądz wśród aktorów, pierwszy aktor wśród księży. Niełatwo o taki tytuł w kraju Karola Wojtyły. Jednak ksiądz Kazimierz był aktorem dłużej i intensywniej niż święty Jan Paweł II, dlatego – przy zachowaniu wszelkich proporcji – to jemu należy się owo miano. Był aktorem długo przedtem, zanim został księdzem. Aktorem pełnym pasji – zakochanym w teatrze, w poezji, w magii sceny, aktorem przystojnym, zdolnym, mającym powodzenie i otwartą drogę do sukcesu. Jednak pewnego dnia z ambony warszawskiego kościoła Wizytek charyzmatyczny kapłan Bronisław Bozowski w wizjonerskim kazaniu ze słowami „i Ciebie także powołał Pan!" wskazał palcem na chór kościoła. A tam skulony siedział obiecujący 24-letni aktor Teatru Polskiego Kazik Orzechowski. Ten wskazujący palec księdza Bozowskiego zmienił jego życie. Co prawda do seminarium przyjąć go nie chcieli (podobno z obawy, że skandale będą), ale wstawił się za nim kardynał Stefan Wyszyński. Pięć lat później młody aktor został księdzem, wkrótce potem kapelanem środowisk twórczych. Został księdzem ogromnej wiary i pasji jednania ludzi z Bogiem za pomocą siły Słowa, a także niebywałej wrażliwości, empatii, charyzmy. Swoje aktorstwo i całkiem prozaiczną do niego miłość oddał na służbę większej i ważniejszej Sprawie.

Będąc księdzem, nie wyrzekł się całkiem aktorstwa. Słabość? Śmieszność? Wcale nie – okazało się, że właśnie siła. Kazimierz Orzechowski przeniósł swoje aktorstwo w kapłaństwo, oddał w darze. Ale i kapłaństwo przenosił w aktorstwo. Zagrał role księży w kilkudziesięciu filmach (m.in. „Pannach z Wilka" i „Człowieku z żelaza"), w setkach odcinków seriali (głównie „Złotopolscy"). Był jedynym księdzem w Polsce (na świecie?) ze stałym pozwoleniem na grę w filmie. Pozwolenia udzielił mu kardynał Wyszyński i na szczęście przez kolejne kilkadziesiąt lat nikt nie ośmielił się go odwołać.

„Na wieki wieków amant" mówiono nim, bo istotnie Kazik miał w oku błysk i miał urok, który mógł mu dać bogatą aktorską karierę. Jednak wybrał inaczej. Bóg zdecydował inaczej. Kazik został księdzem wrażliwym, wesołym i niekonwencjonalnym, jak jego przyjaciel z kościoła Wizytek, ksiądz poeta Jan Twardowski. Wobec Boga pokorny, wobec ludzi delikatny i miłosierny, wobec form i konwenansów przekorny, trochę niesforny, czasem nawet prowokacyjny. Od 30 lat był kapelanem Domu Aktora Weterana w Skolimowie. Mimo że od dawna nie miał tej funkcji, faktycznie był więc kapelanem twórców, bardzo wielu twórców. Kanciastych, niepokornych, poszukujących duchów, którym czasem ogrom serca wkładanego przez nich w teatr czy sztukę filmową trochę przeszkadza w pokornej modlitwie i oddaniu. Ksiądz Kazik cierpliwie naprowadzał ich (nas!) na właściwe tory, a jego – z jednej strony wielobarwność i humor, a z drugiej – żarliwość i wielki dar przekładania Bożego Słowa na język naszych emocji, czyniły go dla ludzi sztuki niebywale wiarygodnym.

Ksiądz Kazimierz był także moim księdzem, zawdzięczam mu bardzo dużo. 36 lat temu, w tym samym kościele Wizytek owinął stułą ręce mojej jeszcze w tym momencie narzeczonej i moją i tak mocno zaciągnął węzeł, że nie mieliśmy szansy ruszyć dłońmi. Powiedział wtedy m.in.: „Jeśli Bóg obdaruje was dziećmi, a zdarzy się tak, że tam, gdzie będziecie, nie będzie na ścianie krzyża, uklęknijcie i pomódlcie się przy łóżeczku waszego dziecka. Bo w nim będzie Bóg". Potem chrzcił nasze dzieci, pochował moją śp. Mamę, a swoją aktorską przyjaciółkę, Barbarę Rachwalską, potem odnawiał nasz ślub w rocznicę przy tym samym ołtarzu. Bo śluby raz dane warto odnawiać.

Na pogrzebie w kościele Wizytek padały na ołtarz promienie słońca, aktorzy, reżyserzy i księża mówili, jak wiele Kazimierzowi zawdzięczają. Na pełnym słońca cmentarzu w Konstancinie także był tłum. Trochę smutny, że Kazika wezwał już ten Najważniejszy Reżyser, ale także pogodny, jak pogodny był ksiądz Kazik. A nawet chyba wesoły, bo wszyscy uśmiechaliśmy się, że mieliśmy szczęście Go znać. A kto nie znał – niech się nie martwi. Kiedyś Go spotka.

Maciej Pawlicki

Autopromocja

eprasa.pl 6f3e763147

Spotkajmy się w telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj od poniedziałku do piątku od godz. 14:00

Pobierz za darmo
pierwszą w Polsce aplikację mobilną,
dzięki której porozmawiasz na żywo w telewizji
z ulubionym dziennikarzem
w nowym programie Studio Polaków.



Studio Polaków

Pobierz bezpłatnie aplikację mobilną na swój smartfon.
Wybierz system operacyjny, który posiadasz:

POBIERZ Z Google Play

Pobierz w App Store

Jeżeli nie masz możliwości zainstalowania aplikacji mobilnej - nie martw się. Możesz wziąć udział w programie poprzez kontakt telefoniczny.

Zadzwoń do nas w trakcie programu na nr. 22-463-49-99

ZGŁOŚ SIĘ DO PROGRAMU:

www.StudioPolaków.pl

PARTNERZY:

Bank Pekao

ORLEN

eprasa.pl 6f3e763147

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

W obronie normalności



www.wojciechreszczynski.pl

Krakowski metropolita w samą porę zaświadczył wierność Chrystusowej Ewangelii. Tego oczekiwaliśmy od polskiego duchowieństwa – odwagi głoszenia prawdy

„Czerwona zaraza już nie chodzi po naszej ziemi, ale pojawiła się nowa, neomarksistowska, chcąca opanować nasze dusze, serca i umysły. Nie czerwona, ale tęczowa". Słowa homilii metropolity krakowskiego abp. Marka Jędraszewskiego wypowiedziane w rocznicę Powstania Warszawskiego padły jakby w ostatniej chwili. Tak jak w ostatniej chwili Józef Szczepański ps. Ziutek pisał słowa swojego ostatniego wiersza „Czerwona zaraza", dwa tygodnie przed śmiercią, zmarł od ran 10 września 1944 r.: „Czekamy ciebie, czerwona zarazo, byś wybawiła nas od czarnej śmierci".

„Tęczowa zaraza" zaczęła opanowywać Polskę z niebywałą szybkością i dynamiką. Co tydzień w miastach rządzonych przez prezydentów życzliwych dla „tęczowych" przechodzą prymitywne i ordynarne marsze wrogów Kościoła, polskiej kultury, tradycji i obyczajów. Hasłem, pod którym się grupują i które służy jako pretekst do manifestacji, jest równość. Ponoć tej równości nie ma, dlatego współczesna awangarda seksualna – następcy bolszewickich proletariuszy – czuje się pokrzywdzona i o tę równość ma zamiar walczyć. Bo, jak wiadomo, bez walki nie ma rewolucji. Na ulicę wychodzą kohorty ludzi jak tamci sprzed stu lat, naprawiacze świata, chcący zaistnieć na scenie politycznej przy aktywnym wsparciu dawnej komuny i współczesnej europejskiej lewicy.

Nihilistyczny element późnej PRL i III RP, ideowe dzieci Urbana, wielbiciele Palikota, zapatrzeni w głupawy uśmiech Roberta Biedronia, wszyscy ci karmieni nienawiścią do „moherów Rydzyka" i Kościoła katolickiego, wyznawcy wolności w stylu „rób ta, co chceta", coraz silniejsi dzięki forsie rzuconej przez ludzi Sorosa chcą zalegalizować deprawację i zgorszenie.

Ludzie spod znaku LGBT skrzyknęli się przed Nuncjaturą Papieską w Warszawie z żądaniem odwołania abp. Marka Jędraszewskiego. Wyprzedzająco, jeszcze przed wielką sobotnią manifestacją poparcia dla krakowskiego arcypasterza. Wydaje im się, że mają monopol na wskazywanie palcem, kto szerzy nienawiść, kto jest homofobem. Uroiło im się, że mają obowiązek „nawracania" Kościoła i moc odwoływania biskupów. Wspiera ich Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, składając zawiadomienie do prokuratury o popełnieniu przez hierarchę katolickiego przestępstwa. W słowach abp. Jędraszewskiego doszukano się „propagowania zakazanego totalitarnego faszystowskiego ustroju państwa". Tak „czerwona zaraza" nazywała swoich wrogów – polskich patriotów z AK walczących w powstaniu warszawskim. Jak widać, Ośrodek działa nawet bez swojego szefa Rafała Gawła, który uciekł przed wyrokiem sądu za oszustwa finansowe do Norwegii, gdzie uzyskał azyl polityczny jako „osoba prześladowana" za swoje poglądy. Podobną czujność wykazała polska ekspozytura kanału internetowego YouTube'a, podejmując decyzję o blokadzie wystąpienia arcybiskupa. Na szczęście szybko wycofała się z tego.

Krakowski metropolita w samą porę zaświadczył wierność Chrystusowej Ewangelii. Tego oczekiwaliśmy od polskiego duchowieństwa, odwagi głoszenia prawdy. I co ważne, nie jest on sam. Słowa wsparcia otrzymał od płockiego biskupa pomocniczego ks. Mirosława Milewskiego oraz od metropolity szczecińsko-kamieńskiego abp. Andrzeja Dzięgi. Powiedział, że „każda ideologia, a więc niemiecki faszyzm i rosyjski komunizm, na pewnym etapie niszczyła Kościół, gdyż nie mogła go sobie podporządkować ani go zniewolić". Wcześniej, podczas 28. pielgrzymki słuchaczy Radia Maryja na Jasną Górę, mocne słowa prawdy wypowiedział ordynariusz świdnicki biskup Ignacy Dec. „Dzisiaj na Jasnej Górze mówimy »nie« dla marszów równości, w których ma miejsce ubliżanie, wyśmiewanie świętych znaków, ośmieszanie i opluwanie wartości chrześcijańskich i narodowych [...] dziś znowu znajdujemy się w rzeczywistości jakby potopu, już nie szwedzkiego czy bolszewickiego, ale potopu ideologicznego, zalewającego Polskę głównie od Zachodu". W obronie abp. Marka Jędraszewskiego stanął też abp Stanisław Gądecki, przewodniczący KEP. Co ważne, przytoczył słowa papieża Franciszka z 2014 r.: „Ta rewolucja w obyczajach i moralności często wymachuje »flagą wolności«, ale w rzeczywistości przyniosła dewastację duchową i materialną niezliczonym ludzkim istotom". Część polskich katolickich hierarchów nie ma więc wątpliwości, z czym przychodzi nam się zmierzyć. Zagrożenie dla naszej cywilizacji i kultury zostało poprawnie zdiagnozowane. Solidarność z arcybiskupem i wdzięczność za słowa prawdy kierują pracownicy nauki skupieni w Akademickim Klubie Obywatelskim im. Lecha Kaczyńskiego. Piszą: „Ideologia LGBT jest zorientowana na konfliktowanie społeczeństwa i ma swoich potężnych beneficjentów ekonomicznych". Wszystko zależy teraz od mobilizacji katolików świeckich. Na ile nie pozostaniemy bierni.

eprasa.pl 6f3e763147

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Naprawdę tego chcesz?



Witold Gadowski

Czy da się stąpać i oddychać tak, aby nie urazić nikogo? Da się, ale trzeba być myszką, która nie ma żadnego wpływu na swoje otoczenie, ani warunki, w jakich żyje. Jeśli chcesz coś naprawić wskazać innym nowe drogi, zawsze narazisz się na zarzuty. Pierwsi odezwą się ci, którzy mogą na tym coś stracić albo przynajmniej tak im się wydaje. Potem zaczną szurać ci, którzy uważają się za lepszych i bardziej predestynowanych, a tu nagle ty... właściwie – w ich oczach nikt – robisz coś, co dotychczas było zarezerwowane właśnie dla nich, oni mieli monopol na myślenie i zmiany. Potem odezwą się oportuniści, podlizywacze, którzy zawsze wszystkim mają wszystko za złe. Jeśli się tym przejmiesz, to znaczy, że osiągnęli sukces – wytresowali cię i usadzili tam, gdzie chcieliby, abyś wykonywał to, co ci każą. Niby jesteś wolny, stoi za tobą konstytucja, prawa, wolności, spróbuj jednak z nich skorzystać, pejcz świśnie prędzej, niż go ujrzysz. Chcesz ze wszystkimi żyć dobrze, to uświadom sobie, że tak naprawdę to chcesz wszystkich... oszukiwać!

Chcesz mówić prawdę? Będziesz miał wrogów, będziesz wzniecał złe emocje, nawet nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak wiele ma się do ukrycia, gdy się pnie w górę. Pięknymi słówkami będą cię chcieli obłaskawić, jak nie wyjdzie, to zaczną straszyć. Jeśli i to nie pomoże, użyją wynajętych zbirów. Wszystko po to, byś siedział cicho. Inaczej zrobią z ciebie wichrzyciela, agenta, kryminalistę. Codziennie bowiem lepią cię na usłużną kanalię, która zawsze się przyda, gdy trzeba kogoś usadzić. Jesteś już kanalią?

Władza się zmienia, ale zawsze ma te same argumenty. Nie szuraj, bo są „wyższe racje", nie wiesz wszystkiego, nie zdajesz sobie sprawy. Będą cię karmić tym rozsądnym gównem, aż uznasz, że naprawdę ci smakuje. Wtedy już cię mają. Będziesz razem z nimi „ratował substancję najważniejszą", po której na palcach pamięci pozostanie ci cuchnący szlam i nieme pytanie dzieci: „Kiedy stałeś się tym, kim jesteś?". Myślisz, że wtedy wystarczy uczyć gówniarzy „realizmu", powtarzać: „W twoim wieku też byłem taki?". Skoro byłeś taki, to kiedy się to stało, że teraz jesteś taki, jak cię widzę? Myślisz, że wystarczy wtedy dać w zęby szczeniakowi, który nie zna życia?

Chcesz być ciągle zakonspirowanym bohaterem, o którego obrazoburczych marzeniach nie wie nawet poduszka? Chcesz, by twoim najbarwniejszym wspomnieniem był uścisk dłoni ważniaka i szmelcorder przypięty do klapy? Naprawdę chcesz?

Racjonalnie o LGBT



Lech Makowiecki

Kampania wyborcza trwa. Tym razem to inwazja lesbijek, gejów, biseksualistów, transwestytów et consortes rozpala do czerwoności dyskusyjne fora.

I tak genderyści „wstydzą się przed światem" za polski „ciemnogród", a konserwatyści zarzucają „tęczowym ludzikom" programowy bezwstyd. Spór ten rozstrzygnąć mogą zdroworozsądkowe pytania. Np. która z opcji – homo- czy heteroseksualna – przetrwa samodzielnie? Dlaczego każdy gej ma tatę i mamę? Czy Rabiej z Biedroniem rzuceni na bezludną wyspę dochowają się następców? Prokreacja jest piętą achillesową ideologii LGBT. Czyżby normą miała się stać adopcja dzieci spłodzonych przez heteroseksualne pary? Bądź wynajęte surogatki? Stop! Szaleństwo też ma swoje granice...

Życie w kontrze do natury wywiera negatywny wpływ na zdrowie samych homoseksualistów. Nie trzeba specjalisty, by dostrzec nieprzystosowanie naszego ciała do analnej, wielce niehigienicznej penetracji. Lekarze sygnalizują związany z tym wzrost nietypowych zachorowań. A przecież chorzy obywatele są obciążeniem dla budżetu państwa. A co ze zdrowiem psychicznym tęczowej społeczności? Skandaliczne zachowania niektórych uczestników tzw. parad równości zasługują na interwencję wymiaru sprawiedliwości. Lub przynajmniej wizytę u psychiatry. Być może emocjonalne rozchwianie „kochających inaczej" wypływa z niestabilności ich związków i braku życiowej misji. Tymczasem to rodzina i trud wychowywania dzieci wdrukowane są w naszą psychikę. To spełnienie człowieczeństwa. Gdy z jakichś powodów ludziom zabraknie tej normalności (czyli sensu naszego trwania), pojawiają się „odloty".

PS Mój felieton nie jest antygejowski. Wręcz przeciwnie. Wzywam wszystkich zrównoważonych, mających poczucie elementarnego rozsądku homoseksualistów do odcięcia się od tej wyuzdanej hucpy, wspieranej przez wrogów Polski. Tak jak ja odcinam się od nieprzyzwoitych heteroseksualnych zachowań. Dla naszego wspólnego dobra.

eprasa.pl 6f3e763147

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Wyborcze skoki z trampoliny

Sądzę, że kilka osób nie mogło wyjść ze zdumienia, widząc na listach do Parlamentu Europejskiego Cimoszewicza, Millera czy Belkę. Komuniści, aparatczycy PZPR, wielbiciele Marksa i Związku Radzieckiego zapewne pozdrawiający się hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się". Wrogowie imperializmu i kapitalizmu, specjaliści od rubli transferowych i wiecznej przyjaźni z Sowietami – dzisiaj bez wahania biorą wypłatę w kapitalistycznym euro, a tym samym sowitą odprawę za niegdysiejszą bolszewię, której do końca byli lauframi. Zamiast być kierownikami targowisk miejskich czy lokalnych tartaków, znów są królami życia. Kołaczą się po naszym życiu bezczelnie i bez kompleksów. Chichot historii? A skądże! Historia wręcz się turla ze śmiechu!



Aleksander Nalaskowski

Zamiast być kierownikami targowisk miejskich czy lokalnych tartaków, znów są królami życia

Teraz usłyszałem, ale mam nadzieję, że to okaże się nieprawdą, że z list Czarzastego (wyjątkowy aparatczyk i cynik) mają wystartować Jaskiernia, Dyduch, Iwiński, Nikolski, Pastusiak. Mój Boże, to już absolutnie jawne lokowanie kolegów, sprawdzonych towarzyszy. To jak nieświeży oddech po podłym posiłku albo cuchnące przetrawionym czosnkiem beknięcie. Gdzie jest ten cmentarz, z którego pochodzą te polityczne trupy!? Naprawdę potrzebny nam tu ten PRL, naprawdę tak się zasłużyli, aby ich w nieskończoność reanimować? Do diabła, precz!

Nieśmiertelny Wenderlich błysnął wiernością do SLD i poszedł do Schetyny. Po prostu go pokochał na amen. Zwykła bezczelność. Kpina w żywe oczy. Nieważne, co wcześniej wygadywał na PO, jakie to ma znaczenie... Schetyna bierze każdego. Byli i obecni posłowie już nie chcą wracać do swoich domów kultury w Pcimiu, przychodni lekarskich, na uczelnie, do urzędów miejskich. Spodobało się pańskie życie, diety, delegacje służbowe (w tym przeloty...), rauty i to unikatowe poczucie lepszości. To wszak zaraźliwe. Bo jak to, on jest, to ja nie mogę?! A w czym jestem gorszy? I tak rodzili się Bury z Gawłowskim. Na jednego przyzwoitego i mądrego posła przypada bodaj dziesięciu durniów. Po każdej stronie. Synekura w Parlamencie Europejskim nie dla każdego, to może chociaż krajowy?

Dzisiaj trampoliną może być wszystko. Dosłownie wszystko. Może być nią orientacja seksualna, od której zaczął lider Wiosny, może być antysystemowość i młodzieńczość, z którymi właśnie skończył Kukiz, może być zamiana garnituru na worek pątniczy i chodzenie na klęczkach, co znienacka demonstruje Kosiniak-Kamysz.

Scheuring-Wielgus popularność zawdzięcza mediom i ograniczeniom. Ponieważ nigdy nie powiedziała nic sensownego, wręcz przeciwnie – wygadywała brednie, to telewizje ją chętnie zapraszały. Dla śmiechu. Swego czasu niezły ubaw miał z nią Robert Mazurek, który i tak potraktował posłankę litościwie. Ale nie tylko on. Pochylając się nad aferzystą Lisińskim, wręczając list papieżowi Franciszkowi, wymiotując na Kościół i oddając psy do schroniska, sama się jednak pogrzebała. Ale przejdzie do historii jako pierwsza, którą bezczelność połączona z piramidalną głupotą wyniosły do zaszczytów.

Może też być trampoliną niepełnosprawność dziecka, co demonstruje pewna mama. Po tyleż głośnym, ileż bezczelnym evencie sprzed roku udało jej się ulokować dziecko w strukturach, w których są realne przychody. Niezła premia za event. Teraz jednak pomyślała o sobie. Z dnia na dzień nieomal stała się celebrytką, bo doskonale mieści się w formule totalnej opozycji. To obstrukcja i oprotestowywanie wszystkiego, co robi PiS. Dieta poselska plus uposażenie dziecka, plus wszystkie plusy, które dał rząd i jakoś się wyjdzie na prostą, prawda? A przy okazji zaspokoi się potrzebę parcia na szkło. Może potem wywiad dla tabloidu, a może nawet odważna sesja w „Playboyu", fotki na ściankach z Kayah albo Gretkowską? Coś mi się tutaj nie zgadza. Nie tak dawno miała buzię pełną frazesów o godnym życiu, o opiece, o matczynych trudach. I co? Godne życie jest tylko w Sejmie za dietę i ryczałt, a opieka na odległość? Naprawdę trudno nie mieć poważnych wątpliwości. Oczywiście „nie chodzi o politykę". Wańkowicz gdzieś napisał: „Gdy słyszę, że ktoś deklaruje, że nie ma nic przeciwko Żydom, to już wiem, że i owszem". Gdyby nie chodziło o politykę, mogłaby startować z własnego komitetu albo jako kandydat niezależny. Koalicja Obywatelska to nie jest przestrzeń apolityczna. Skądinąd ma pani silną moc perswazyjną, bo postawiła raz-dwa do pionu Schetynę i znalazła się na miejscu, które sobie upatrzyła.

Najbliższe wybory pokażą rzecz dla mnie istotną, a mianowicie – ilu wyborców da się na takie trampoliny nabrać, ilu jest naiwnych, zdezorientowanych, podatnych na manipulację. Przecież nie sami ubecy i byli partyjniacy stanowią elektorat. I jeszcze jedno. Dlaczego dopiero 13 października mamy mieć wybory. Czy jest ktoś, kto jeszcze nie wie, na kogo głosować? Nie sądzę.

1/0119/F

eprasa.pl 6f3e763147

PRZEZ ŚWIETLIK

Egopacyfa



Wiktor Świetlik

W audycji „Studio Polska" w TVP Info, do którego ponoć opozycja nigdy nie jest zapraszana, niejaki Rafał Lipski, młody działacz związany z rozmaitymi przybudówkami Platformy Obywatelskiej, skrytykował zwyczaje towarzyszące rocznicom Powstania Warszawskiego. Wrażliwi ludzie szczególnie troszczą się o najmłodszych. Pan Rafał jest, widać, szczególnie wrażliwy, bo też los polskich dzieci leży mu szczególnie na sercu. W związku z tym zapewne wyjaśnił, że nie powinno się deprawować małych serduszek i duszyczek powstańczą pieśnią „Warszawskie dzieci". Szkodzi im.

„To jest chore, żeby dzisiaj namawiać dzieci do śpiewania »Warszawskie dzieci pójdziemy w bój«. Nie odpowiada mi, żeby ktoś wpajał ideologię, w której 10-latek miałby w 2019 r. iść na wojnę z karabinem" – stwierdził narybek partii Tuska i Schetyny. W Powstaniu Warszawskim z karabinem na wojnę chodziło się od 16. roku życia, nie ze względu na ideologię, ale wojnę i okupację.

Zostawmy jednak te detale. Ta linia, że dzieci, a i dorosłych, nie wolno indoktrynować jakąś „bohaterszczyzną", zdaje się dużo szersza i w przyszłości ma być obowiązująca. Na razie jednak w morzu zacofania, pod pisowskim buciorem i w obliczu zdeprawowanego bogoojczyźnianą papką społeczeństwa, liderzy, Tusk czy Schetyna, muszą się kryć, pole pozostawiając szczerszym od siebie młodziakom. Dokładnie tak samo jak w przypadku przekonywania przedszkolaków, że też są LGBT albo porównań Kościoła do świni. Gdzie Tusk nie może, tam Jażdżewskiego wyśle. Albo Lipski szczerze powie.

Albo artystka. Także męcząca się w atmosferze opresji piosenkarka Maria Peszek śpiewała: „Lepszy żywy obywatel niż martwy bohater". Problem w tym, że tak to już wygląda, że paru obywateli musi być przygotowanych na śmierć, a przede wszystkim na to, by śmierć, gdy trzeba, komuś zadać, by reszta, lub przyszłe pokolenia, mogła spokojnie kasować bilety w tramwajach i płacić podatki. Wystarczy spojrzeć na Szwajcarię z jej najbardziej uzbrojonymi cywilami w Europie.

W wydanej niedawno biografii znakomitego polskiego malarza i patrioty Józefa Czapskiego autorstwa Erica Karpelesa można wyczytać, że bohater książki był pacyfistą. Prawdopodobnie nigdy nie walczył z bronią w ręku. A mimo to brał udział w wojnie 1920 r. i przeszedł całą wojenną epopeję II Korpusu Polskiego z walkami o Monte Cassino włącznie. Dowódcy, w tym generał Anders, korzystali z talentu malarza, niekoniecznie dając mu karabin do ręki. Różnica między Czapskim a naszymi współczesnymi pacyfistami była mało subtelna i zasadnicza. Czapski nigdy nie bał się o siebie, ale nie chciał zabijać innych. Z naszymi sorosiątkami jest dokładnie odwrotnie. Zresztą co mówić o jakiś tam narażaniu życia, skoro boli już parę złotych z podatków na 500+, by dzieciak z biedniejszej rodziny mógł w wakacje zobaczyć Bałtyk.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Konto oznacza rachunek płatniczy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.



kasastefczyka.pl

801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

eprasa.pl 6f3e763147



Zaraza

Homoideologia, podobnie jak komunizm, jest konstruktem sprzecznym z naturą, więc w konfrontacji z realiami wywołuje napięcie i konflikt

JAN POSPIESZALSKI

Gwałtowność ataku na abp. Marka Jędraszewskiego potwierdza tylko, że hierarcha trafił w czuły punkt, dotknął istoty problemu.

Dlaczego środowiska promujące homoideologię nie są w stanie znieść porównania do czerwonej zarazy? Po pierwsze, wściekłość budzi porównanie do choroby. To, że w latach 70. środowisko psychiatrów amerykańskich doprowadziło (niewielką przewagą w głosowaniu, przy dość wyrównanych siłach za i przeciw) do wykreślenia homoseksualizmu z listy chorób, nie oznacza, że zmieniła się jego natura. Konsens środowiska psychiatrów i psychologów nie ma mocy zadekretować ani zmienić rzeczywistości. Ponadto skojarzenie z zakaźną chorobą przynoszącą śmiertelne żniwo wprost kojarzy się z tragicznymi skutkami wirusa HIV i przywodzi na myśl wiele innych medycznych przypadłości, które trapią środowisko aktywnych gejów. Ale ważny jest też aspekt zdrowia społecznego.

Wyprowadzenie seksualności poza kontekst małżeństwa, a potem poza relacje kobiety i mężczyzny, uczynienie z seksu swoistego bożka, przez którego się definiuje i któremu podporządkowuje się całą otaczającą rzeczywistość, anarchizuje życie społeczne. Doświadczenie krajów, gdzie homoideologia zdobyła już status religii państwowej, ujawnia opłakane konsekwencje.

I jeszcze jeden wstydliwy aspekt: rozprzestrzeniająca się zaraza atakuje zdrowe organizmy, czyli z punktu widzenia zarażonej jednostki jest przypadłością nabytą. Otóż właśnie to przez lata chcieli ukryć propagatorzy homoideologii. Wmawiali nam, że homoseksualizm to rzecz wrodzona, na którą my jako wolne i świadome osoby nie mamy wpływu. Dziś ta kwestia jest nieco odsunięta na bok, ponieważ mutacja homoideologii, czyli gender, kładzie główny nacisk na kwestie kulturowe. Ale w dyskusjach o naturze homoseksualizmu, furda logika! Bojownicy gej-sprawy jak sowieccy propagandyści żonglują dowolnie argumentami. Wygrywają dialektyka i mądrość etapu.

Druga część porównania, czyli skojarzenie z inwazją Sowietów na Polskę, też jest bardzo bolesna. Nie chodzi tylko o marksistowskie źródła obu absurdalnych doktryn. Chodzi właśnie o ten sam sposób siłowego wprowadzania w życie, przy użyciu wszelkich dostępnych środków, również terroru. Homoideologia, podobnie jak komunizm, jest konstruktem sprzecznym z naturą – absurdalnym, więc w konfrontacji z realiami wywołuje napięcie i konflikt. Dlatego tak samo jak każdy system totalitarny musi na drodze rewolucji totalnie podporządkować sobie całą rzeczywistość, ponieważ wszystko wokół zaświadcza o jego sztucznym, antropologicznie fałszywym pochodzeniu. Tolerancja czy akceptacja homoseksualizmu już nie wystarczą. Tak jak komunizm radykalna ideologia domaga się afirmacji wynaturzeń. Wytwarza polityczną doktrynę, która zmierza do zawłaszczenia wszystkich dziedzin. Edukacja i wychowanie młodzieży od najmłodszych lat, medycyna, historia, psychologia, nauki społeczne, badania literackie, film, teatr, kultura masowa, prawo, ekonomia... Historia uczy, że bestia rewolucji jest nienasycona – żeby egzystować, musi pożerać coraz więcej i więcej. Radykalna subkultura dewiacji, tak jak bolszewicy, nie ma litości wobec opornych. Na razie posługuje się wykluczeniem, infamią przy wykorzystaniu środków dystrybucji prestiżu i pogardy, ale coraz chętniej sięga po represje karne. Już wiemy, na licznych przykładach działaczy pro-life (48 procesów wytoczono Fundacji Pro – Prawo do Życia) sądownie karanych publicystów (m.in. prof. Nalaskowski), a ostatnio na przykładzie pana Tomasza (wyrzuconego z Ikei), że skala represji będzie się nasilać. Dziś otwarcie się już mówi o karach więzienia.

Porównanie więc do bolszewickiej inwazji zastosowane przez abp. Jędraszewskiego nie jest metaforą. Jesteśmy w stanie wojny. Przeciwnik jest dobrze zorganizowany. Ma program, środki, ogromny potencjał niszczenia i jest zdeterminowany.

Jak mamy odpowiedzieć? O tym, postaram się napisać w kolejnym numerze tygodnika.

eprasa.pl 6f3e763147

Promyk uczucia do Jurka



Jerzy Jachowicz

Drogi Jurku, wybacz mi na samym początku, że się tak bezpośrednio zwracam do ciebie. Po raz pierwszy od wielu lat przełamałam wrodzoną nieśmiałość, bo serce mi mówi, że jesteś prawdziwą miłością mojego życia. Wiem, że nie jesteś wolny. Że zdobycie twojego szczerego uczucia nie będzie rzeczą łatwą. To wszystko wiem. Czy to odbiera mi prawo do marzeń?

I to od pierwszej chwili, w której cię zobaczyłam na scenie znajdującej się pod jakimś ogromnym namiotem, w którym był tłum twoich fanów. Ty, siedząc w fotelu, trzymałeś mikrofon w swej męskiej, silnej dłoni połączonej w dalszej części poprzez przedramię i łokieć ze wspaniałym bicepsem. Na ten widok serce zatrzepotało mi nagle, niczym małej niewinnej dziewczynce na widok lwa skaczącego na kratę klatki oddzielającej owo dzikie, ale wspaniale i harmonijnie zbudowane zwierzę od zwiedzających ogród zoologiczny. Dziś to ty, Jurku, byłeś dla mnie tym lwem z czasów mojego dzieciństwa. Bynajmniej nie groźnym, mogącym mnie skrzywdzić. Odwrotnie – mężczyzną w lwiej postaci, będącym obiektem moich rozwiniętych, dojrzałych kobiecych westchnień.

To jednak tylko część prawdy. Bo dla kobiety takiej jak ja liczą się przede wszystkim przymioty duchowe mężczyzny. Zobaczyłam je w pełnym blasku, kiedy zacząłeś przemawiać. Dziś już nie ma takich mężczyzn. Naprawdę odważnych. Gotowych ponieść największe ofiary dla obrony tego, co cenią i kochają. Bezkompromisowych, szczerych do bólu. Nieunikających, gdy trzeba, mocnych słów. Brzmią one pięknie, gdy płyną z twojego wnętrza. Jak te, kiedy mówisz: „Zabieracie Westerplatte. K...a, po co?! Odp...lcie się od Westerplatte!”.

Drogi Jurku, musisz zrozumieć, że w obecnych warunkach nie miałam możliwości, aby dowiedzieć się, że Niemcy znowu ostrzą sobie zęby na Westerplatte. A może nawet na cały Gdańsk? Widzę, że są też jakieś inne rzeczy, które nie dają ci spokoju, kiedy mówisz: „Ale się k...a wylewa z człowieka”. Brawo, brzmi to jak zapowiedź anioła zemsty.

Marząca Violetta Styk
Zakład Karny w Gorzowie

CO MNIE WZRUSZA

Warszawskie dzieci



Katarzyna Łaniewska

1 sierpnia spędziłam wpatrzona w ekran telewizora. „Byłam” we wszystkich miejscach, w których czczono wielką datę pamiętną dla całego narodu. Patrząc w telewizor, byłam wzruszona i często zaryczana oraz zła na siebie, że nie mam już siły, żeby czcić 75. rocznicę Powstania Warszawskiego. Wtedy miałam 11 lat, teraz mam 86.

Patrzyłam, jak kolejne rocznice powstania zmieniają się ze święta tych, którzy przeżyli i pamiętali, w święto ogólnopolskie. Władze nie mogły wykreślić z pamięci tej daty – 1 sierpnia 1944 r. Warszawiacy samoczynnie uczestniczyli w ekshumacjach, jak moja mama w parku Dreszera – na naszym mokotowskim cmentarzu. Tam była chowana wielka polska aktorka Maria Przybyłko-Potocka. Mama, chowając z modlitwą legendę teatru, włożyła do butelki kartkę z nazwiskiem aktorki. Potem chodziliśmy 1 sierpnia z mamą i starszym bratem, łącznikiem w trakcie powstania, na cmentarz na Powązki.

Pamiętam pierwszą urzędową możliwość obchodzenia 1 sierpnia. Władze pozwoliły na koncert w Teatrze Nowym, gdzie Mariusz Dmochowski wspaniałym głosem śpiewał „Marsz Mokotowa”. W kolejnych latach pozwolono na piękny koncert w Teatrze Narodowym, a potem nawet w Sali Kongresowej. Na scenie mówiłam wiesz Baczyńskiego: „Oddycha miasto ciemne długimi wiekami, spowiada miasto ciemne dawnych grobów żałość”.

Piękny poemat „Pieśń o powstaniu w samotnej Warszawie” napisał Zbigniew Jasiński. Dostałam ten wiersz podczas stanu wojennego. Ktoś go wykradł z biblioteki publicznej. Nagrałam go, a potem jego fragmenty mówiłam na koncertach. Zawsze w rocznicę powstania powtarzam fragmenty tej pieśni: „To wam, żołnierze Krajowej Armii, dla was ta pieśń wypruta z trzew; Niech mocą ją wasz gniew nakarmi; i świst – i błysk – i huk – i krew”. W tym roku też powtórzyłam do swojego telewizora, oglądając transmisję rocznicowych uroczystości. Moje serce tam było.

O godzinie „W” miasto się zatrzymało, samochody stawały, młodzi ludzie puszczali biało-czerwone dymy. Byli prezydent, premier i lud Warszawy – nie warszawki. I ludzie z Polski, którzy tu przyjechali. Było to bardzo wzruszające. Już od kilku lat na placu Piłsudskiego podczas koncertu pieśni powstańczych słyszymy „Warszawskie dzieci”, ja szczególnie się wzruszam przy „Marszu Mokotowa”.

eprasa.pl 6f3e763147

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Cnota cierpliwości

Nie dajmy się sprowokować jeszcze przez dwa miesiące i powinno być dobrze



Ryszard Makowski

Jest takie stare powiedzenie: tylko spokój nas uratuje. Co prawda kiedyś „siła spokoju" doprowadziła do bezsilności wobec komuny, ale przez ostatnie cztery lata właśnie spokój przynosi bardzo dobre efekty. A nie jest łatwo. Gdy wybory wygrała Zjednoczona Prawica, przypuszczono na Polskę międzynarodowy szturm. Tutejszą agenturę postawiono w stan najwyższej gotowości. Co my musimy przeżywać, to woła o pomstę do nieba. Odpalano Majdan w Warszawie, klecono pucz sejmowy w grudniu 2016 r., wymachiwano hasełkami typu „Konstytucja" czy „Wolne sądy". I nic.

Teraz przypuszczono nalot dywanowy na nasze świętości. Poniewierane są symbole katolickie, zagrożeni są fizycznie kapłani. Jednak mądrość ciemnogrodu cały czas stanowi zaporę nie do przejścia dla speców od astroturfingu wspomaganych miliardami George'a Sorosa. To wywołuje wściekłość właścicieli III RP. Utrudzony walką z hejtem Jerzy Owsiak wyszedł na finał Pol'and'Rock Festivalu i bluźnił niemiłosiernie pod adresem rządu. Oni zawsze będą nas nękać. Diabelskie wycie wywołała celna diagnoza molestowania nas za pomocą LGBT+ arcybiskupa Jędraszewskiego, wyrażona zwrotem „tęczowa zaraza".

Cokolwiek by mówić, cierpliwie krok po kroku odzyskujemy Polskę. Cierpliwie poczekajmy do wyborów, a jeśli się wszystko potoczy zgodnie z sondażami, to już dłużej cierpliwie nie da się czekać. Ile można być obrażanym we własnym kraju. Porządek ma zagwarantować władza, bez tłumaczenia się: „Bo wiecie, kasta".

eprasa.pl 6f3e763147

***Zawistowski prezentuje:* Samo-lot**





Wycinki z przeszłości

„Wszystko, co posiadamy, zawdzięczamy przeszłości, to jest pracy przodków. Istnienie nasze moralne związane jest z zapełniającymi przeszłość cieniami tych, którzy mieczem, myślą, uczuciem i znojem pracy fizycznej budowali Polskę i jej kulturę. Serce polskie bije ukochaniem tych mężów, którzy budowali Polskę i poświęcali się dla jej bytu.

Sumienie polskie nie może być obojętne dla przeszłości, której jest owocem i dłużnikiem. Stąd naturalna jest miłość przeszłości. Polak nie zamieni w swem uczuciu przeszłości polskiej, której zawdzięcza wszystko, na obcą, nawet świetniejszą.

Jak z przeszłością, tak samo Polak związany jest z ziemią, na której powstał i na której istnieje naród Polski. Nie może być obojętny dla kraju, przesiąkłego krwią i potem przodków – dla ziemi, będącej mogiłą ojców, a jego kolebką i żywicielką. Na tej ziemi urodził się i dojrzał, w jej łonie znajdzie grób. Nie zamieni jej na inną, bardziej malowniczą, jaśniejszą i płodniejszą.

Naród w związku z przeszłością, która go wychowała, i z ziemią, która go żywi, stanowi to, co się nazywa ojczyzną.

Ten jest prawdziwym Polakiem, kto kocha ojczyznę, pracując dla niej i w obronie jej oddając mienie i życie".

Fragment wstępu do „Historji Polski" wydawnictwa Gebethnera i Wolffa, lata 20. XX w. Na ilustracji znaczek pocztowy z tego samego okresu.

(mk)

Matka Boska Zielna



Leszek Długosz

Srebrne kłosy w Jej koronie
I różyczka przy gorsecie
– Z jarzębiny ma korale
Z macierzanki śliczne wianki
Z rozchodnika bransoletka
– Jabłoń roni Jej jabłuszko
Mak podaje zaś makówkę
– Żeby dłoniom Jej nie było pusto

W dzień świąteczny ten sierpniowy
Gdzie kapliczki Jej, ołtarze
Pola, łąki z ziołem, snopkiem
Z kwieciem wszelkim spieszą
W darze
Wielbi Ją tu każda strona
– Zdrowaś Mario, Panno Zielna
Zabużańskie dzwony huczą
I wioliny Wisły grają
– Rybka z lilią wdzięczną płynie
Ważka tęczoskrzydła wzlata
A gdzie białe łachy piachów
Wędrujący orszak dziewann
Płomieniste wznosi Ave...

Pośród niebios tronująca
A tu nisko przy nas, z nami
W zielonościach tego kraju
Mieszkająca
– Od wszelakiej chroni szkody

Bo od wieków
Na spłachetku tej tu ziemi
Myśmy z sobą umówieni:
– Ty masz dla nas szczególniejszą tutaj pieczę
A my?
– Najufniejsze spośród świata Twoje dzieci

Matko Boska Zielna, Dzielna
W czas straszliwej nawałnicy
Tyś stanęła nam z pomocą
W dzień pamiętny pod Warszawą
Nie opuszczaj nas i teraz
– Kiedy groza znów nadciąga
– I godzina gdy niepewna

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 6f3e763147



OD A DO ZYBERTOWICZ

Wakacje i „Obcasy”

Czy jest gdzieś miejsce, takie skrzyżowanie naszych narracji, w którym moglibyśmy spokojnie rozmawiać?

Są nad wodami spokojne zakątki. Pogoda przyjazna. Polska malownicza. Bociany szukają żab, krowy spokojnie się pasą, ludzie się uśmiechają. Wakacje. Kaczki siedzą na opuszczonym pomoście.

Jednak nietrudno zaburzyć ten błogi nastrój. Wystarczy czytać – np. sobotni dodatek kobiecy (?) do gazety, leżąc na hamaku w malowniczej scenerii.

NIESTYLOWE OBCASY

Może przypadkowo, a może z nawyku czytania także „tej drugiej” strony sięgnęłam po „Wysokie Obcasy”.

Najpierw przeglądam. Zwykle samo przeglądanie tego dodatku wywołuje u mnie niestylowe uczucia. Nawet nie chodzi o pomieszanie z poplątaniem. Trudno jest mi zrozumieć ten kobiecy głos. Wrażenie, że trzymam worek z napisem „feminizm”, który jest ciężki i nieporęczny, przytłacza. Czy współczesny feminizm to coś więcej niż tylko emocjonalnie zabarwiona etykieta służąca do odróżniania, dzielenia na swoich i obcych?

Czytam i przygnębienie narasta.

WALCZĄ Z...

List do redakcji. Napisany przez geja, który żyje w ukryciu. List pełen żalu, goryczy i pretensji. Nadawca jest przekonany, że społeczeństwo uważa go za człowieka, którego „nie powinno być, a jak już jest, to ma zniknąć, zlać się z tłem, rozpuścić. To mi zrobiliście, zrobiliście też wielu wykluczonym: homo, niepełnosprawnym, starszym, innego wyznania, samotnym... Nie życzę wam szczęśliwego życia”.

Do kogo są kierowane te pretensje? Do mnie też? Czy może do bliżej niezidentyfikowanej wspólnoty, której jestem częścią? Czy ma rację, jednym tchem wymieniając tak różne grupy ludzi jako, jego zdaniem, wykluczonych ze społeczeństwa?

Czy jest gdzieś miejsce, takie skrzyżowanie naszych narracji, w którym moglibyśmy spokojnie rozmawiać, także o mojej niezgodzie na zrównanie małżeństwa kobiety i mężczyzny ze związkiem jednopłciowym? Nie zgadzam się na takie zrównanie i nie zgadzam się na odbieranie takiej postawy jako prostego wykluczania. Brak entuzjazmu to jeszcze nie homofobia (jeśli w ogóle to określenie nie jest nadużyciem). W świecie społecznym pewne elementy można negocjować, ale są też takie, których nie powinniśmy pochopnie (na)ruszać.

Inny problem: tekst o „ubóstwie menstruacyjnym”, który dotyczy nie tylko bezdomnych kobiet. Okazuje się, że w świecie tak zaawansowanych technologii wydatki na środki higieny intymnej mogą być problemem. W dostatniej Francji licealistki domagają się darmowych środków higienicznych. Warto może podjąć to zagadnienie, ale akcja młodych Francuzek, które w ramach nagłośnienia problemu fotografują się np. w spodniach poplamionych krwią w miejscu intymnym, budzi niesmak. Tu zostały przekroczone granice nie tylko estetyki.

GENDER AI

Teraz inny klimat. Redaktor Dorota Warakomska opowiada, jak poczuła się lepiej, „upominając się o swoje” przy okazji składania jakiejś reklamacji. Problem dotyczył niekompetencji osób obsługujących infolinię. O jednej z nich czytamy, że „rozmawia ze mną jak z idiotką”. Gdy podczas składania reklamacji padło pytanie, czy dziennikarka chce, aby wobec konsultantów wyciągnąć konsekwencje, odpowiada: „Chcę, by byli odpowiednio przeszkoleni, mieli wiedzę, by umieli rozmawiać z ludźmi. Myśleli, nie popełniali błędów [...] Chcę mieć poczucie, że obsługujący mnie ludzie naprawdę dobrze mi radzą. Czy to tak dużo?”.

Myślę sobie – może to bardzo dużo. Bo kto z wysokimi kompetencjami społecznymi będzie chciał pracować na infolinii? Ileż nakładów i środków wymaga wyszkolenie ludzi, którzy nie mają drygu do pracy z klientem. Jaka korporacja nie jest przede wszystkim nastawiona na zysk i zatrudnianie pracowników po najniższych kosztach?

Ale pewnie niebawem z pomocą przyjdzie nam sztuczna inteligencja. Zrobi się miło, będziemy traktowani kompetentnie, sprawnie i wreszcie... po ludzku. Prawdziwy postęp. Tylko trzeba zagwarantować, aby sztuczna inteligencja (na pierwszy rzut oka rodzaju żeńskiego) miała jednak właściwy gender.

ROZMOWY

Dobrze, że „Sieci” dzięki rozmowom prowadzonym przez red. Marcina Fijołka z „tamtą” stroną dają nadzieję, że nie musimy być dla siebie jak kosmici.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl 6f3e763147







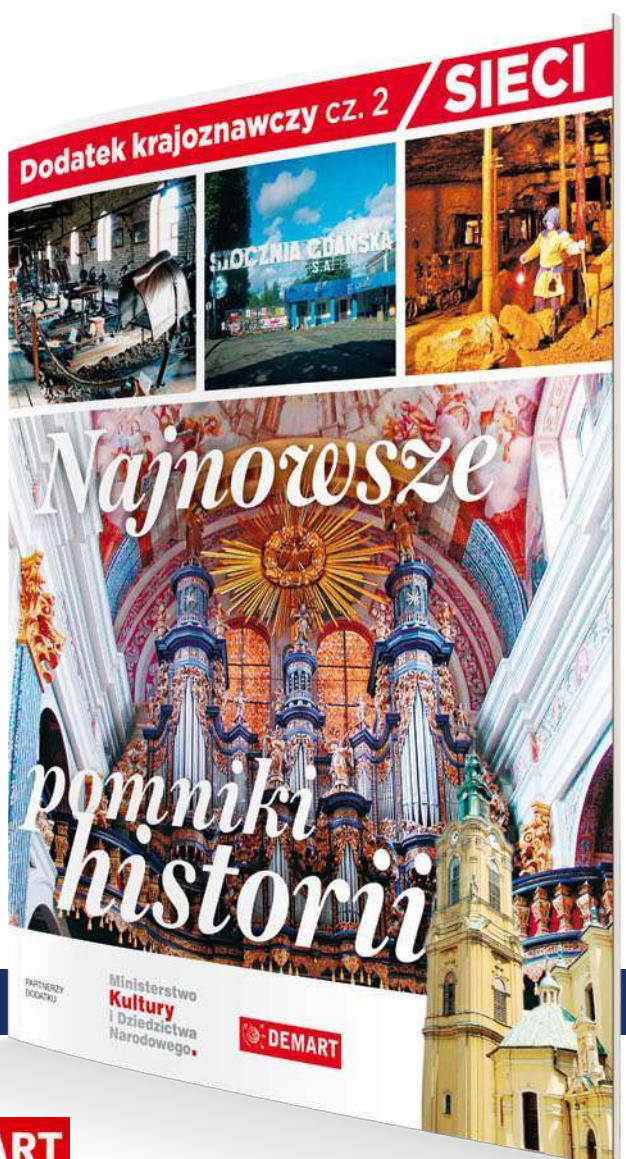
Nowy cykl dodatków krajoznawczych

SIECI

Już za tydzień

Najnowsze pomniki historii

- Najciekawsze miejsca warte odwiedzenia
- Opisy i ciekawostki dotyczące zabytków



Poznawaj z nami Polskę!

PARTNERZY DODATKU

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

DEMART

eprasa.pl 6f3e763147

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł



2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500



18 X VESPA PRIMAVERA





27 X SAMSUNG GALAXY S10+



36 X THERMOMIX



45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI



270 X TABLET GALAXY TAB A



100 X GALAXY WATCH ACTIVE



100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ



200 X SŁUCHAWKI



200 X GŁOŚNIK

Lotto EuroJackpot Ekstra Pensja Multi Multi Mini Lotto Super Szansa Keno Lotto

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

*Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada). Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 – 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl 6f3e763147